

JOSH MALERMAN

NIE
OTWIERAJ
OCZU

NETFLIX
A NETFLIX FILM

JOSH MALERMAN

NIE
OTWIERAJ
OCZU

PRZEKŁAD
PAULINA BROMA

Wydawnictwo Czarna Owca
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Bird Box*

Redakcja: Agnieszka Niegowska

Projekt okładki: © 2018 Netflix, Inc. Artwork and logo used with permission from Netflix, Inc.

Zdjęcie autorki: © Doug Coombe

Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka

Korekta: Aleksandra Gronowska, Maria Osińska

Redaktor prowadzący: Tomasz Szymański

BIRD BOX. Copyright © 2014 by Josh Malerman. All rights reserved. Printed in the United States of America. No part of this book may be used or reproduced in any manner whatsoever without written permission except in the case of brief quotations embodied in critical articles and reviews. For information address Harper Collins Publishers, 10 East 53rd Street, New York, NY 10022.

Copyright for the Polish translation by Paulina Broma

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-970-9

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Spis treści

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć

Dwadzieścia siedem

Dwadzieścia osiem

Dwadzieścia dziewięć

Trzydzieści

Trzydzieści jeden

Trzydzieści dwa

Trzydzieści trzy

Trzydzieści cztery

Trzydzieści pięć

Trzydzieści sześć

Trzydzieści siedem

Trzydzieści osiem

Trzydzieści dziewięć

Czterdzieści

Czterdzieści jeden

Czterdzieści dwa

Czterdzieści trzy

Dla TK

Jeden

Malorie stoi w kuchni. Rozmyśla.

Ręce ma wilgotne. Cała się trzęsie. Nerwowo stuka palcem u stopy w popękany kafelek. Jest wcześnie. Słońce chyba dopiero co wyjrzało zza horyzontu. Przygląda się, jak słabe światło przenika przez ciężkie kotary i odrobinę rozświetla czerń tkaniny.

To mgła, myśli.

Dzieci śpią w końcu korytarza pod drucianą siatką obleczonej czarnym materiałem. Możliwe, że słyszały, jak kilka chwil temu, na podwórzu, wpadła w desperację. Hałas, którego przy tym narobiła, musiał zostać wychwycony przez mikrofony, a potem dotrzeć do wzmacniaczy stojących tuż przy ich posłaniach.

Patrzy na swe dłonie i w świetle świecy zauważa na nich delikatny połysk. Tak, to wilgoć. To świeża poranna rosa na nich osiadła.

Teraz, w kuchni, Malorie bierze głęboki wdech i zdmuchuje świecę. Rozgląda się dokoła po niewielkim pomieszczeniu, patrzy na zardzewiałe sprzęty i popękane naczynia. Na kartonowe pudełko, które służy jako kosz na śmieci. Na krzesła, co niektóre poskładane do kupy za pomocą sznurka. Ściany są brudne. Widać na nich ślady dziecięcych stóp i dłoni. Ale są też i starsze plamy. Kolor przy podłodze w korytarzu odbarwił się, głęboka purpura z czasem zamieniła się w wyblakły brąz. To plamy z krwi. Dywan w salonie także jest poplamiony. Nieważne, jak bardzo starała się to wszystko wyczyścić. Nie ma środków, które dałyby temu radę. Dawno temu Malorie napełniła wiadra wodą ze studni i ubrana w kombinezon ochronny postanowiła wyczyścić wszystkie plamy w całym domu. Ale na nic to się zdało. Nawet po tych, które okazały się mniej odporne, zostały zacieki tej samej wielkości, robiące równie okropne wrażenie. Niektóre ślady w przedpokoju

zakryła pudłem ze świecami. W salonie musiała ustawić kanapę pod dziwnym kątem, żeby zakamuflować dwa zacieki przypominające jej głowę wilka. Na drugim piętrze, obok schodów na poddasze, sterta zatechłych płaszczy też kryje pod sobą purpurowe zadrapania, które ciągną się głęboko w dół ściany, poniżej poziomu podłogi. Kilka metrów dalej znajduje się najczarniejsza plama w całym domu. Dlatego Malorie w ogóle nie zapuszcza się w te rejony drugiego piętra. Nie może się przemóc, żeby tamtędy przejść.

Kiedyś był to przytulny dom w miłej okolicy na przedmieściach Detroit. Czekał wtedy na rodzinę, która w nim zamieszka, i kusił poczuciem bezpieczeństwa. Nie wcześniej jak dziesięć lat temu jakiś agent nieruchomości z dumą pokazywał go przyszłym klientom. Jednak tego ranka okna domu zabite są deskami i zasłonięte kartonami. Nie ma bieżącej wody. Na blacie w kuchni stoi wielkie, drewniane wiadro. Cuchnie zgnilizną. Dzieci nie mają tradycyjnych zabawek. Muszą bawić się figurkami wystruganymi z kawałków krzeseł. Na drewnie namalowano małe buźki. Szafki w kuchni świecą pustkami. Na ścianach nie ma żadnych obrazów. Od drzwi wejściowych do sypialni na pierwszym piętrze biegną kable. Wzmacniacze informują Malorie i dzieci o każdym dźwięku dochodzącym z zewnątrz. Tak właśnie żyje ta trójka. Nie wychodzą z domu od długiego już czasu. A kiedy to robią, to tylko z zawiązanymi oczami.

Dzieci nigdy nie widziały zewnętrznego świata. Nawet przez okno. A Malorie nie widziała świata od czterech lat.

Od czterech lat.

Dzisiaj jeszcze nie musi podejmować tej decyzji. W Michigan jest teraz październik. Jest zimno. Ponadtrzydziestokilometrowa podróż rzeką będzie dla dzieci zbyt trudna. Mogą okazać się na nią za małe. A co jeśli któreś z nich wpadnie do wody? Co wtedy zrobi Malorie, mając zawiązane oczy?

Wypadek, myśli. Jakie to straszne. Po tych wszystkich przejściach, po tej całej walce o przetrwanie. Zginąć ot tak w wypadku.

Malorie spogląda na zasłony. I zaczyna płakać. Najchętniej nawrzeszczałaby na kogoś. Gdyby tylko był ktoś, kto chciałby jej wysłuchać. „To niesprawiedliwe”, powiedziała by. „To zwykłe okrucieństwo”.

Patrzy za siebie przez ramię. Na wejście do kuchni i na korytarz prowadzący do pokoju, w którym śpią dzieci. We framugach nie ma drzwi. Dzieci śpią głębokim snem, przykryte czarną tkaniną, schowane przed światłem i światem. Nawet nie drgną. Nie widać, żeby się obudziły. A jednak

mogą się jej przysłuchiwać. Przez to nieustające wyęźnianie słuchu, przez to, że ciągle zwraca im uwagę, jakie to ważne, Malorie wydaje się, że poznają jej myśli.

Mogłaby poczekać na lepszą pogodę, aż zrobi się cieplej, mogłaby jeszcze popracować nad łodzią. Mogłaby porozmawiać z dziećmi, dowiedzieć się, co one mają do powiedzenia. Ich uwagi mogą być cenne. Mają tylko cztery lata, ale są już bardzo dobrze wytrenowane w nasłuchiowaniu. Potrafią sterować łodzią z zasłoniętymi oczami. Bez nich Malorie nie dałaby sobie rady w podróży. Potrzebuje ich uszu. Może powinna skonsultować z nimi swoją decyzję? Może, choć to jeszcze małe dzieci, będą w stanie powiedzieć jej, kiedy nadejdzie najlepszy moment, żeby opuścić dom na zawsze?

Malorie osuwa się na krzesło i walczy z napływającymi do oczu łzami. Nie ma na sobie butów, a jej palec u stopy ciągle uderza w wyblakłe linoleum. Powoli kieruje wzrok na schody prowadzące do piwnicy. Kiedyś rozmawiała tam o niejakiem Donie z mężczyzną o imieniu Tom. Patrzy na zlew, gdzie kiedyś Don przynosił wiadra z wodą, trzęsąc się od panującego na zewnątrz chłodu. Pochyliła się i spogląda na przedpokój, w którym niegdyś Cheryl szykowała jedzenie dla ptaków. Między Malorie a wejściowymi drzwiami znajduje się salon, ciemny i pogrążony w ciszy, pełen bolesnych wspomnień o zbyt wielu ludziach.

Cztery lata, myśli i chce walnąć pięścią w ścianę.

Malorie wie, że cztery lata mogą szybko zamienić się w osiem. A osiem w dwanaście. Wtedy dzieci staną się dorosłe. Będą dorosłymi, którzy nigdy nie widzieli nieba. Nigdy nie wyjrzeli przez okno. Co stanie się z ich umysłami po dwunastu latach życia w takich warunkach?

Czy jest w tym jakiś sens, zastanawia się Malorie. Odkąd chmury na niebie stały się dziwnie nierealne, jedyny dom, jaki znają, jedyne, co daje im poczucie bezpieczeństwa, to czarne opaski, które noszą na oczach.

Malorie głośno przełyka ślinę i wyobraża sobie, jak sama dalej wychowuje dzieci, jak one stają się nastolatkami.

Czy w ogóle poradziłaby sobie z tym? Czy potrafiłaby chronić je przez kolejne dziesięć lat? Czy umiałaby opiekować się nimi do czasu, kiedy to one byłyby w stanie zaopiekować się nią? A przede wszystkim po co? Co im da ta ochrona, jakie życie je czeka?

Jesteś złą matką, myśli.

Przecież nie sprawi, że ujrzą bezkres nieba. Nie sprawi, że wybiegną

swobodnie na dwór, na ulicę, poszwendać się po okolicy pełnej opuszczonych domów i zniszczonych samochodów. Nie sprawi, że choć raz zerkną na wszechświat, gdy zapada ciemność, a niebo nagle rozbłyskuje milionem gwiazd.

Próbujesz je uratować, dać im życie niewarte życia.

Malorie widzi, że kotary nieco bardziej jaśnieją pod wpływem mętnego, zawiesistego światła. Jeśli na zewnątrz jest mgła, to nie potrwa długo. Więc jeśli ma jej pomóc, ukryć ją i dzieci w drodze nad rzekę, podczas gdy będą szli do łodzi, to musi natychmiast je obudzić, musi ruszać.

Wali ręką w blat stołu, potem wyciera oczy.

Wstaje i wychodzi z kuchni, idzie na korytarz i wkracza do sypialni dzieci.

– Chłopczyku! – krzyczy. – Dziewczynko! Wstawajcie.

W sypialni jest ciemno. Jedyne okno zasłonięte jest kocami, na tyle szczelnie, że słońce, nawet będąc w zenicie, nie ma żadnych szans, by się tu przedostać. Na podłodze leżą dwa materace, jeden po jednej, drugi po drugiej stronie pokoju. Ponad nimi czarne kopuły. Kiedyś drucziana siatka podtrzymująca materiał okalała mały ogródek obok studni na tyłach domu. Lecz przez ostatnie cztery lata służy jako zbroja, chroni dzieci nie przed tym, by ktoś mógł je zobaczyć, ale przed tym, co one mogłyby ujrzeć. Malorie słyszy, że pod kopułami coś się poruszyło, klęka i luzuje siatkę przytwierdzoną do drewnianej podłogi gwoździami. Z kieszeni szybko wyciąga opaski na oczy. Dzieci są jeszcze zaspane, na ich twarzach widać zdziwienie.

– Mamusia?

– Wstawajcie. Szybko. Mamusia chce, żebyście się pospieszyli.

Dzieci reagują błyskawicznie. Żadnego marudzenia ani narzekania.

– Gdzie się wybieramy? – pyta Dziewczynka.

Malorie wręcza jej kawałek materiału i mówi:

– Załóż to. Idziemy nad rzekę.

Dzieci biorą swoje opaski i mocno zawiązują wokół oczu czarną tkaninę. Każdy ruch mają wytrenowany. Eksperci... Jeśli w wieku czterech lat można w ogóle być ekspertem od czegokolwiek. Malorie pęka serce. To przecież tylko dzieci, powinny być ciekawe świata. Powinny zapytać ją, dlaczego dziś wybierają się nad rzekę. Gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie były.

Zamiast tego posłusznie wykonują polecenia.

Malorie jeszcze nie zakłada swojej opaski. Najpierw musi wyszykować

dzieci.

– Przynieś układankę – mówi do Dziewczynki. – I niech każde z was weźmie swój koc.

Odczuwa trudne do opisanie podniecenie. Przypomina ono bardziej histerię. Przechodząc uważnie przez kolejne pokoje, Malorie dokładnie wszystko sprawdza. Niektóre drobiazgi mogą im się przydać. Nagle dociera do niej, że w ogóle nie jest przygotowana. Kompletnie traci poczucie bezpieczeństwa. Jakby ten dom i podłoga pod stopami nagle zniknęły, ona zaś została wystawiona na zło całego tego świata. A jednak siłą rozpędu trzyma się w myślach pomysłu z opaskami. Inne rzeczy, które spakowała, nie mają takiego znaczenia. Tak naprawdę jakikolwiek sprzęt domowy może posłużyć im za broń. Wie, że to opaski na oczy są ich najważniejszym orężem.

– Pamiętajcie o kocach! – przypomina.

Słyszy, jak dwa maluchy szykują się do wyprawy. Potem wchodzi do ich pokoju, żeby im pomóc. Chłopiec, choć dość drobny jak na swój wiek, jest umięśniony i silny. Malorie jest z tego bardzo dumna. Malec zastanawia się, którą z dwóch koszul założyć na siebie. Obie są zresztą na niego za duże. Kiedyś, dawno, dawno temu, należały do kogoś dorosłego. Malorie decyduje za niego i patrzy, jak jego ciemna czupryna znika pod materiałem i znów pojawia się w otworze na głowę. Jest mocno podenerwowana, ale jednak zauważa, że Chłopiec podrośł trochę w ostatnim czasie.

Dziewczynka wygląda na swój wiek. Właśnie próbuje założyć przez głowę sukienkę, którą Malorie uszyła jej ze starych prześcieradeł.

– Na zewnątrz jest zimno, Dziewczyńko. Sukienka nie jest dobrym pomysłem.

Dziewczynka marszczy czoło. Jej blond włosy są w nieładzie, przecież dopiero co wstała z łóżka.

– To założę jeszcze spodnie, Mamusiu. No i mamy nasze koce.

Malorie zalewa falą złości. Nie chce żadnego oporu. Nie teraz. Nawet jeśli Dziewczynka ma rację.

– Żadnych sukienek dzisiaj.

Świat na zewnątrz, puste galerie handlowe i restauracje, tysiące porzuconych pojazdów, zapomniane produkty na półkach w sklepach. Wszystko to wywiera presję, żeby zostać. Wszystko to przypomina, co może ich spotkać.

Bierze z szafy swój płaszcz. Jest w małej sypialni na końcu korytarza. Potem

opuszcza pokój, wie, że po raz ostatni.

– Mamusiu – mówi Dziewczynka, kiedy spotyka ją w korytarzu. – Będziemy potrzebować naszych trąbek rowerowych?

Malorie bierze głęboki wdech.

– Nie – odpowiada. – Przez cały czas będziemy trzymać się razem. Całą podróż.

Gdy Dziewczynka wraca do sypialni, Malorie uświadamia sobie, jakie to żalosne, że trąbki rowerowe są dla dzieci największą atrakcją. Bawią się nimi od lat. Przez całe swoje życie. Trąbią nimi w salonie. A dźwięk ten potrafił doprowadzić Malorie na skraj wytrzymałości. Ale nigdy ich dzieciom nie zabrała. Nigdy ich nie schowała. Nawet na początku, gdy macierzyństwo było dla niej wielkim wyzwaniem. Nawet wtedy rozumiała, że w tym świecie wszystko, co wywołuje dziecięcy śmiech, jest dobre.

Nawet jeśli dźwięk trąbek straszyl Victora.

Och! Jak bardzo Malorie tęskni za tym psem! Na początku, gdy dzieci były jeszcze malutkie, a Malorie już snuła swoje wizje o przeprowie rzeką, Victor, owczarek rasy border collie, siedział obok niej w łodzi. Mógł ostrzec ją przed dzikimi zwierzętami. Mógł też odstraszyć potencjalnych napastników.

– Dobra – mówi, opierając się swym wysportowanym ciałem o framugę drzwi do dziecięcej sypialni. – Jesteśmy gotowi. Ruszamy.

Wiele razy, w spokojne popołudnia czy burzliwe wieczory, Malorie mówiła dzieciom, że ten dzień nadejdzie. Tak, opowiadała im wcześniej o rzece. O wyprawie. Bardzo uważała, by nie nazywać wyprawy „ucieczką”. Nie zniosłaby, gdyby dzieci zaczęły uważać, że ich codzienność jest czymś, od czego trzeba uciec. Zamiast tego uczulała je, że nadejdzie taki poranek, gdy nagle je obudzi i zażąda, by spakowały się i opuściły swój dom na zawsze. Wiedziała, że wyczują każdy brak pewności siebie, tak jak potrafią usłyszeć pajaka idącego po szybie zakrytej ciężkimi kotarami. W związku z tym przez lata Malorie zawsze miała naszykowany w kredensie prowiant, a gdy jedzenie psuło się, szykowała świeżą partię. W ten sposób chciała pokazać, że kiedyś, pewnego ranka, to wszystko, o czym im mówiła, faktycznie się wydarzy. „Widzicie”, mogłaby wtedy powiedzieć, nerwowo poprawiając zasłony. „Jedzenie jest częścią mojego planu”.

I teraz właśnie nadszedł ten dzień, ten poranek. Godzina zero. Mgła.

Chłopiec i Dziewczynka stoją przed Malorie, a ona klęka, żeby sprawdzić ich opaski na oczy. Wszystko jest w porządku. W tejże chwili, patrząc to na jedną

małą twarzyczkę, to na drugą, dociera do niej, że ich podróż naprawdę się zaczyna.

– A teraz posłuchajcie mnie uważnie – zwraca się do dzieci i chwyta je za brody. – Dziś będziemy płynąć łodzią wzdłuż rzeki. Trochę to potrwa. Najważniejsze jest to, żebyście robili dokładnie to, co mówię. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

– Na zewnątrz jest zimno. Ale macie swoje koce. I swoje opaski na oczy. To wszystko, czego na razie potrzebujecie. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

– Pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie możecie ściągnąć opasek. Jeśli któreś z was to zrobi, stanie się wam krzywda. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

– Potrzebuję waszych uszu. Musicie oboje nasłuchiwać najuważniej, jak tylko potraficie. Tego, co się dzieje w rzece, daleko poza nią i daleko poza lasem. Jeśli usłyszycie jakieś zwierzę, musicie mi od razu powiedzieć. Jeśli usłyszycie, że coś dzieje się w wodzie, też natychmiast mi mówicie. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

– Nie zadawajcie żadnych pytań, które nie mają nic wspólnego z naszą wyprawą. Ty będziesz siedział na dziobie – mówi do Chłopca i klepie go. Potem poklepuje Dziewczynkę i zwraca się do niej: – A ty zajmiesz pozycję z tyłu. Gdy dotrzemy do łodzi, posadzę was na właściwych miejscach. Sama usiądę na środku i będę wiosłować. Na łodzi nie wolno wam ze sobą rozmawiać, chyba że dotyczyć to będzie tego, co dzieje się w wodzie. Lub w lesie. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

– Nie zatrzymamy się ani razu, pod żadnym pozorem. To niemożliwe, dopóki nie dotrzemy do celu. Powiem wam, kiedy to nastąpi. Jeśli zgłodniejecie, weźcie jedzenie z tej sakiewki.

Malorie podstawia sakwę pod ich dłonie, żeby mogły jej dotknąć.

– Nie możecie zasnąć. Nie wolno wam zasnąć. Wasz słuch jest mi dziś tak

potrzebny jak nigdy dotąd.

– Bierzemy ze sobą mikrofony? – pyta Dziewczynka.

– Nie.

Malorie wydaje dyspozycje i patrzy to na jedną twarz z przewiązanymi oczami, to na drugą.

– Gdy wyjdziemy z domu, złapiemy się za ręce i pójdziemy ścieżką do studni. Przejdziemy przez małą polanę w lesie za naszym domem. Ścieżka prowadząca do rzeki jest zarośnięta. Może się zdarzyć, że trzeba będzie puścić dłonie, żeby przejść. Wtedy macie złapać mnie lub siebie nawzajem za płaszcze. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak.

Czy w ich głosie słychać strach?

– Słuchajcie. Udajemy się w miejsce, gdzie żadne z was nigdy nie było. Znajduje się ono bardzo daleko, tak daleko od domu jeszcze nie byliście. Będą tam rzeczy, które zrobią wam krzywdę lub zrobią krzywdę mamusi, jeśli nie posłuchacie uważnie, co w tej chwili do was mówię.

Dzieci milczą.

– Rozumiecie?

– Tak.

– Tak.

Malorie dobrze je wyćwiczyła.

– Dobrze – mówi, a w jej głosie słychać nutkę hysterii. – Ruszamy. Ruszamy teraz. W drogę.

Przyciska ich głowy do swojego czoła.

Potem bierze dzieci za ręce. Szybko przechodzą przez dom. W kuchni, trzęsąc się z nerwów, Malorie wyciera oczy i wyciąga z kieszeni swoją opaskę. Zawiązuje ją ciasno z tyłu głowy na długich czarnych włosach. Zatrzymuje się, kładzie rękę na klamce, drzwi wychodzą wprost na ścieżkę, którą Malorie przechodziła, niosąc ze studni niezliczone wiadra wody.

Chce obejść dom od tyłu. Rzeczywistość właśnie do niej dociera i z wolna zaczyna ją przerastać.

Gdy otwiera drzwi, do środka wpada zimne powietrze. Malorie robi krok naprzód, a oczyma wyobraźni widzi najgorsze scenariusze, zbyt straszne, żeby mówić o nich przy dzieciach. Zaczyna się jąkać, jej głos zamienia się w krzyk, gdy próbuje coś powiedzieć.

– Złapcie mnie za rękę. Oboje.

Chłopiec bierze lewą rękę Malorie. Dziewczynka wsuwa swe małe paluszki do prawej.

Wszyscy mają zasłonięte oczy. Wychodzą z domu.

Studnia znajduje się jakieś dwadzieścia metrów dalej. Małe kawałki drewna, kiedyś elementy ramy obrazu, wyznaczają drogę, wskazują odpowiedni kierunek. Dzieci czubkami butów dotykały tych desek niezliczenie wiele razy. Malorie kiedyś powiedziała im, że woda ze studni jest jedynym lekarstwem na wszystko. Dzięki temu, jak przypuszcza, dzieci podchodzą do studni z szacunkiem. Nigdy nie narzekały, gdy musiały razem z nią nosić wodę.

Teraz, gdy są właśnie obok studni, ziemia pod stopami jest wyboista. Jakby nienaturalna, miękka.

– Tu jest polana – oznajmia Malorie.

Prowadzi dzieci ostrożnie. Druga ścieżka biegnie jakieś dziesięć metrów od studni. Wejście na nią jest wąskie, a potem ścieżka rozgałęzia się w lesie. Rzeka znajduje się niecałe sto metrów dalej. Gdy wchodzi do lasu, Malorie natychmiast puszcza rękę dzieci, żeby móc znaleźć niewielkie wejście na właściwą dróżkę.

– Złapcie się mojego płaszcza!

Maca gałęzie, aż w końcu znajduje przywiązaną do drzewa koszulkę, która wyznacza wejście. Sama ją tu zawiesiła jakieś trzy lata temu.

Chłopiec łapie za kieszeń jej płaszcza. Wyczuwa, że Dziewczynka trzyma się chłopca. Malorie podczas marszu nawołuje, ciągle pyta, czy trzymają się razem. Trzy gałęzie chłoszczą ją po twarzy. Ale nie reaguje na to.

Po chwili docierają do miejsca, w którym Malorie wbiła kolejny drogowskaz w ziemię. Noga odłamana od kuchennego krzesła sterczy na środku ścieżki. Po to, żeby nie zabłądzili, żeby mogła na nią wpaść, żeby wskazywała drogę.

Łódź znalazła cztery lata temu, była zacumowana zaledwie kilka domów dalej. Sprawdziała ją ponad miesiąc temu, ale ma nadzieję, że ciągle jest na swoim miejscu. Niemniej trudno w takiej sytuacji nie wyobrazić sobie najgorszego. Jeśli, na przykład, ktoś inny wziął łódkę? Jakaś inna kobieta. Podobna do Malorie. Też mieszkająca pięć domów stąd. Która również każdego dnia przez cztery lata zbierała się na odwagę, żeby uciec. Kobieta, która też kiedyś zsunęła się ze śliskiego brzegu i natknęła się na ostro zakończony, stalowy dziób łodzi, jej jedyny ratunek.

Powietrze drażni zadrapania na twarzy Malorie. Dzieci nie narzekają.

To żadne dzieciństwo, myśli i prowadzi maluchy w stronę rzeki.

I nagle słyszy ją. Zanim jeszcze docierają do nabrzeża, Malorie słyszy, jak łódka kołysze się na falach. Zatrzymuje się i sprawdza opaski na oczach dzieci, poprawia je, mocniej zawiązuje. Prowadzi dzieci na pomost.

Tak, myśli. *Ciągle tu jest*.

Zupełnie jak samochody zaparkowane przed domem na ulicy. Zupełnie jak opuszczone w sąsiedztwie domy.

Robi się coraz chłodniej, wyszli już z lasu, są daleko od domu. Szum wody jest jednocześnie przerażający i ekscytujący. Malorie klęka w miejscu, gdzie, jak jej się wydaje, powinna być łódź. Puszcza ręce dzieci i próbuje namacać stalowy dziób. Jej palce najpierw znajdują linę, którą przycumowana jest łódka.

– Chłopczyku – zarządza, ciągnąc lodowaty kadłub łódki w stronę kei. – Na dziób. Wskakuj na dziób. – Pomaga mu. Gdy Chłopiec łapie równowagę, ona bierze w dłonie jego buzię i przypomina: – Pamiętaj, wsłuchuj się w to, co dzieje się w wodzie i dokoła. Nasłuchuj.

Każe Dziewczynce czekać na brzegu, a sama po omacku rozwiązuje cumę i ostrożnie siada na ławeczce pośrodku. Jeszcze na wpół stojąc, pomaga małej wejść na pokład. Nagle łódka gwałtownie się kołysze i Malorie chwytając Dziewczynkę bardzo mocno za rączkę. Ale mała nawet nie pisnie.

Na dnie łódki jest pełno liści, patyków, zebrała się też woda. Malorie grzebie w tym wszystkim, próbując znaleźć wiosła, które położyła z prawej strony. Wiosła są zimne. Mokre. Śmierdzą pleśnią. Wkłada je w stalowe wyżłobienia. Gdy próbuje jednym odbić się od brzegu, zauważa, że są ciężkie, solidne. I nagle...

Nagle są już na rzece.

Woda jest spokojna. Ale słychać jakieś odgłosy. Coś rusza się w lesie.

Malorie myśli, że to żaba. Ma nadzieję, że ten dźwięk zagłuszy ich wyprawę. Ale żaba odchodzi.

– Dzieci – mówi Malorie, ciężko oddychając. – Nasłuchujcie.

W końcu, po czterech latach oczekiwania, treningów i zbierania się na odwagę, Malorie odbija od pomostu, od brzegu, odpływa od domu, który przez szmat czasu dawał jej i dzieciom schronienie.

Dwa

Dziewięć miesięcy przed narodzinami dzieci Malorie mieszka ze swoją siostrą Shannon w skromnym wynajętym domu z pełnym wyposażeniem.

Wprowadziły się tu trzy tygodnie wcześniej, pomimo wątpliwości ich znajomych. Obie, Malorie i Shannon, są bardzo inteligentne i towarzyskie, ale gdy przebywają razem, zaczynają sobie działać na nerwy, co świetnie było widać już w dniu, gdy wnosiły swoje pudła do nowego domu.

– Przemyślałam to i uważam, że lepiej będzie, jeśli to ja wezmę większą sypialnię – oznajmiła Shannon, stojąc na półpiętrze. – Szczególnie że mam większą komodę.

– Oj, przestań – odpowiedziała Malorie, niosąc skrzynkę po mleku wypełnioną nieprzeczytanymi książkami. – Ten pokój ma lepsze okno.

Siostry debatowały na ten temat przez długi czas, wciągając w swoje potyczki rodzinę i przyjaciół, aż pierwszego popołudnia doszło do sprzeczki. W końcu Malorie zgodziła się na rzut monetą. Skończyło się wygraną Shannon, choć Malorie i tak jest przekonana, że padła ofiarą oszustwa.

Dziś Malorie nie myśli jednak o drobnostkach, które robi jej siostra, a które doprowadzają ją do szaleństwa. Dziś nie chodzi za Shannon i nie sprząta, nie zamyka za nią szafek kuchennych, nie zbiera porozrzucanych w korytarzu swetrów i skarpet. Nie stosuje biernego oporu i nie kręci głową, gdy uruchamia zmywarkę lub przesuwają nierozpakowane pudła ze środka salonu. Dziś stoi przed lustrem w łazience na pierwszym piętrze, jest naga i bacznie obserwuje swój brzuch.

Bywało już, że spóźniał ci się okres, wmawia sobie.

Lecz to marne pocieszenie, biorąc pod uwagę, że minęło kilka tygodni. Poza tym wie, że powinni z Henrym Martinem bardziej uważać.

Czarne włosy sięgają jej do ramion. Usta lekko wykrzywiają się w wyrazie

troski pomieszanej z ciekawością. Kładzie rękę na płaskim brzuchu i powoli kiwa głową. Nie ma co się oszukiwać, CZUJE, że jest w ciąży.

– Malorie! – krzyczy do niej z salonu Shannon. – Co ty tam robisz tyle czasu?

Malorie nie odpowiada. Obraca się to w jedną, to w drugą stronę, przechyla głowę. W bladym łazienkowym świetle jej niebieskie oczy wydają się szare. Opiera dłoń o różową umywalkę i wygina plecy. Chce sprawić, żeby brzuch wyglądał na jeszcze bardziej płaski, jakby to miało zaprzeczyć temu, że rozwija się w nim nowe życie.

– Malorie! – woła znów Shannon. – W telewizji nadają kolejny reportaż! Tym razem coś wydarzyło się na Alasce.

Malorie słyszy siostrę, ale to, co dzieje się na świecie, niewiele ją w tej chwili obchodzi.

Ostatnio cały internet żyje historią, która została nazwana „Raportem z Rosji”. Dotyczyła człowieka, który podróżował jako pasażer ze znajomym kierowcą ciężarówki. Nagle, na autostradzie na obrzeżach Petersburga, poprosił, by tamten zjechał na pobocze, po czym zaatakował go, dosłownie zdrapując mu usta z twarzy paznokciami. Następnie za pomocą piły stołowej, którą wziął z paki ciężarówki, odebrał sobie życie. Makabryczna historia. Choć Malorie uważała, że to właśnie za sprawą internetu pojedynczy incydent urósł niepotrzebnie do rangi sensacji. Tyle że chwilę później doszło do kolejnego zdarzenia. Podobne okoliczności. Tym razem w Jakucku, prawie pięć tysięcy kilometrów na wschód od Petersburga. Pewna matka, powszechnie uznawana za zdrową na umyśle, zakopała żywcem swoje dzieci w ogródku, a potem popełniła samobójstwo, używając do tego ostrych krawędzi potłuczonych naczyń. Następnie wypłynęła trzecia sprawa, też z Rosji, z Omska, ponad trzy tysiące kilometrów na południowy wschód od Petersburga. Natychmiast stała się najpopularniejszym tematem we wszystkich mediach społecznościowych. Tym razem ukazał się film wideo. Malorie była w stanie obejrzeć go tylko do pewnego momentu. Był na nim mężczyzna z siekierą, całą brodę umazaną miał we krwi. Próbował zaatakować człowieka stojącego za kamerą. I w końcu mu się to udało... Ale na to Malorie nie mogła już patrzeć. Postanowiła też nie interesować się dłużej tymi sprawami. Lecz Shannon, ze skłonnościami do dramatyzowania, nalegała na śledzenie wszelkich wstrząsających doniesień.

– Tym razem Alaska – komentuje Shannon, stojąc pod drzwiami łazienki. – To wydarzyło się w Stanach, Malorie!

Blond włosy Shannon zdradzają fińskie korzenie ich matki. Malorie jest bardziej podobna do ojca: silna, z głęboko osadzonymi oczami i jasną, gładką skórą. Typ północny. Wychowały się na Górnym Półwyspie w Michigan i obie marzyły, żeby przenieść się na południe stanu, bliżej Detroit, gdzie, jak sobie wyobrażały, tętniło życie towarzyskie i kulturalne, było więcej możliwości zawodowych i wielu facetów.

Ten ostatni aspekt nie okazał się zbyt prawdziwy w przypadku Malorie, przynajmniej dopóki nie poznała Henry'ego Martina.

– Niech to szlag – wrzeszczy Shannon. – Wygląda na to, że był też jakiś incydent w Kanadzie. To się staje coraz poważniejsze, Malorie. Co ty tam robisz?

Malorie odkręca kran i pozwala, by zimna woda spływała jej po palcach. Lekko ochlapuje sobie twarz. Patrzy w lustro, myśli o rodzicach, którzy ciągle mieszkają na Górnym Półwyspie. Nawet nie słyszeli o Henrym Martinie. Nawet ona nie rozmawiała z nim od czasu tej jednej jedynej upojonej nocy. A teraz, proszę, prawdopodobnie skazała się na niego na zawsze.

Nagle drzwi do łazienki otwierają się. Malorie chwytą za ręcznik.

– Jeeezu, Shannon.

– Słyszałaś, co do ciebie mówię? Wszystkie media o tym trąbią. Ludzie zaczynają mówić, że chodzi o zobaczenie czegoś. Czy to nie dziwne? Właśnie słyszałam w CNN, że jedna rzecz łączy wszystkie te wypadki. Wszystkie ofiary musiały coś zobaczyć, zanim przystąpiły do ataku, a potem odebrały sobie życie. Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz?

Malorie odwraca się powoli w stronę siostry, a jej twarz pozostaje bez wyrazu.

– Hej, wszystko okej, Malorie? Jakoś źle wyglądasz.

Malorie zaczyna płakać. Przygryza dolną wargę. Niby złapała ręcznik i się nim zakryła, ale wciąż stoi przed lustrem i patrzy na swój brzuch. Shannon szybko orientuje się, o co chodzi.

– O cholera – mówi. – Myślisz, że możesz być...

Malorie potakuje głową. Siostry robią krok w swoim kierunku. Otacza je róż łazienki. Shannon przytula Malorie, klepie ją po plecach, stara się ją pocieszyć.

– Już dobrze. Nie panikuj. Trzeba zrobić test. To przecież się robi w takiej sytuacji. Okej? Nie martw się. Założę się, że większość ludzi martwi się na zapas, zanim zrobią test, a potem się okazuje, że to fałszywy alarm.

Malorie nie odpowiada. Bierze tylko głęboki wdech.
– Okej – ciągnie dalej Shannon. – Jedziemy.

Trzy

Jak daleko sięga ludzki słuch?

Wiosłowanie z zawiązanymi oczami jest o wiele trudniejsze, niż Malorie to sobie wyobrażała. Już wiele razy łódka wpadała na brzeg, utykając tam na kilka minut. W tym czasie Malorie nachodziły niezliczone wizje, w których niewidzialna dłoń sięga w stronę opasek na oczach dzieci. Jej palce co chwila zanurzały się w wodzie i mule, w miejscu, gdzie woda styka się z brzegiem. Dzieci ani razu nie krzyknęły, ani razu się nie poskarżyły. Są na to zbyt cierpliwe.

No ale jak daleko sięga ludzki słuch?

Chłopiec pomógł uwolnić łódkę. Wstał i odpychał się od omszałego pnia drzewa, więc teraz Malorie może znów wiosłować. Mimo napotkanych problemów wydaje się jej, że odpłynęli jednak spory kawałek. To daje jej energię do działania. W koronach drzew zaczęły śpiewać ptaki, co oznacza, że słońce już wzeszło. Słysząc szelest liści, więc gdzieś tam, w lesie, poruszają się zwierzęta. Z wody wyskoczyła ryba, powodując plusk, który zmroził krew w żyłach Malorie. To wszystko jedynie słyszy. Nic z tego nie może zobaczyć.

Od urodzenia szkolila dzieci, jak rozróżniać odgłosy pochodzące z lasu. Gdy były jeszcze niemowlętami, zawiązywała im na oczach koszulki i zanosila na skraj lasu. I choć wiedziała wtedy, że są jeszcze za małe, by cokolwiek pojąć, opisywała im dźwięki lasu.

– To szelest liści – opowiadała. – A to było jakieś małe zwierzątko, może królik.

I zawsze przestrzegała maluchy, że mogłoby to być coś o wiele niebezpieczniejszego. Niebezpieczniejszego nawet niż niedźwiedź. W tamtym czasie, ale też i później, gdy dzieci były już na tyle duże, żeby się czegoś nauczyć, Malorie próbowała wyćwiczyć u siebie to samo co u malców.

Wiedziała jednak, że nigdy nie osiągnie takiego poziomu jak one. Miała dwadzieścia cztery lata i dopiero w tym wieku nauczyła się odróżniać za pomocą słuchu kroplę deszczu od kapiącego kranu. Jej wychowanie oparte było na możliwościach wzroku. Czy wobec tego była złą nauczycielką? Gdy przynosiła do domu liście i dzieci z zakrytymi oczami musiały odróżnić, kiedy decpcze liście, a kiedy gniecie je w dłoniach? Czy te jej lekcje były w ogóle coś warte?

Jak daleko sięga ludzki słuch?

Wie, że Chłopiec lubi ryby. Malorie, za pomocą zardzewiałej wędki zrobionej z parasola znalezionej na poddaszu, często zławiała jakąś w rzece. Potem, już w kuchni, Chłopiec uwielbiał obserwować, jak ryby pluskają się w wiadrze. Bardzo lubił też je rysować. Malorie pamięta, jak wydawało się jej, że powinna złapać wszystkie bestie żyjące na tej planecie, żeby tylko dzieci mogły zobaczyć, jak każda z nich wygląda. Nie miały na to przecież żadnej innej szansy. Co Dziewczynka sądziłaby o lisie? Albo o szopie? Nawet samochody znały tylko z opowieści i nieudolnych rysunków Malorie. Furgonetki, krzewy, ogrody, fronty sklepów, budynki, ulice i gwiazdy. Dlaczego? Musiała odtworzyć im cały świat. Ale najwięcej opowiadała im o rybach. Chłopiec to uwielbiał.

Teraz, gdy płyną rzeką i słyszą plusk, Malorie boi się, żeby w Chłopczie nie zwyciężyła ciekawość i żeby nie zdjął swojej opaski.

Jak daleko sięga ludzki słuch?

Malorie chce, żeby dzieci nasłuchiwały, co dzieje się w drzewach, wsłuchiwały się w wiatr, w brud na brzegach, żeby usłyszały wszystkie żywe istoty.

Rzeka jest jak amfiteatr, myśli Malorie i wiosłuje.

Ale jest też grobem.

Dzieci muszą nasłuchiwać.

Malorie nie potrafi odpędzić myśli, w których z mroku wynurzają się ręce, łapią dzieci za głowy i specjalnie ściągają z ich oczu jedyne prawdziwe zabezpieczenie.

Oddycha ciężko i cała zlaną jest potem.

Modli się, żeby ludzki słuch sięgał na tyle daleko, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Cztery

Malorie prowadzi. Jadą jej samochodem, fordem fiestą z 1999 roku, bo jest w nim więcej paliwa. Odjechały jedynie niecałe pięć kilometrów od domu, a już da się zauważyć, że wiele się zmieniło.

– Patrz! – mówi Shannon, pokazując na niektóre domy. – W oknach wiszą koce.

Malorie próbuje skupić się na tym, co mówi Shannon, lecz myśli krążą wokół jej brzucha. Martwi ją rozdmuchany przez media „Raport z Rosji”, ale nie traktuje go tak poważnie jak siostra. W sieci jest też wielu sceptyków, takich jak Malorie właśnie. Czyta różne blogi, a szczególnie jeden, *Ludzie to głupcy*, na którym można zobaczyć najprzeróżniejsze środki ostrożności, jakie podejmują, a do obrazków zawsze dodany jest jakiś zabawny komentarz. Gdy Shannon na zmianę pokazuje domy i zasłania oczy, Malorie przychodzi do głowy jeden z postów. Widać na nim kobietę, która wiesza w oknie koc. Napis pod spodem głosi: „Kochanie, a może przeniesiemy tu nasze łóżko?”.

– Wyobrażasz sobie coś takiego? – ciągnie Shannon.

Malorie w milczeniu kiwa głową. Skręca w lewo.

– No błagam cię – naciska dalej Shannon. – Chyba sama przyznasz, że robi się coraz ciekawiej.

Jedna część Malorie zgadza się z tym. Robi się ciekawie. Chodnikiem właśnie idzie para zasłaniająca twarze gazetami. Niektórzy kierowcy mają odwrócone boczne lusterka. Z właściwym sobie dystansem Malorie zastanawia się, czy ludzie zaczynają wierzyć, że coś im grozi. A jeśli tak, to co?

– Nie rozumiem – odzywa się Malorie, trochę po to, by odsunąć od siebie dręczące ją myśli, a trochę dlatego, że cała ta sprawa naprawdę zaczyna ją nieco interesować.

– Czego nie rozumiesz?

– Czy ludzie uważają wyglądanie na zewnątrz za niebezpieczne? W ogóle patrzenie gdziekolwiek?

– Tak – odpowiada Shannon. – Dokładnie tak uważają. Przecież ciągle ci to mówię.

Shannon zawsze miała skłonności do dramatyzowania, myśli sobie Malorie.

– Ale przecież to istne szaleństwo. Popatrz na tego faceta!

Shannon patrzy w kierunku, w którym wskazuje Malorie. Potem odwraca wzrok. Mężczyzna w eleganckim garniturze idzie z laską dla niewidomych. Ma zamknięte oczy.

– Już nikt się nie wstydzi takiego zachowania – odpowiada Shannon i spogląda na swoje buty. – Do tego już doszło.

Gdy podjeżdżają do apteki, Shannon podnosi rękę i zakrywa oczy. Malorie rozgląda się po parkingu i widzi, że inni robią to samo.

– Boisz się, że coś zobaczysz? – pyta.

– Nikt jeszcze nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Malorie widziała duże żółte logo apteki z milion razy, ale dziś jakoś wyjątkowo ją odrzuca.

No to idziemy kupić twój pierwszy test ciążowy, myśli, wysiadając z samochodu.

Siostry przecinają parking.

– Wydaje mi się, że powinny być w dziale leków – szeptem Shannon i otwiera drzwi do apteki, ciągle zasłaniając oczy.

– Shannon, przestań.

Malorie idzie do działu planowania rodziny. Na półce są testy różnych marek. First Response, Clearblue Easy, New Choice oraz sześć innych.

– Jest ich zdecydowanie za dużo – mówi Shannon i bierze jeden z półki. – Już nikt nie używa prezerwatyw?

– Który mam wybrać?

Shannon wzrusza ramionami.

– Ten wygląda równie dobrze jak pozostałe.

Mężczyzna w alejce obok otwiera pudło z bandażami. Jednym z nich przewiązuje sobie oczy.

Siostry podchodzą z wybranym testem do kasy. Akurat pracuje Andrew, który jest rówieśnikiem Shannon i kiedyś zaprosił ją na randkę. Malorie chce już mieć jego docinki za sobą.

– Co za niespodzianka – mówi Andrew i skanuje małe pudełeczko.

– Zamknij się – odpowiada Shannon. – To dla naszej suczki.

– O proszę, macie psa?

– Owszem. – Shannon odbiera torebkę z zakupem. – I jest bardzo popularna w okolicy.

Powrót do domu jest dla Malorie prawdziwą torturą. Plastikowy pakunek leżący między siedzeniami sugeruje, że jej życie się zmieniło, właściwie już bezpowrotnie.

– Patrz. – Shannon wystawia rękę przez okno samochodu, tę samą, której zazwyczaj używa do zasłaniania oczu.

Podjeżdżają powoli do znaku stop. Przed domem na rogu zauważają kobietę, która weszła na drabinkę i przybija kołdrę, żeby zasłonić okna werandy.

– Gdy wrócimy, zrobię to samo – oznajmia Shannon.

– Proszę cię...

Ich ulica, na której zazwyczaj bawiły się dzieci sąsiadów, jest teraz pusta. Nie ma niebieskiego, oblepionego naklejkami rowerka trójkołowego, nie ma kijów do minibejsbola.

Gdy są już w domu, Malorie idzie do łazienki, a Shannon od razu włącza telewizor.

– Wydaje mi się, że musisz na to nasikać, Malorie! – krzyczy Shannon.

W łazience do Malorie docierają nowe wiadomości.

Zanim pod drzwiami pojawia się Shannon, Malorie już od jakiegoś czasu wpatruje się w różowy pasek i potrząsa głową.

– O kurczę – kwituje Shannon.

– Muszę zadzwonić do mamy i taty – mówi Malorie, a jej cząstka już zaczyna mobilizować się do działania. Dobrze wie, że choć jest singielką, urodzi to dziecko.

– Przede wszystkim to musisz zadzwonić do Henry’ego Martina – sugeruje Shannon.

Malorie rzuca szybkie spojrzenie w stronę siostry. Bo Henry Martin nie odegra większej roli w wychowaniu tego dziecka. Jest o tym przekonana. I w jakiś sposób Malorie już to zaakceptowała. Siostry wchodzą razem do salonu, gdzie przed telewizorem piętrzą się pudła z nierozpakowanymi rzeczami. Trwa transmisja z jakiegoś pogrzebu. Dziennikarze CNN prowadzą na jego temat dyskusję. Shannon podchodzi do odbiornika i ścisza go. Malorie siada na kanapie i dzwoni do Henry’ego Martina ze swojej komórki.

Ten nie odbiera. Więc Malorie wysyła do niego wiadomość:

„Pilna sprawa. Oddzwonź do mnie jak najszybciej”.

Nagle Shannon podrywa się z kanapy i zaczyna wrzeszczeć:

– Widziałaś, Malorie? Był incydent w Michigan! Wydaje mi się, że wspomnieli o Górnym Półwyspie!

Teraz Malorie zaczyna myśleć o rodzicach. Gdy Shannon znów robi głośniej, siostry dowiadują się, że w miasteczku Iron Mountain znaleziono parę staruszków powieszonych na drzewie niedaleko lasu. Reporter mówi, że powiesili się na własnych paskach.

Malorie dzwoni do matki, która odbiera telefon po dwóch sygnałach.

– Malorie.

– Mamo.

– Pewnie dzwonicz z powodu tego, co mówią w wiadomościach?

– Nie, nie dlatego. Jestem w ciąży, mamo.

– Na miłość boską, Malorie. – Matka milknie na chwilę, a Malorie słyszy, jak gdzieś w tle gra telewizor. – Czy to jakiś poważny związek?

– Nie, to wpadka.

Shannon stoi teraz centralnie przed telewizorem. Ma szeroko otwarte oczy. Wskazuje na odbiornik, jakby chciała przypomnieć Malorie, co jest teraz najważniejsze. Matka nadal milczy.

– Dobrze się czujesz, mamo?

– No cóż, teraz bardziej martwię się twoim stanem, kochanie.

– Tak. Trochę zły czas.

– W którym miesiącu jesteś?

– Myślę, że to piąty tydzień. Może szósty.

– I chcesz zatrzymać to dziecko? Już podjęłaś decyzję?

– Tak. To znaczy, dopiero się dowiedziałam... Kilka minut temu... Ale tak, zamierzam je urodzić.

– Czy ojciec dziecka już wie?

– Napisałam do niego. I jeszcze będę dzwonić. – Malorie przerywa, ale po chwili mówi dalej: – Mamo, czy czujesz się tam bezpieczna? Czy wszystko jest w porządku?

– Nie wiem, po prostu nie wiem. Nikt tu nic nie wie i wszyscy bardzo się boją. Ale ja teraz bardziej martwię się o ciebie.

Na ekranie jakaś kobieta, przy pomocy diagramu, tłumaczy przebieg wydarzeń. Rysuje linię biegnącą od lokalnej drogi, gdzie porzucono samochód

staruszków. Matka Malorie mówi właśnie, że zna kogoś, kto znał tych ludzi.

– Mieli na nazwisko Mikkonen – dopowiada.

Kobieta w telewizji stoi teraz na czymś, co przypomina zakrwawioną trawę.

– Boże – wzdycha Shannon.

– Och, jak bardzo chciałabym, żeby wasz ojciec był w domu – skarży się matka. – A do tego ty jesteś teraz w ciąży... Och, Malorie...

Shannon wrywa siostrze telefon. Pyta matkę, czy zna więcej szczegółów na temat tej sprawy. Co mówią okoliczni mieszkańcy? Jak ludzie próbują się zabezpieczać?

Gdy Shannon prowadzi ożywioną rozmowę przez telefon, Malorie wstaje z kanapy. Podchodzi do drzwi wejściowych i otwiera je.

Patrzy na ulicę i myśli: *Na ile to wszystko jest niebezpieczne?*

Na podwórkach nie ma żadnych sąsiadów. W oknach domów nie widać żadnych twarzy. Właśnie przejeżdża jakiś samochód, ale Malorie nie widzi twarzy kierowcy, ponieważ ten zasłania się ręką.

Na trawniku przed ich domem leży poranna gazeta. Malorie podchodzi do niej. Pierwsza strona informuje o rosnącej liczbie wypadków. Nagłówek głosi: „Kolejny incydent”. Ale Shannon już pewnie opowiedziała jej wszystko to, co jest w gazecie. Malorie podnosi czasopismo i przegląda. Jej uwaga skupia się nagle na ostatniej stronie.

To drobne ogłoszenie. Dom w Riverbridge otwiera swoje podwoje dla nieznanomych. To rodzaj kryjówki. Azyl. Miejsce, które według właścicieli stanie się „sanktuarium”, szczególnie że mnożą się złe wieści.

Malorie właśnie po raz pierwszy doświadcza prawdziwego uczucia paniki. Znowu rozgląda się po ulicy. Ciągłe trzyma gazetę. Odwraca się i patrzy przez ramię w stronę domu, skąd dobiegają dźwięki telewizora. Wewnątrz Shannon właśnie przyczepia na jednym z okien salonu koc.

– Wejź – mówi Shannon. – Chodź do środka. I zamknij drzwi.

Pięć

Za sześć miesięcy urodzą się dzieci. Po Malorie już widać. Koce wiszą w każdym oknie w domu. Frontowe drzwi zawsze są zaryglowane i nigdy nie zostawia się ich otwartych. Doniesienia o niewytłumaczalnych wydarzeniach pojawiają się z niewyobrażalną częstotliwością. Kiedyś występowały dwa razy w tygodniu, teraz praktycznie codziennie. Przedstawiciele rządu udzielają wywiadów w telewizji. Do incydentów dochodzi wszędzie, od Main położonego na dalekim wschodzie kraju po Florydę na południu. Teraz obie siostry przestrzegają zasad bezpieczeństwa. Shannon, która codziennie czyta niezliczone blogi, boi się tej mieszaniny różnych koncepcji – po trochu ze wszystkiego. Malorie nie wie, w co wierzyć. Nowe hipotezy pojawiają się w sieci niemal co godzinę. Tylko tym żyją obecnie media społecznościowe. Temat nie schodzi też z nagłówek gazet. Nowe strony internetowe zajmują się wyłącznie sprawozdaniami z rozwoju bieżących wypadków. Jedna z nich przedstawia mapę świata z czerwonymi bużkami, które reprezentują miasta, w których doszło do incydentów. Gdy Malorie ostatnio sprawdzała, było tych buziek ponad trzy tysiące. To, co się dzieje, internet nazywa „Problemem”. Panuje powszechne przekonanie, że „Problem” zaczyna się wówczas, gdy dana osoba „coś zobaczy”.

Malorie starała się nie wierzyć w to tak długo, jak tylko mogła. Była to główna przyczyna kłótni między siostrami. Malorie reprezentowała stanowisko internautów, którzy szydzili z masowej histerii, a Shannon cytowała całą resztę. Lecz w pewnym momencie Malorie musiała ustąpić. Zwłaszcza gdy jej ulubione strony, a właściwie autorzy tych blogów zaczęli wyrażać swoje zaniepokojenie.

Pękają nawet najwięksi sceptycy, myślała.

W tamtych dniach Malorie żyła jakby podwójnym życiem. Żadna z sióstr nie

wyszła już więcej z domu. Obie raz za razem upewniały się, że okna są szczelnie zasłonięte. Oglądały różne kanały informacyjne, CNN, MSNBC czy Fox, aż w końcu nie były już w stanie patrzeć na stale powtarzające się, te same historie. Shannon stawała się coraz bardziej poważna, wręcz śmiertelnie poważna, za to Malorie żywiła się resztką nadziei, że to wszystko po prostu minie.

Ale nie mijało. I było coraz gorzej.

Po trzech miesiącach życia w izolacji Malorie i Shannon musiały zmierzyć się z największym lękiem – rodzice przestali odbierać telefon. Nie odpowiadali też na maile.

Malorie chciała pojechać na Górny Półwysep. Lecz Shannon była temu przeciwna.

– Pozostała nam tylko nadzieja, że są bezpieczni, Malorie. Musimy wierzyć w to, że ich telefony zostały po prostu wyłączone. Jechanie teraz gdziekolwiek to głupota. Nawet do sklepu, nie mówiąc już o dziewięciogodzinnej podróży. To samobójstwo.

„Problem” zawsze kończył się samobójstwem. Kanał Fox News tak często nadużywał tego określenia, że teraz zaczęto stosować synonimy. „Autodestrukcja”. „Samozniszczenie”. „Harakiri”. Jeden z dziennikarzy opisał to nawet jako „samounicestwienie”, ale to się jakoś nie przyjęło. Instrukcje rządowe wyświetlane były na ekranach. Wprowadzono godzinę policyjną. Ludzie mają ryglować drzwi, zasłaniać okna i, co najważniejsze, nie wyglądać na zewnątrz. Z radia zniknęła muzyka, zastąpiona nieustannymi debatami.

Zaciemnienie, myśli Malorie. Zostaliśmy odcięci od zewnętrznego świata.

Nikt nie zna odpowiedzi na pojawiające się zewsząd pytania. Nikt nie wie, co się dzieje. Ludzie widzą coś, co zmusza ich do krzywdzenia innych, a w końcu samych siebie.

Ludzie umierają.

Ale dlaczego?

Malorie próbuje się uspokoić i skupia się na dziecku, które rośnie w jej brzuchu. Wygląda na to, że rzeczywiście odczuwa wszystkie symptomy opisane w poradniku *W oczekiwaniu na dziecko*. Delikatne krwawienie. Bolesność piersi. Zmęczenie. Shannon wytyka jej zmienność nastrojów, ale to zachcianki doprowadzają Malorie do szaleństwa. Ze strachu przed jeżdżeniem do sklepu siostry zrobiły duży zapas jedzenia zaraz po tym, jak test ciążowy wyszedł pozytywnie. Ale smaki Malorie zupełnie się zmieniły. Normalne

jedzenie ją odrzuca. Musi więc tworzyć swoje kombinacje. Pomarańczowe brownie. Kurczak z sosem koktajlowym. Surowa ryba na toście. Marzy o lodach. Często patrzy na drzwi i myśli, jak niewiele dzieli ją od złapania za kierownicę od samochodu i pojechania do sklepu. Wie przecież, że to tylko piętnaście minut stąd. Lecz za każdym razem, gdy coraz bardziej się ku temu skłania, w telewizji podają kolejne straszne wieści. Poza tym kto wie, czy w sklepach pojawiają się jeszcze jacyś pracownicy?

– Jak myślisz, co ludzie widzą? – pyta swoją siostrę Malorie.

– Nie wiem, Mal. Nie mam pojęcia.

Siostry ciągle zadają sobie to pytanie. Nie sposób już zliczyć teorii, które powstały na ten temat w internecie. Wszystkie wpędzają Malorie w przerażenie. Choroba psychiczna wywołana falami radiowymi. Błąd w ewolucji ludzkiego gatunku. Zwolennicy ruchu New Age twierdzą, że ludzkość odbiera wpływ Ziemi, która lada moment wybuchnie, lub Słońca, które gaśnie.

Niektórzy wierzą, że stoją za tym jakieś istoty pozaziemskie.

Rząd natomiast nie mówi nic, oczywiście prócz tego, żeby ryglować drzwi.

Malorie siedzi sama w salonie na kanapie, powoli masuje swój brzuch i ogląda telewizję. Nie nadają w niej nic optymistycznego, więc boi się, że dziecko czuje jej zdenerwowanie. W poradniku *W oczekiwaniu na dziecko* napisane jest, że może się tak stać. Bo dziecko przeżywa emocje matki. A jednak nie potrafi oderwać się od newsów. Na biurku pod ścianą komputer jest ciągle włączony. Do tego w tle gra radio. Wszystko razem powoduje, że Malorie ma wrażenie, jakby była na naradzie wojennej. W centrum wszystkiego, podczas gdy świat rozpada się na kawałki. To ją przerasta. Nie ma żadnych reklam, a serwisy informacyjne raz na jakiś czas przerywają transmisję, ze wstydem okazując zdziwienie, gdy dostają kolejne informacje na antenie.

Pomimo hałasu powodowanego przez media Malorie słyszy, jak Shannon krząta się na piętrze.

Gdy Gabriel Townes, jeden z czołowych korespondentów CNN, w ciszy czyta coś z kartki papieru, którą mu właśnie wręczono, Malorie słyszy na górze głuchy łomot. Zatrzymuje się na moment.

– Shannon! – woła. – Wszystko okej?

Gabriel Townes nie wygląda dobrze. Ostatnio dużo występuje w telewizji. CNN poinformowało, że większość reporterów przestała przychodzić do

pracy. Townes sypia w siedzibie stacji. „Przejdziemy przez to razem” – to jego nowy slogan. Nie ma już idealnej fryzury. Prawie nie używa make-upu. Tym bardziej przejmujący jest sposób, w jaki przedstawia newsy. Twarz ma zapadniętą.

– Shannon?

Gabriel Townes po cichu omawia ścięcie głowy w Toledo. To jakieś sto trzydzieści kilometrów stąd.

– Shannon?! Co ty tam robisz na górze?

Brak odpowiedzi. Townes ściszone głosem mówi z ekranu telewizora. Nie ma żadnych wykresów. Nie ma muzyki. Żadnych przerywników.

Malorie, stojąc na środku pokoju, patrzy na sufit. Jeszcze bardziej ścisza telewizję, wyłącza radio i idzie w stronę schodów.

Przy balustradzie powoli spogląda na dywan na półpiętrze. Światła są zgaszone, ale na ścianie widać jakby cieniutki promień słońca. Malorie kładzie dłoń na drewnianej poręczy i zaczyna wchodzić. Odwraca się przez ramię, patrzy na drzwi wejściowe, w głowie ma mieszaninę wszystkich wypadków przedstawionych przez media.

Wchodzi po schodach.

– Shannon?

Jest już na górze. Cała się trzęsie. Gdy wchodzi na korytarz, zauważa, że w sypialni Shannon widać światło słoneczne. Powoli podchodzi do otwartych drzwi i zagląda do środka.

Róg okna jest odsłonięty. Kawałek koca luźno zwisa.

Malorie szybko odwraca wzrok. Wokół panuje spokój, tylko z dołu dobiega szmer telewizora.

– Shannon?

Drzwi do łazienki na końcu korytarza są otwarte. Pali się światło. Malorie rusza w jego kierunku. Na progu wstrzymuje oddech i patrzy.

Shannon leży na podłodze, twarzą do góry. Z jej piersi sterczą nożyczki. Otacza ją kałuża krwi, która rozlewa się na kafelki. Wygląda to tak, jakby krwi było więcej niż jej ciało mogłoby pomieścić.

Malorie zaczyna krzyczeć, łapie za framugę drzwi i osuwa się na podłogę. Ostre łazienkowe światło obnaża każdy szczegół. Oczy Shannon są nieruchome. Jej bluzka przywarła do klatki piersiowej z wbitymi nożyczkami.

Malorie czołga się do wanny i wymiotuje. Jest cała we krwi swojej siostry. Próbuje ocucić Shannon, ale wie, że to niemożliwe. Wstaje, mówi do niej,

postanawia sprowadzić pomoc. Wyciera ręce z krwi, zbiega na dół i bierze telefon z sofy. Dzwoni na policję. Ale tam nikt nie odbiera. Dzwoni jeszcze raz. I znów nikt nie odbiera. Dzwoni więc do rodziców. Oni też nie odbierają. Odwraca się i biegnie do drzwi. Musi znaleźć pomoc. Łapie za gałkę, ale coś powstrzymuje ją przed jej przekręceniem.

Dobry Boże, myśli. Shannon nigdy by tego nie zrobiła z własnej woli. Boże, to prawda! Coś musi być na zewnątrz.

A cokolwiek zobaczyła Shannon, to coś musi być blisko domu.

Tylko ten kawałek drewna dzieli ją od tego, co zabiło jej siostrę.

Od tego, co Shannon zobaczyła.

Słyszy tylko wiatr hulający za drzwiami. Nic więcej. Żadnych samochodów. Żadnych sąsiadów. Jedynie martwa cisza.

Jest sama. Nagle, przytłoczona cierpieniem, pojmuję, że potrzebuje wsparcia. Potrzebuje bezpieczeństwa. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby opuścić ten dom.

Prześladuje ją widok martwej siostry. Malorie rusza do kuchni, gdzie pod zlewem leży sterta gazet. Zaczyna je przeglądać w amoku. Oddycha ciężko, oczy ma szeroko otwarte, dokładnie sprawdza ostatnią stronę każdej z nich.

W końcu udaje się.

Ogłoszenia drobne. Riverbridge. Obcy ludzie zapraszają innych nieznajomych do własnego domu. Malorie ponownie czyta ogłoszenie. I jeszcze raz. Upada na kolana, ściskając gazetę.

Riverbridge znajduje się dwadzieścia minut drogi stąd. Shannon zobaczyła coś na zewnątrz i to ją zabiło. Malorie musi znaleźć schronienie dla siebie i dla dziecka.

Nagle jej ciężki oddech zamienia się w potok gorących łez. Nie wie, co ma robić. Nigdy w życiu tak się nie bała. Wszystko w niej płonie, jakby stała w ogniu.

Głośno płacze. Oczami pełnymi łez znów czyta ogłoszenie.

Krople spadają na gazetę.

Sześć

– Co to było, Chłopczyku?

– Słyszałaś to?

– Co? Co usłyszałeś? Mów szybko!

– Posłuchaj.

Malorie słucha. Przestaje wiosłować i słucha. Słyszy wiatr. Słyszy rzekę. Wysoko w górze słycać ćwierkanie ptaków. Od czasu do czasu jakieś małe stworzenie przemknie w koronach drzew. Słyszy też swój ciężki oddech i uderzenia serca. I poza całym tym hałasem, w mieszaninie tych dźwięków, do jej uszu dobiega odgłos, który przyprawia ją o paniczny strach.

Coś jest w wodzie.

– Nie odzywajcie się! – szepce Malorie.

Dzieci milkną. Malorie kładzie wiosła na kolanach i siedzi nieruchomo.

W wodzie jest coś dużego. Coś, co podnosi jej poziom i pluska. Malorie, która przecież tyle pracy włożyła w uchronienie dzieci przed szaleństwem, teraz zastanawia się, czy odpowiednio przygotowała je na inne niebezpieczeństwa.

Taka rzeka na przykład... Na pewno została opanowana przez dzikie zwierzęta, bo przecież ludzie ostatnio rzadko tu bywają.

Łódź przechyla się na prawą stronę. Malorie czuje ciepło bijące od czegoś, co dotyka stalowego brzegu, dokładnie tam, gdzie opiera końce wiosła.

Ptaki w koronach drzew cichną.

Malorie wstrzymuje oddech, myśli o dzieciach.

Co bawi się dziobem łódki?

Czy to ta tajemnicza istota?, rozmyśla, czując nadchodzącą histerię. Boże, nie, błagam. Niech to będzie jakieś zwierzę. Błagam!

Malorie wie, że nawet gdyby dzieci zdjęły swoje opaski i zaczęły krzyczeć z powodu ogarniającego je szaleństwa, to ona za nic nie otworzy oczu.

Bez wiosłowania łódka dryfuje w sposób niekontrolowany. Malorie bierze więc wiosło i przygotowuje się do zamachu.

Lecz nagle słyszy jakiś dźwięk, jakby coś przecinało wodę. To coś się porusza. Jakby oddalało się. Malorie oddycha tak ciężko, że aż z trudem łapie powietrze.

Słyszy szelest liści na brzegu po lewej stronie i wyobraża sobie, że to coś wypełzło na ląd.

Albo wyszło na dwóch nogach.

Czy gdzieś tam stoi jakaś istota? I przygląda się konarom drzew i mułowi u swych stóp?

Myśli te przypominają jej o Tomie. Cudownym Tomie, który dosłownie każdą chwilę dnia poświęcał zastanawianiu się, jak przetrwać w tym nowym, okrutnym świecie. Bardzo chciałaby, żeby był teraz przy niej. On na pewno wiedziałby, jakie stworzenie wydaje takie dźwięki.

To niedźwiedź czarny, wmawia sobie w myślach.

Znow słysząc śpiew ptaków. Wszystko wokół wraca do życia.

– Dobrze sobie poradziliście – dyszy Malorie. Głos ze strachu więźnie jej w gardle.

Zaczyna wiosłować, a za chwilę do plusku wiosł zanurzanych w wodzie dochodzi dźwięk przesuwanych przez Dziewczynkę elementów układanki.

Malorie wyobraża sobie dzieci, z opaskami na oczach, pewnie onieśmiela je światło słoneczne, może lekko przenika przez paski materiału. Jej własna opaska jest wilgotna i mocno zawiązana z tyłu głowy. Drażni skórę za uszami. Czasem udaje jej się to ignorować. A czasem nie może myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się podrapać. Mimo zimna Malorie co chwilę zanurza palec w rzece i nawilża tkaninę w miejscach otarcia. Tuż powyżej uszu. U nasady nosa. Z tyłu głowy, pod węzłem. Namoczenie materiału pomaga, lecz Malorie nie może się przyzwyczaić do opaski na twarzy. Jej oczy i rzęsy również są zmęczone tkaniną.

Niedźwiedź czarny, powtarza sobie w myślach.

Ale nie jest tego wcale taka pewna.

Tego typu wahania towarzyszą Malorie podczas każdej czynności od czterech i pół roku. Od momentu, w którym postanowiła odpowiedzieć na ogłoszenie w gazecie i pojechała do domu w Riverbridge. Od tego czasu każdy usłyszany przez nią hałas przyprawia ją o dużo gorsze wizje niż jakiegokolwiek ziemskie stworzenie.

– Bardzo dobrze sobie poradziliście – mówi do dzieci Malorie, choć cała drży. Chce dodać im pewności, lecz brzmienie jej głosu zdradza strach.

Siedem

Riverbridge.

Malorie była w tej okolicy raz, kilka lat temu. Na przyjęciu sylwestrowym. Nie może nawet przypomnieć sobie imienia dziewczyny, która je wydawała. Jakaś Marcy. Może Maribel. To Shannon ją знаła i to ona wtedy prowadziła. Na drogach było dużo roztopionego śniegu. Brudne, szare bryły leżały po obu stronach ulicy. Goście wrzucali zwisające z dachu sople do swoich drinków. Ktoś rozebrał się do połowy i napisał na śniegu „Rok 2009”.

Teraz jest środek lata, połowa lipca, i to Malorie prowadzi samochód. Wystraszona, sama jak palec i pogrążona w żałobie.

Podróż jest bardzo trudna. Nie może jechać szybciej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. W panice rozgląda się za znakami drogowymi i innymi pojazdami. Zamyka oczy i otwiera je znowu, cały czas prowadząc.

Drogi są opustoszałe. Każdy mijany przez nią dom ma okna zabite deskami lub zakryte kocami. Witryny sklepów świecą pustkami. Podobnie jak parkingi wokół okolicznych centrów handlowych. Malorie szybko zerka na drogę przed sobą i próbuje podążać trasą wyznaczoną na mapie, która leży obok. Ręce trzyma na kierownicy, ale nie ma w nich siły. Oczy boją od płaczu. Czuje wszechogarniające poczucie winy, że musiała zostawić swoją siostrę, martwą, w łazience na podłodze.

Nie mogła jej nawet pochować. Po prostu musiała ją tak zostawić.

Nie zadzwoniła się do żadnego szpitala. Ani do żadnego domu pogrzebowego. Malorie częściowo przykryła ciało niebiesko-białym szalem. Shannon go uwielbiała.

Radio ciągle przerywa. Jakiś mężczyzna mówi, że może wybuchnąć wojna. Społeczeństwo jest podzielone, dodaje, ale potem zasięg radia znika. Na poboczu stoi porzucony samochód. Ma pootwierane drzwi. Z siedzenia

pasażera zwisa marynarka, która dotyka ziemi. Malorie szybko patrzy przed siebie. Potem zamyka oczy. I za moment znów je otwiera.

Radio znowu gra. Mężczyzna ciągle mówi o wojnie. Po prawej stronie coś się porusza, Malorie widzi to kątem oka. Nie chce na to patrzeć. Zamyka prawe oko. W oddali na drodze ląduje jakiś ptak i znów podrywa się do lotu. Gdy Malorie dojeżdża do tego miejsca, widzi, że ptak zainteresował się martwym psem. Jedź dalej. Samochód podskakuje, Malorie uderza głową w sufit, jej walizka grzechocze na tylnym siedzeniu. Malorie cała się trzęsie. Pies nie był po prostu martwy, był zmasakrowany. Malorie zamyka oczy. I otwiera.

Ptak, może nawet ten sam, kracze gdzieś ponad nią. Malorie mija Roundtree Street. Horton. Wie, że jest coraz bliżej. Coś gwałtownie poruszyło się po jej lewej stronie. Mija opuszczony samochód pocztowy. Wszystkie listy rozsypane są na betonie. Ptak bardzo obniża lot, niemal uderza w przednią szybę jej wozu. Malorie krzyczy, zamyka oczy i znów je otwiera. Gdy to robi, zauważa kierunkowskaz, którego szuka.

Shillingham.

Skręca w prawo. Lekko hamuje na rogu Shillingham Lane. Nie potrzebuje mapy, żeby znaleźć numer 273. Miała go w głowie przez całą drogę.

Oprócz kilku samochodów zaparkowanych po prawej stronie domu ulica jest pusta. Okolica jest zupełnie zwyczajna, podmiejska. Wszystkie domy są do siebie podobne. Trawniki zarosły. Każde okno jest zasłonięte. W pośpiechu Malorie zerka na dom, pod którym stoją samochody, i wie, że to dokładnie ten, którego szuka.

Zamyka oczy i hamuje.

Zatrzymuje się, ciężko oddycha. W myślach przypomina sobie obraz domu.

Garaż jest po prawej. Drzwi do garażu, beżowe, są zamknięte. Dach kryty brązowym gontem spoczywa na białym sidingu i ceglach. Drzwi frontowe mają ciemniejszy odcień brązu. Okna są zakryte. Dom ma poddasze.

Malorie zbiera się w sobie, odwraca się i łapie za uchwyt walizki. Oczy ma ciągle zamknięte. Budynek znajduje się jakieś piętnaście metrów przed nią. Wie, że nie zaparkowała blisko krawężnika. Ale nie przejmuje się tym. Żeby się uspokoić, oddycha głęboko, równomiernie. Walizka leży obok niej na siedzeniu pasażera. Malorie nasłuchuje z zamkniętymi oczami. Upewniwszy się, że nic nie słyszy, otwiera drzwi po stronie kierowcy i wysiada. Sięga po swoje rzeczy.

Dziecko kopie.

Malorie sapie i mocuje się z bagażem. Niemal otworzyła oczy, żeby spojrzeć na swój brzuch, lecz zamiast tego kładzie teraz na nim ręce i masuje go.

– Jesteśmy na miejscu – szepce.

Podnosi walizkę i na ślepo, ostrożnie, podchodzi do trawnika z przodu domu. Gdy czuje trawę pod stopami, przyspiesza kroku i podchodzi do niskich krzewów. Igły wbijają się jej w nadgarstki i biodro. Cofa się, słucha, czuje, że stoi na betonie. Uważnie kieruje się w stronę drzwi. Przynajmniej tak sądzi.

Ma rację. Taszczy walizkę na werandę. Obmacuje palcami cegły w poszukiwaniu dzwonka. Dzwoni.

Na początku zero odzewu. Malorie czuje, że jest u kresu sił, tracąc zupełnie nadzieję. Jechała taki kawał drogi, podjęła wyzwanie, i po co? Po nic? Znów dzwoni. I znowu, i za chwilę jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi. Zaczyna pukać, wręcz rozpaczliwie walić w drzwi.

Nikt nie odpowiada.

I nagle... słyszy przyciszone głosy dobiegające z wnętrza domu.

O Boże! Ktoś tam jest! Ktoś jest w tym domu!, myśli.

– Halo? – nawołuje cichutko, a dźwięk jej własnego głosu na pustej ulicy przeraża ją. – Halo! Przeczytałam ogłoszenie w gazecie!

Cisza. Malorie czeka, nasłuchuje. Nagle ktoś się do niej odzywa.

– Kim jesteś? – pyta męski głos. – Skąd przyjechałaś?

Malorie odczuwa ulgę, nadzieja wraca. Chce jej się płakać.

– Mam na imię Malorie! Przyjechałam z Westcourt!

Znów chwila ciszy. I kolejne pytanie:

– Masz zamknięte oczy? – Teraz odzywa się inny mężczyzna.

– Tak! Mam zamknięte oczy.

– Długo miałaś zamknięte oczy?

Wpuśćcie mnie!, błaga w myślach. **WPUŚĆCIE MNIE!**

– Nie – odpowiada. – To znaczy tak. Przyjechałam samochodem z Westcourt. Zamykałam oczy, gdy tylko mogłam.

Słyszy ściszone głosy. Niektóre są gniewne. Ludzie za drzwiami debatują, czy ją wpuścić.

– Nic nie widziałam! – woła. – Przysięgam. Jestem bezpieczna. Oczy mam zamknięte. Błagam. Przeczytałam ogłoszenie w gazecie.

– Nie otwieraj oczu – zarządza w końcu mężczyzna. – Otwieramy drzwi. Gdy będą już otwarte, wejdź do środka, najszybciej jak możesz. Okej?

– Okej. Tak. Oczywiście.

Czeka. Powietrze jest nieruchome, panuje spokój. Nic się nie dzieje. Nagle słyszy trzask drzwi. Szybko robi krok naprzód. Łapią ją czyjeś ręce i wciągają do wnętrza domu.

– A teraz czekaj – odzywa się tym razem kobieta. – Musimy się rozejrzeć. Musimy sprawdzić, czy jesteś sama.

Malorie stoi z zamkniętymi oczami i słucha. Dźwięk jakby miotłami przesuwali po ścianach. Więcej niż jedna para rąk dotyka jej ramion, szyi, nóg. Teraz ktoś jest za jej plecami. Słyszy, że czyjeś palce zamykają drzwi.

– W porządku – mówi mężczyzna. – Wszystko okej.

Gdy Malorie otwiera oczy, widzi, że w rzędzie stoi przed nią pięć osób. Ramię w ramię. Wypełniają cały przedpokój. Malorie patrzy na nich. A oni patrzą na nią. Jeden mężczyzna ma na sobie dziwny hełm. Jego ramiona pokryte są czymś, co przypomina bawełniane kulki i taśmę klejącą. Długopisy, ołówki i inne ostre przedmioty sterczą z tej taśmy. Wygląda to wszystko jak dziecięca wersja średniowiecznej zbroi. Dwie osoby trzymają szczotki.

– Witaj – odzywa się mężczyzna. – Ja jestem Tom. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego przestrzegamy zasad bezpieczeństwa podczas otwierania drzwi. Istnieje ryzyko, że coś mogłoby się wślizgnąć do środka razem z tobą.

Mimo hełmu Malorie dostrzega, że Tom ma ciemne blond włosy. I wyraziste rysy. Z jego niebieskich oczu bije inteligencja. Jest niewiele wyższy od Malorie. Kilkudniowy zarost jest niemal rudy.

– Rozumiem.

– Westcourt? – Tom robi krok w jej stronę. – Kawał drogi. To, co zrobiłaś, jest bardzo odważne. Może usiądziesz i opowiesz nam, co widziałaś po drodze.

Malorie przytakuje, ale się nie rusza. Ścisną swoją walizkę tak mocno, że aż z bólu pobieleły jej palce. Wyższy i większy mężczyzna podchodzi do niej.

– Pozwól – mówi. – Wezmę to od ciebie.

– Dziękuję.

– Mam na imię Jules. Jestem tu od dwóch miesięcy. Tak jak większość z nas. Tylko Tom i Don przybyli tu trochę wcześniej.

Krótkie ciemne włosy Jules'a wyglądają na brudne. Jakby pracował w ogrodzie. Wydaje się miły.

Malorie patrzy na twarze każdego z jej nowych współlokatorów. Jedna kobieta i czterech mężczyzn.

– Ja jestem Don – mówi kolejny z nich, też ma ciemne włosy. Nieco dłuższe. Ma na sobie czarne spodnie i fioletową koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci. Wygląda na starszego od Malorie. Może mieć dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat. – Napędziłaś nam niezłego stracha. Od miesiący nikt nie pukał do tych drzwi.

– Przepraszam.

– Nie przejmuj się – odzywa się kolejny mężczyzna. – Każdy z nas zrobił dokładnie to co ty. Jestem Felix.

Felix wygląda na zmęczonego. Według Malorie jest najmłodszy. Ma może dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata. Jego długi nos i bujne brązowe włosy sprawiają, że wygląda jak postać z kreskówki. Jest wysoki jak Jules, ale szczuplejszy.

– Ja jestem Cheryl – przedstawia się kobieta i wyciąga rękę, którą Malorie ściska na powitanie.

Nie wygląda tak przyjacielsko jak Tom czy Felix. Jej twarz jest częściowo ukryta pod brązowymi włosami. Ma na sobie koszulkę na ramiączka. Ona też sprawia wrażenie, jakby właśnie przeszkodzono jej w jakiejś pracy fizycznej.

– Jules, pomożesz mi to zdjąć? – prosi Tom. Próbuje pozbyć się hełmu, lecz własnej roboty zbroja mu to utrudnia.

Jules mu pomaga.

Teraz Malorie może się lepiej przyjrzeć Tomowi. Jego słomkowe blond włosy są w nieładzie. Delikatne piegi nadają ton karnacji. Broda to tylko kilkuniedniowy zarost, ale wąsy są bardziej wyraziste. Kraciasta koszula i luźne spodnie przypominają Malorie jej nauczyciela z dawnych lat.

Uważnie mu się przypatrując, Malorie nie zauważa, że przygląda się jej brzuchowi.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale czy ty jesteś w ciąży?

– Tak – odpowiada słabym głosem, przerażona tym, że to może być problem.

– O kurwa – mówi Cheryl. – To chyba jakiś żart.

– Cheryl – odzywa się Tom. – Przestań, bo ją przestraszysz.

– Widzisz... Malorie, tak? Zgadza się? – ciągnie dalej Cheryl. – Nie chcę wyjść na zołzę, ale przyjęcie ciężarnej kobiety pod ten dach to nie lada odpowiedzialność.

Malorie milczy. Patrzy na twarze swych towarzyszy, próbuje odczytać ich intencje. Oni też uważnie jej się przyglądają i zastanawiają się, czy to dobry pomysł przyjąć pod wspólny dach kogoś, kto za chwilę urodzi dziecko. Nagle

dociera do Malorie, że nigdy wcześniej nie myślała o tym w takich kategoriach. Podczas całej wyprawy nie przyszło jej do głowy, że zmierza do miejsca, gdzie będzie rodzić.

Czuje łzy napływające do oczu.

Cheryl potrząsa głową i łagodnieje. Podchodzi do Malorie.

– Mój Boże – mówi. – No chodź do mnie.

– Nie zawsze byłam sama – tłumaczy Malorie. – Była ze mną moja siostra, Shannon. Ale teraz nie żyje. Zostawiłam ją.

Zaczyna płakać. Przez łzy widzi rozmazany obraz. Czterech mężczyzn przygląda się jej. Widać, że ze współczuciem. Malorie nagle rozumie, że i oni przeżyli jakąś stratę.

– Chodź – odzywa się Tom. – Pokażę ci dom. Możesz zająć sypialnię na górze. Ja będę spał na dole.

– Nie – odpowiada Malorie. – Nie chcę zabierać pokoju żadnemu z was.

– Nalegam. Cheryl śpi w pokoju na końcu tego korytarza. Felix obok sypialni, którą ty zajmiesz. W końcu jesteś w ciąży. Postaramy ci się pomóc najlepiej, jak potrafimy.

Idą wzdłuż korytarza. Mijają sypialnię po lewej stronie. Potem łazienkę. Malorie widzi swoje odbicie w lustrze, lecz szybko odwraca wzrok. Po lewej stronie widzi kuchnię. Na blacie stoją wielkie wiadra.

– To – mówi Tom – jest nasz salon. Spędzamy w nim większość czasu.

Malorie odwraca się, żeby spojrzeć na duże pomieszczenie, na które wskazuje Tom. Jest w nim kanapa. I stolik kawowy z telefonem. Lampy. Głęboki fotel. Na ścianie, między obrazami, narysowany jest kalendarz. Chyba markerem. Okna zasłonięto czarnymi kocami.

Malorie podnosi wzrok i widzi, jak do salonu niespodziewanie wbiega pies. Border collie. Pies patrzy na nią z zainteresowaniem, podchodzi do jej stóp i czeka, aż go pogłaszcze.

– To jest Victor – mówi Jules. – Ma teraz sześć lat. Mam go od szczeniaka.

Malorie głaszcze zwierzę. Myśli, że Shannon bardzo polubiłaby Victora. Wtedy Jules wychodzi z salonu i zabiera jej walizkę na górę. Wchodzą po schodach obitych wykładziną. Na ścianach wiszą obrazki. Jedne to zdjęcia, inne malunki.

Malorie widzi, jak Jules wchodzi do sypialni na piętrze. Nawet z dołu dostrzega, że koce zasłaniają okna.

Cheryl podprowadza ją do kanapy. Malorie siada, wykończona rozpaczą

i zszokowana. Cheryl i Don mówią, że przygotowują coś do jedzenia.

– Pyszności z puszki – mówi Felix. – Poszliśmy zrobić zakupy w dniu, kiedy tu przybyłem. Było to tuż przed pierwszym incydentem zgłoszonym na Górnym Półwyspie. Facet w sklepie myślał, że nam kompletnie odbiło. Ciągle mamy jeszcze te zapasy, powinny nam wystarczyć jeszcze na jakieś trzy miesiące.

– Teraz chyba trochę mniej – zauważa Don i znika w kuchni.

Malorie zastanawia się, czy to z jej powodu. W końcu przybyła jeszcze jedna gęba do wyżywienia.

Chwilę później Tom, siedząc obok niej na kanapie, wypytuje, co widziała po drodze. Jest ciekaw dosłownie wszystkiego. Tom jest typem człowieka, który potrafi zrobić użytek z każdego strzępka informacji, choć ona ma wrażenie, że nie widziała niczego istotnego. Opowiada mu o martwym psie. O samochodzie pocztowym. O pustych witrynach sklepów i ulicach. I o porzuconym samochodzie z marynarką.

– Jest kilka spraw, o których muszę ci powiedzieć – mówi Tom. – Po pierwsze, ten dom nie należy do żadnego z nas. Jego właściciel zmarł. O tym opowiem później. Nie mamy internetu. Nie ma go, odkąd tu jesteśmy. Wydaje nam się, że ludzie zajmujący się nadajnikami po prostu przestali przychodzić do pracy. Sprawdziłaś ostatnio swoją komórkę? Nasze przestały działać jakieś trzy tygodnie temu. Ale jest telefon stacjonarny. Mamy spore szczęście, tyle tylko, że nie wiem, do kogo moglibyśmy zadzwonić.

Do salonu wchodzi Cheryl. Niesie talerz z marchewką z groszkiem. I małą szklanekę wody.

– No więc telefon stacjonarny działa – ciągnie Tom. – Tak jak działa elektryczność. To za sprawą lokalnej elektrowni wodnej. Choć zapewniam, że i ona pewnego dnia padnie. Z drugiej strony, jeśli pracownicy elektrowni ustawili zawory tak jak trzeba, zanim odeszli, to prąd może płynąć w nieskończoność. Ten dom zasilany jest przez rzekę. Wiedziałaś, że tuż za nami jest rzeka? Jeśli nie nastąpi jakaś katastrofa, to dopóki woda w rzece płynie, możemy być spokojni. Może uda nam się przetrwać. Czy prosimy o zbyt wiele? Bardzo możliwe. Gdy pójdziesz za dom do studni po wodę, której używamy do wszystkiego, usłyszysz rzekę płynącą jakieś siedemdziesiąt metrów dalej. W domu nie ma bieżącej wody. Skończyła się zaraz po tym, jak tu przybyłem. W łazienkach używamy wody w wiadrach, a potem, na zmianę, wylewamy nieczystości do latryn. Są to po prostu dziury wykopane w lesie.

Oczywiście wszystko to trzeba robić z zawiązanymi oczami.

Jules schodzi na dół. Biegnie za nim Victor.

– Już cię ulokowałem – mówi, kiwając na Malorie.

– Dziękuję – odpowiada cicho.

Tom pokazuje na kartonowe pudło stojące na małym stoliku przy ścianie.

– Tam są opaski na oczy. Możesz używać każdej z nich, kiedy tylko chcesz.

Wszyscy patrzą na Malorie. Cheryl siedzi na podłokietniku fotela. Don stoi w wejściu do kuchni. Jules klęczy przy schodach obok Victora. Felix stoi przy oknie zasłoniętym kocem.

Oni wszyscy pogrążeni są w smutku, myśli Malorie. Ci ludzie przeżyli straszne rzeczy, tak jak ja.

Bierze łyk wody ze szklanki, którą dała jej Cheryl, i odwraca się w stronę Toma. Nie może wyrzucić z głowy obrazu Shannon. A jednak próbuje. Odzywa się do Toma zmęczonym głosem:

– Co miałeś na sobie, gdy przyjechałam?

– Chodzi ci o zbroję?

– Tak.

– Jeszcze nie jestem pewien. – Tom się uśmiecha. – Próbuję skonstruować skafander. Coś, co chroniłoby więcej niż tylko oczy. Nie wiemy, co się może stać, gdy te istoty nas dotkną.

Malorie patrzy na pozostałych. Potem znów na Toma.

– Wierzycie, że tam grasują jakieś istoty?

– Tak – odpowiada Tom. – George, człowiek, do którego należał ten dom, widział jedną z nich. Zanim umarł.

Malorie nie wie, co powiedzieć. Instynktownie kładzie dłoń na brzuchu.

– Nie chciałem cię wystraszyć – mówi Tom. – I niedługo opowiem ci historię George’a. Choć w radiu ciągle mówią o takich przypadkach. Co do tego możemy być zgodni: jakieś żywe istoty nam to robią. I wystarczy spojrzeć na jedną z nich przez sekundę, a nawet krócej...

Wszystko w pokoju jakby ciemnieje w oczach Malorie. Kręci jej się w głowie, jest oszołomiona.

– Czymkolwiek są – kontynuuje Tom – nasze umysły ich nie rozumieją. Są jak nieskończoność, jeśli można tak powiedzieć. Są czymś zbyt złożonym, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Rozumiesz?

Słowa Toma zaczynają w jakiś dziwny sposób umykać Malorie. Victor dyszy ciężko, leżąc przy nogach Jules’a. Cheryl pyta, czy wszystko z nią w porządku.

A Tom ciągle mówi...

– Istoty... nieskończoność... nasze umysły mają granice, Malorie... te rzeczy... są daleko poza naszym pojmowaniem... daleko poza... zasięgiem... poza...

I nagle Malorie mdleje.

Osiem

Malorie budzi się w nowej sypialni. Jest ciemno. Przez jedną błogosławioną chwilę, jakiej doświadcza przy przebudzeniu, ma wrażenie, że wszystkie historie o tych istotach i całym tym szaleństwie były tylko złym snem. Powoli, z trudem, przypomina sobie Riverbridge, Toma, Victora, podróż, ale nic z tego nie jest wyraźne. Lecz gdy patrzy w sufit, uświadamia sobie, że nigdy wcześniej nie budziła się w tym pokoju.

I że Shannon wciąż nie żyje.

Siada powoli na łóżku, patrzy na jedyne okno. Czarny koc przybity jest gwoździami do ściany, chroni ją przed niebezpieczeństwami zewnętrznego świata. Przed nią znajduje się stara toaletka. Różowy kolor wyblakł, ale lustro wydaje się wciąż czyste i gładkie. Malorie wygląda w nim bladziej niż zwykle. Przez to jej czarne włosy zdają się jeszcze ciemniejsze. Przy podstawie lustra leżą dodatkowe gwoździe, śrubki, młotek oraz klucz. Poza łóżkiem to by było na tyle, jeśli chodzi o meble.

Wstając, przerzuca nogi ponad krawędzią materaca i na szarej wykładzinie zauważa drugi czarny koc, porządnie złożony. Pewnie dodatkowy. Obok widzi mały stos książek.

Malorie stoi pod drzwiami sypialni i słyszy dobiegające z dołu głosy. Nie zna jeszcze tych ludzi i nie potrafi rozpoznać ich po głosie. Poza Cheryl, bo to jedyna kobieta. No i Tomem. Jego głos będzie ją prowadził przez lata.

Gdy wstaje, czuje, że dywan pod stopami jest szorstki i stary. Przechodzi przez sypialnię i wygląda na korytarz. Czuje się dobrze. Wypoczęta. Już nie doskwierają jej zawroty głowy. Ma na sobie to samo ubranie co wczoraj, kiedy zemdląca. Schodzi na dół, do salonu.

Zanim jej stopy dosięgają drewnianej podłogi, mija ją Jules, niosący stertę ubrań.

– Cześć – wita się i kiwa do niej.

Malorie patrzy, jak idzie do łazienki na końcu korytarza, a potem słyszy, jak wrzuca ubrania do wiadra.

Potem Malorie odwraca się w stronę kuchni, widzi Cheryl i Dona przy zlewie. Wchodzi w momencie, kiedy Don wyciąga szklanę z wiadra. Cheryl słyszy kroki Malorie i zwraca się w jej kierunku.

– Bardzo się o ciebie wczoraj martwiliśmy. Lepiej się już czujesz?

Malorie przypomina sobie, że zemdląca, więc lekko się czerwieni.

– Tak, czuję się dobrze. Po prostu za dużo tego wszystkiego naraz...

– Wszyscy przez to przechodziliśmy – odzywa się Don. – Ale się przyzwyczaisz. Lada moment będziesz opowiadać, że żyjemy w luksusie.

– Don jest cynikiem – dobrotliwie stwierdza Cheryl.

– Nie jestem – sprzeciwia się Don. – Naprawdę bardzo mi się tu podoba.

Malorie podskakuje, gdy Victor zaczyna lizać jej rękę. Klęka, żeby go pogłaskać, i słyszy muzykę dobiegającą z jadalni. Przechodzi więc przez kuchnię i zagląda tam. W pokoju nie ma nikogo, ale radio jest włączone.

Malorie patrzy znów na zlew, na Cheryl i na Dona. Za nimi znajdują się drzwi do piwnicy. Malorie właśnie chce o nie zapytać, ale nagle słyszy z salonu głos Felixa, który recytuje adres domu.

– Dwieście siedemdziesiąt trzy Shillingham... Mam na imię Felix... Szukamy osób, które przeżyły... przetrwały...

Malorie wsuwa głowę do salonu. Felix dzwoni z telefonu stacjonarnego.

Dzwoni pod przypadkowe numery.

Malorie znów podskakuje, tym razem na dźwięk głosu Toma, który zagląda do salonu razem z nią.

– Nie mamy książki telefonicznej? – pyta Malorie.

– Nie. I to jest źródło mojej ogromnej frustracji.

Felix wybiera kolejny numer. Tom, trzymając w ręku ołówek i kawałek papieru, pyta:

– Chcesz zobaczyć piwnicę?

Malorie idzie za nim przez kuchnię.

– Zamierzasz podliczyć zapasy? – pyta Don, gdy Tom otwiera drzwi do piwnicy.

– Tak.

– To daj potem znać, ile tego zostało.

– Jasne.

Tom wchodzi pierwszy. Malorie podąża za nim po drewnianych schodach. Podłoga piwnicy to klepisko. Mimo panujących ciemności Malorie poznaje ten charakterystyczny zapach, a poza tym pod gołymi stopami czuje ziemię.

Gdy Tom pociąga za sznurek przy żarówce, nagle w pomieszczeniu robi się jasno. Malorie boi się, co może tam zobaczyć. Całość bardziej przypomina magazyn niż piwnicę. Niekończące się drewniane regały wypełnione są jedzeniem w puszkach. Od sufitu do podłogi. To jak jakiś bunkier.

– George to wszystko zbudował – wyjaśnia Tom, wskazując ręką na drewnianą stolarkę. – Myślał z naprawdę dużym wyprzedzeniem.

Po lewej stronie, tylko częściowo oświetlonej, Malorie widzi przezroczystą zasłonę, za którą stoją pralka i suszarka.

– Wydawać by się mogło, że to dużo – ciągnie dalej Tom i pokazuje na puszki. – Ale tak nie jest. I Don najbardziej martwi się tym, ile jedzenia nam jeszcze zostało.

– Jak często robicie inwentaryzację?

– Raz w tygodniu. Ale czasem, gdy dopada mnie niepokój, schodzę na dół i sprawdzam raz jeszcze, od nowa. Nawet dzień po dniu.

– Chłodno tu.

– Tak. To tradycyjna podziemna spiżarnia. Jest idealna.

– A co będzie, gdy jedzenie się skończy?

Tom odwraca się do niej. W tym świetle ma łagodne rysy.

– Wyjdziemy zdobyć więcej. Robimy naloty na sklepy spożywcze. Na inne domy. Gdziekolwiek jest to możliwe.

– Rozumiem. – Malorie kiwa głową.

Gdy Tom robi zapiski, Malorie przygląda się piwnicy.

– To miejsce może się okazać najbezpieczniejsze w całym domu – zastanawia się na głos.

Tom przerywa pracę. Zastanawia się.

– Nie sędzę. Myślę, że na poddaszu będzie bezpieczniej.

– Dlaczego?

– Zwróciłaś uwagę na zamek, gdy tu schodziliśmy? Drzwi są bardzo stare. Zamykają się, ale na tak zwane słowo honoru. Wygląda na to, że najpierw zbudowano tę piwnicę, lata temu, a potem dopiero dobudowano dom. Za to drzwi na poddasze... tam to dopiero jest zamek. Gdybyśmy musieli się schronić, bo jedna z tych... istot weszłaby do domu, to moim zdaniem powinniśmy iść na poddasze.

Malorie odruchowo patrzy w górę. Rozciera ramiona.

Gdybyśmy musieli się schronić.

– Patrząc na to, ile mamy zapasów – mówi Tom – możemy tu przeżyć kolejne trzy, może cztery miesiące. Brzmi jak szmat czasu, ale tu dni płyną bardzo szybko. Jeden zlewa się z drugim. Dlatego zrobiliśmy ten kalendarz na ścianie w salonie. Wiesz, w pewnym sensie czas nie ma już żadnego znaczenia. Ale to jedna z niewielu rzeczy, jakie pozostały nam z poprzedniego życia.

– Upływ czasu?

– Tak. I to, jak sobie z nim radzimy.

Malorie podchodzi do małego drewnianego taboretu i siada. Tom ciągle coś zapisuje.

– Gdy pójdziemy na górę, to wprowadzę cię we wszystkie obowiązki domowe – mówi Tom, a potem pokazuje na przestrzeń między półkami a wiszącą zasłoną. – Widzisz to, o tam?

Malorie patrzy, ale nie wie, co Tom ma na myśli.

– Podejdź bliżej.

Tom podprowadza ją do ściany, gdzie jest kilka wybitych cegieł. Z dziury wychodzi ziemia.

– Nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy raczej się tym martwić...

– Co masz na myśli?

– Hmm, jest dostęp do gruntu. Czy wobec tego powinniśmy zacząć kopać? Zbudować tunel? Drugą piwnicę? Więcej pomieszczeń? Czy też może jest to kolejne miejsce, przez które można dostać się do środka?

W świetle żarówki oczy Toma są bystre i skoncentrowane.

– Rzecz w tym, że gdyby te istoty chciały wejść do naszego domu... nie miałyby z tym żadnego problemu. I myślę, że dawno już by to zrobiły.

Malorie patrzy na dziurę w ścianie. Wyobraża sobie, jak czołga się w tunelu. W ciąży. Wyobraża sobie też robactwo.

Po krótkiej ciszy Malorie pyta:

– Czym się zajmowałeś, zanim to wszystko się wydarzyło?

– Chodzi ci o mój zawód? Byłem nauczycielem. W ósmej klasie.

Malorie kiwa głową.

– Tak myślałam. Wyglądasz jak nauczyciel.

– A wiesz? Już kiedyś to słyszałem. I to wiele razy! I podoba mi się to. – Tom udaje, że poprawia swój kołnierzyk od koszuli. – Droga klaso... – żartuje – dziś

będziemy się uczyć o jedzeniu w puszkach. Więc proszę się zamknąć!

Malorie zaczyna się śmiać.

– A ty co robiłaś?

– Jeszcze nie doszłam do tego etapu.

– Ale straciłaś siostrę, tak? – pyta łagodnie Tom.

– Tak.

– Przykro mi. Ja straciłem córkę.

– O Boże, Tom.

Tom milknie na chwilę, jakby zastanawiał się, czy opowiadać dalej Malorie o sobie, czy nie. Postanawia jednak kontynuować.

– Matka Robin zmarła przy porodzie. Czuję się okropnie, mówiąc ci o tym, zważywszy, że jesteś w ciąży. Ale i tak trzeba się lepiej poznać, więc musisz poznać moją historię. Robin była wspaniałym dzieckiem. Miała osiem lat i była o wiele inteligentniejsza niż ja w tym wieku. Uwielbiała przedziwne rzeczy. Woląла instrukcje do zabawek niż same zabawki. Napisy końcowe od samych filmów. Lubiała sposób, w jaki coś zostało napisane. I wyraz mojej twarzy. Kiedyś powiedziała mi, że z powodu koloru moich włosów przypominam jej słońce. Zapytałem, czy świecę jak słońce, a ona odpowiedziała mi: „Nie, tatusiu, ty świecisz bardziej jak księżyc, kiedy jest ciemno na dworze”. Gdy w wiadomościach zaczęły pojawiać się doniesienia o incydentach i ludzie zrozumieli, że to poważna sprawa, postanowiłem być ojcem, który nie będzie żył w szponach lęku. Bardzo się starałem wieść zwykłe, codzienne życie. A szczególnie ważne było dla mnie to, żeby Robin rozumiała, czemu tak robię. Słyszała jednak różne rzeczy w szkole. Nie chciałem, żeby tak bardzo się bała. Niestety, po jakimś czasie nie mogłem już dłużej udawać. Rodzice zaczęli zabierać swoje dzieci ze szkoły. Później szkołę w ogóle zamknięto. Tymczasowo. Albo raczej do chwili, gdy będą mieli „pewność, że sytuacja społeczna zapewni dzieciom całkowite bezpieczeństwo”. To był mroczny czas, Malorie. Też byłem nauczycielem, jak wiesz, a szkoła, w której pracowałem, została zamknięta mniej więcej w tym samym czasie. Więc nagle zaczęliśmy spędzać ze sobą całe dni w domu. Zobaczyłem, jak bardzo urosła. Jej umysł stawał się coraz potężniejszy. Ale wciąż była za mała, żeby zrozumieć te straszne wiadomości. Starałem się, jak mogłem, żeby niczego przed nią nie ukrywać, ale ojcowski instynkt, chęć chronienia jej zmuszały mnie czasem, żeby przełączyć na inną stację. W pewnym momencie słuchanie radia stało się dla Robin nieznośne. Zaczęła

mieć nocne koszmary, po których bardzo długo musiałem ją uspokajać. Zawsze wtedy miałem wrażenie, że ją oszukuję. Ustaliliśmy, że żadne z nas już nigdy nie wyjrzy przez okno. Ustaliliśmy, że Robin nigdy nie wyjdzie na zewnątrz bez mojego pozwolenia. Najgorsze było to, że musiałem dać jej poczucie bezpieczeństwa i jednocześnie uczulić na szalejący wokół chaos. Zaczęła coraz częściej spać w moim łóżku, ale pewnego ranka, gdy się obudziłem, nie było jej przy mnie. Poprzedniego wieczoru dużo mówiła o tym, jak bardzo pragnie, żeby było jak dawniej. Mówiła też o swojej matce, której nigdy nie znała. Dobiło mnie to. To słuchanie ośmiolatki, która mówi, że życie jest niesprawiedliwe. Gdy się wtedy obudziłem, pomyślałem, że może zaczęła się do tego wszystkiego przyzwyczajać. Do tego nowego życia. Może właśnie wtedy Robin straciła coś ze swego dzieciństwa, uświadomiwszy sobie, dużo wcześniej niż ja, że to, co się dzieje na zewnątrz, jest bardzo, ale to bardzo poważne.

Tom milknie. Patrzy w podłogę.

– Znalazłem ją w wannie, Malorie. Unosiła się na wodzie. Jej drobne nadgarstki pocięte były żyłkami, którymi goliłem się milion razy. Woda była czerwona. Z wanny kapła krew. Była też wszędzie na ścianach. Robin była jeszcze dzieckiem. Miała tylko osiem lat. Czy wyjrzała przez okno? Czy może sama się na to zdecydowała? Nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie...

Malorie wyciąga ręce w stronę Toma.

Ale on nie płacze. Co więcej, już po chwili podchodzi do regałów i zaczyna znów notować.

Malorie myśli o Shannon. Ona przecież też umarła w łazience. I też odebrała sobie życie.

Gdy Tom kończy inwentaryzację, pyta, czy Malorie chce już wracać na górę. Gdy sięga po sznurek, by zgasić światło, widzi, że Malorie przygląda się dziurze w ścianie.

– Dziwaczne, co? – stwierdza Tom.

– Tak.

– Ale nie musi takie być. To po prostu jeden z lęków pochodzących ze starego życia.

– Czyli?

– Strach przed piwnicami.

Malorie potakuje.

A wtedy Tom ciągnie za sznurek i zapada ciemność.

Dziewięć

Istoty, myśli Malorie. Co za głupie słowo.

Dzieci siedzą cicho, a na brzegach nic się nie dzieje. Słyszy, jak wiosła przecinają taflę wody. Rytm wiosłowania dostosowuje do rytmu bicia serca, a potem trochę zwalnia. Gdy próbowała przyspieszać, o mało nie padła trupem.

Istoty.

Malorie nigdy nie lubiła tego słowa. Zupełnie nie pasuje do sytuacji. To, co prześladowuje ją przez ponad cztery lata, nie jest dla niej żadną „istotą”. Ślimak w ogrodzie – tak. Albo jeżozwierz. Ale to, co czai się za zasłoniętymi oknami i zmusza ją do chodzenia w opasce na oczach, nie jest czymś, co da się ot tak wytępić.

Barbarzyńcy? Nie, to też nie to. Barbarzyńca jest nieokiełznany. Podobnie jak bestia.

Gdzieś w oddali słyhać śpiew ptaka. Wiosła tną wodę, przesuając się przy każdym uderzeniu.

Istnienia Behemota nie dowiedziono. A to coś może być małe jak łepok od szpilki.

Dopiero przepłynęli niewielki kawałek, a Malorie już czuje ból w mięśniach od wiosłowania. Jej koszulka jest całkowicie mokra od potu. Stopy ma zimne. Opaska na oczach ciągle daje się we znaki.

Demon. Diabeł. Kanalia. A może wszystkiego po trochu.

Jej siostra umarła, bo zobaczyła jedno takie coś. Rodziców pewnie spotkał ten sam los.

Chochlik to zbyt sympatyczne określenie. A dzikus – zbyt ludzkie.

Malorie nie przerażają tylko stworzenia, które mogą brodzić w rzece. Jest wręcz nimi zafascynowana. *Czy mają świadomość, co robią? Czy znają swój*

cel? Swój zamiar?

Teraz wydaje się jej, że cały świat jest martwy. Jakby ta łódka była jedynym miejscem, gdzie istnieją jeszcze jakieś resztki życia. Pozostałości świata rozstępują się pod dziobem łodzi, pusty glob, jakby z każdym uderzeniem wiosła bardziej przeklęty i opustoszały.

Jeśli nie wiedzą, co robią, to nie mogą być złoczyńcami.

Dzieci od dłuższego czasu siedzą cicho. Kolejny ptak śpiewa ponad głowami. Słysząc plusk ryby. Malorie nigdy nie widziała tej rzeki. Jak wygląda? Czy na brzegach tłoczą się drzewa? Czy są gdzieś jakieś domy?

To są potwory, myśli Malorie. Ale wie przecież, że są czymś więcej. Są nieskończonością.

– Mamusiu! – krzyczy nagle Chłopiec.

Ptak kracze, echo niesie się po rzece.

– Co się stało, Chłopczyku?

– Słyszę silnik.

– Co takiego?

Malorie przestaje wiosłować. Uważnie nasłuchuje.

Daleko, gdzieś na rzece, słychać dźwięk silnika. Malorie rozpoznaje go natychmiast. Zbliża się do nich jakaś inna łódź.

Zamiast cieszyć się, że być może spotkają człowieka, Malorie odczuwa strach.

– Na dół, oboje! – rozkazuje.

Kładzie rękojeści wiosł na kolanach. Łódź zaczyna dryfować.

Chłopczyk to usłyszał, Malorie mówi do siebie w myślach. Chłopczyk to usłyszał, bo dobrze go wychowałaś i teraz zawsze już będzie lepiej słyszał, niż widział.

Malorie oddycha głęboko, czeka. Dźwięk silnika staje się coraz głośniejszy. Nadciągająca łódka płynie pod prąd.

– Auć – jęczy Chłopiec.

– Co się stało?

– Moje ucho... Drzewo mnie uderzyło.

Malorie myśli, że to dobrze. Jeśli drzewo uderzyło Chłopca, to znaczy, że są blisko brzegu. Może za sprawą opatrności listowie ich ukryje.

Druga łódka jest teraz dużo bliżej. Malorie wie, że gdyby mogła otworzyć teraz oczy, to byłaby w zasięgu jej wzroku.

– Nie zdejmujcie opasek – mówi do dzieci.

Łódka jest już na ich wysokości, ale nie płynie dalej.

Ktokolwiek to jest, widzi nas.

Nagle dźwięk silnika gaśnie. W powietrzu czuć paliwo. Słysząc tupot stóp na pokładzie.

– Witajcie! – odzywa się jakiś głos, ale Malorie nie odpowiada. – Witajcie! Wszystko jest okej. Możecie zdjąć opaski! Jestem normalnym człowiekiem.

– Nie, nie wolno wam – mówi szybko do dzieci Malorie.

– Nie ma tu nic innego poza nami, proszę pani. Niech mi pani uwierzy. Jesteśmy zupełnie sami.

Malorie nie rusza się. W końcu, wiedząc, że nie ma innego wyjścia, postanawia mu odpowiedzieć.

– A skąd pan wie?

– Proszę pani, nie ma się czego bać. Proszę mi zaufać. Na rzece jesteśmy tylko my dwoje. Dwoje zwykłych ludzi, których drogi się przecięły.

– Nie! – krzyczy do dzieci Malorie.

Puszczą Dziewczynkę i znów łapie za wiosło. Mężczyzna wzdycha.

– Nie ma potrzeby, żeby tak żyć, proszę pani. Niech pani zlituje się nad dziećmi. Chce je pani ograbić z tak pięknego i wspaniałego dnia jak dzisiejszy?

– Proszę nie zbliżać się do naszej łodzi – ostrzega Malorie.

Cisza. Mężczyzna nie odpowiada. Malorie zbiera się w sobie. Czuje się jak w pułapce. Bezbronna. W łodzi przy brzegu. Na tej rzece. Na tym świecie.

Słysząc plusk wody. Malorie bierze szybki wdech.

– Proszę pani, widok jest przepiękny, no może tylko lekka mgła... Kiedy ostatnio wyjrzała pani na zewnątrz? Pewnie lata temu? Widziała pani tę rzekę? Wie pani, jaka jest pogoda? Kiedy ostatnio pani widziała, jaka jest pogoda? Założę się, że już nic pani nie pamięta...

Ale Malorie pamięta świat bardzo dobrze. Pamięta, gdy jako dziewczynka wracała do domu tunelem jesiennych liści. Pamięta okoliczne podwórka, ogrody i domy. Pamięta, jak leżała na trawie razem z Shannon i jak porównywały chmury do chłopców i dziewczynek z klasy.

– Nie zdejmujemy opasek – decyduje Malorie.

– Ja już dawno z nich zrezygnowałem, proszę pani. I ruszyłem do przodu. Dlaczego pani nie chce tego zrobić?

– Proszę zostawić nas w spokoju! – nakazuje.

Mężczyzna znów wzdycha.

– Oni nie mogą pani prześladować w nieskończoność. Nie mogą pani

zmusić, żeby żyć w ten sposób do końca. Przecież pani o tym wie.

Malorie układa prawe wiosło w pozycji, w której, jak jej się wydaje, będzie mogła odepchnąć się od brzegu.

– Powinienem sam zdjąć wam te opaski – mówi nagle mężczyzna.

Malorie nie rusza się.

Jego głos brzmi teraz opryskliwie. Słysząc, że jest poirytowany.

– Oboje jesteśmy ludźmi – ciągnie dalej. – Spotkaliśmy się na rzece. W sumie jest nas czwórka, jeśli liczyć maluchy. Nie mogą cierpieć tylko dlatego, że pani ma zamiar wychowywać je w ten sposób. Tylko ja jeden mam na tyle odwagi, żeby popatrzeć na świat. Pani pomysły to pozór bezpieczeństwa, a tak naprawdę tylko pogarszają sprawę.

Jego głos dobiega teraz z innej strony. Malorie wydaje się, że podszedł na dziób swej łodzi. A przecież ona chce tylko minąć go i płynąć dalej. Chce być jak najdalej od domu, który dziś rano opuścili.

– I powiem pani jedno... – Mężczyzna jest nagle niepokojąco blisko. – Widziałem jedno z nich.

Malorie łapie Chłopca i ciągnie go w tył za koszulkę. Mały uderza o stalowe dno łodzi i jęczy.

Mężczyzna się śmieje.

– I wcale nie są takie brzydkie, jak się pani wydaje.

Malorie próbuje odpychać się wiosłem od brzegu. Macha nim na wszystkie strony. Trudno znaleźć jakieś solidne oparcie. Tylko gałęzie i korzenie. I muł.

On zaczyna tracić zmysły. I robi nam krzywdę.

– No i gdzie pani zamierza się udać?! – wrzeszczy mężczyzna. – Będzie pani płakać za każdym razem, gdy trzaśnie jakiś patyczek?!

Malorie nie może uwolnić łodzi.

– Nie zdejmujcie opasek! – krzyczy do dzieci.

Facet mówi, że widział to coś. Kiedy? KIEDY?

– Wydaje się pani, że zwariowałem?!

Ostatnie machnięcie i wiosło mocno opiera się o ziemię. Malorie odpycha się, stęka z wysiłku. Ich łódka rusza do przodu. Kobieta ma nadzieję, że może udało się ją uwolnić. Ale nagle uderza w łódź mężczyzny. Malorie wydaje z siebie jęk rozpaczny.

Uwięził nas.

Czy zmusi ich do otwarcia oczu?

– I kto tu zwariował? Niech pani na siebie popatrzy. Dwoje ludzi spotkało

się na rzece...

Malorie kołysze się to w przód, to w tył. Wyczuwa szczelinę przed dziobem łodzi, mały przesmyk.

– ...jedno z nich spojrzało w niebo...

Kobieta czuje, że wiosło zapada się w ziemię.

– ...drugie próbuje sterować łódką z zawiązanymi oczami.

Ich łódź jest prawie wolna.

– Więc zadaję sobie pytanie...

– Ruszać się! – krzyczy Malorie.

– ...kto tu postradał zmysły?

Mężczyzna trajkocze jak nakręcony. Słysząc, jak jego głos unosi się do nieba, o którym przed chwilą wspominał. Malorie myśli, żeby zapytać, jak daleko stąd widział to, co widział. Ale nie robi tego.

– Zostaw nas w spokoju! – krzyczy tylko do niego.

Z powodu szamotaniny do łodzi wlewa się zimna woda. Dziewczynka piszczy. Malorie powtarza w myślach: *Zapytaj go, gdzie to widział*. Może stać go będzie na ostatni akt normalności, zanim zupełnie straci kontakt z rzeczywistością.

Łódka jest uwolniona.

Tom kiedyś powiedział, że to działa na każdego inaczej. Powiedział, że szalenciec może nie zwariować bardziej. A u kogoś bardziej zrównoważonego zajmie to więcej czasu.

– Otwórzcie oczy, na miłość boską! – wrzeszczy mężczyzna.

Jego głos się zmienił. Brzmi zupełnie inaczej, jakby był pijany.

– Niech pani przestanie uciekać! OTWÓRZCIE OCZY! – nalega.

– Nie słuchajcie go!

Malorie przyciska Chłopca z przodu, a Dziewczynka łąka za jej plecami. Malorie cała się trzęsie.

– Wasza matka jest szalona, dzieciaki! Zdejmijcie opaski!

Mężczyzna zaczyna nagle zawodzić, charczeć. Jakby coś uwięzło mu w gardle. Ile czasu minie, zanim powiesi się na linie lub skoczy na śrubę swojej łodzi?

Malorie wiosłuje jak opętana. Jej opaska nie jest dobrze zawiązana. *To, co widział, jest gdzieś blisko. To, co widział, jest w tej rzece.*

– Nie ściągajcie opasek! – Malorie znów krzyczy do dzieci. Wiosłuje teraz z jednej strony łodzi. – Wy dwoje, rozumiecie? Odpowiedzcie mi, ale już!

– Tak! – mówi Chłopiec.

– Tak! – odpowiada Dziewczynka.

Mężczyzna znów zawodzi, ale jest już znacznie dalej od nich. Brzmi, jakby chciał krzyczeć, tyle że zapomniał, jak to się robi.

Gdy ich łódka oddala się na jakieś czterdzieści metrów, a dźwięk silnika jest prawie poza zasięgiem ich słuchu, Malorie sięga przed siebie i dotyka ramienia Chłopca.

– Nie martw się, Mamusiu – mówi Chłopiec.

Malorie sięga za siebie i dotyka dłoni Dziewczynki. Potem ściska ich. Puszczą ich swobodnie i zabiera się do wiosłowania.

– Jesteś sucha? – pyta Dziewczynkę.

– Nie – odpowiada mała.

– Weź koc i się osusz, szybciotko.

Powietrze jest znów czyste. Drzewa. Woda.

Spaliny zostały daleko za nimi.

Pamiętasz, jak pachniał dom?, zastanawia się Malorie.

Mimo straszego spotkania z mężczyzną na łodzi Malorie wciąż pamięta. Zatęchły zaduch. Było już tak, gdy tam dotarła. I nigdy lepiej.

Nie czuje nienawiści do mężczyzny z łodzi. Przepełnia ją raczej smutek.

– Byliście bardzo dzielni – mówi do dzieci i cały czas się trzęsie, wiosłując dalej w głąb rzeki.

Dziesięć

Malorie mieszka w domu już od dwóch tygodni. Cała szóstka egzystuje wyłącznie dzięki jedzeniu z puszek przynoszonych z piwnicy oraz resztkom mrożonego mięsa, które jeszcze zostało w zamrażarce. Codziennie rano Malorie oddycha z ulgą, gdy sprawdza, że ciągle mają prąd. Jedynym źródłem wiadomości jest radio, ale ostatni pozostały prezenter, Rodney Barrett, nie ma im nic nowego do powiedzenia. Jego audycje są raczej chaotyczne. Złości się. Przeklina. Współlokatorzy powiedzieli Malorie, że raz nawet słyszeli, jak spał na antenie. Mimo wszystko Malorie rozumie, dlaczego chcą go dalej słuchać. Czy jego głos szmerze cicho gdzieś w tle, czy też wypełnia jadalnię, Rodney Barrett jest dla nich ostatnim kontaktem z zewnętrznym światem.

Malorie już czuje się, jakby mieszkała w jakiejś krypcie. Uczucie klaustrofobii jest nieznośne i wywiera silny wpływ na nią i na dziecko.

No ale dziś w domu odbywa się impreza.

Wszyscy zgromadzili się wokół stołu w jadalni. Poza jedzeniem w puszkach, papierem toaletowym, bateriami, świecami, kocami i narzędziami w piwnicy ostało się jeszcze kilka butelek rumu, które doskonale uzupełniają trawkę przywiezioną przez Felixa (z zakłopotaniem przyznał, że spodziewał się tu raczej komuny hipisowskiej niż trzeźwo myślących ludzi). Tylko Malorie, z powodu swojego stanu, nie bierze udziału w libacji. Ale oczywiście nastrój jej też się udziela, a do tego, co zaskakujące, Rodney Barrett puszcza dziś bardzo spokojną muzykę. Więc Malorie uśmiecha się, a czasem nawet wybucha śmiechem. To dość zaskakujące, biorąc pod uwagę rozgrywające się wokół horrory.

W jadalni stoi pianino. Podobnie jak stos książek leżący obok toaletki w pokoju Malorie, instrument jest pozostałością po jakiejś innej cywilizacji, innym życiu.

I teraz właśnie Tom na nim gra.

– W jakiej tonacji jest ta piosenka?! – Tom, trzaskając nad melodią, krzyczy przez całą jadalnię do Felixa, który siedzi przy stole. – Znasz się na tonacjach?!

Felix uśmiecha się i potrząsa głową.

– A niby dlaczego, do cholery, miałbym się znać? Ale chętnie z tobą zaśpiewam, Tom.

– Błagam, nie – wtrąca się Don, popijając rum ze szklanki, i też się uśmiecha.

– Nie, nie – szczerzy się Felix. – Jestem w tym naprawdę dobry.

Felix zatacza się i wstaje. Podchodzi do pianina. Razem śpiewają *De-Lovely*. Radio stoi na komodzie z lustrami. Muzyka puszczana właśnie przez Rodneya Barretta miesza się z piosenką Cole'a Portera.

– Jak się czujesz, Malorie? – pyta siedzący po drugiej stronie stołu Don. – No i jak ci się u nas podoba?

– Okej – odpowiada. – Staram się skupić na dziecku.

Don uśmiecha się. Gdy to robi, Malorie widzi smutek na jego twarzy. Wie, że Don też stracił siostrę. Każdy współlokator przeżył jakąś osobistą tragedię. Rodzice Cheryl, przerażeni, pojechali na południe. Od tego czasu nie miała z nimi kontaktu. Felix podczas wykonywania swoich przypadkowych telefonów ma nadzieję, że dowie się czegoś o swoich braciach. Jules często wspomina swoją narzeczoną, Sydney, którą znalazł w rynsztoku przed budynkiem, w którym mieszkali. Potem, tak samo jak Malorie, odpowiedział na ogłoszenie. Sydney miała podcięte gardło. Lecz i tak historia Toma jest według Malorie najgorsza. Jeśli w obecnej sytuacji można w ogóle tak powiedzieć.

Teraz, gdy patrzy, jak gra na pianinie, serce Malorie pęka na wspomnienie jego przeżyć.

Za chwilę, gdy mężczyźni kończą śpiewać, znów słychać radio. Ale piosenka, którą puszcza Rodney Barrett, też się kończy. A wtedy prezenter zaczyna mówić.

– Słuchajcie, słuchajcie – namawia Cheryl. Przechodzi przez pokój do radioodbiornika, kuca i podgłaśnia. – Dziś jest o wiele bardziej zdolowany.

Tom ignoruje radio. Męczy się, popija drinka, brnie przez początkowe akordy *I've Got Rhythm* Gershwina. Don odwraca się, żeby zobaczyć, o czym mówi Cheryl. Jules, głaszcząc Victora, siedzi na podłodze oparty plecami o ścianę, lekko przechyla głowę w stronę radia.

– Istoty – mówi Rodney Barrett, przeciągając słowa. – Dlaczego wszystko

nam zabrałyście? Co tu robicie? Czy macie w tym jakiś cel?

Don wstaje od stołu i dołącza do Cheryl. Tom przestaje grać.

– Nigdy nie słyszałem, żeby bezpośrednio się do nich zwracał – mówi.

– Straciliśmy matki, ojców, siostry, braci – kontynuuje Rodney Barrett. – Straciliśmy żony i mężów, kochanków i przyjaciół. Ale nic nie boli tak bardzo jak utrata naszych dzieci. Jak śmiecie zmuszać dzieci, żeby na was patrzyły?

Malorie spogląda na Toma. Mężczyzna uważnie słucha. Po oczach widać, że jest zdystansowany.

Malorie wstaje i podchodzi do niego.

– Bywał już wcześniej dosadny – komentuje wypowiedź Rodneya Barretta Cheryl. – Ale nigdy aż tak.

– To fakt – dodaje Don. – Brzmi, jakby był bardziej pijany niż my.

– Tom – odzywa się Malorie, siedząc obok niego na sofie.

– Barrett popełni samobójstwo – nagle stwierdza Don.

Malorie patrzy w górę, chce, żeby Don się zamknął, a potem jednak słyszy to samo co on. Całkowity rozpad w głosie Rodneya Barretta.

– Dziś was przechytrzę – mówi prezenter. – I sam sobie zabiorę to, co mi zostało, zanim wy to zrobicie.

– O Boże – wzdycha Cheryl.

W radiu zapada cisza.

– Wyłącz to, Cheryl – nakazuje Jules. – Wyłącz to!

Zanim jej się to udaje, z głośników dobiega dźwięk wystrzału.

Cheryl zaczyna krzyczeć. Victor warczy.

– Co się stało, do kurwy nędzy? – pyta Felix, patrząc na odbiornik pustym wzrokiem.

– Zrobił to – odpowiada z pustką w głosie Jules. – Nie mogę w to uwierzyć...

Potem zapada cisza.

Tom wstaje ze stołka od pianina i wyłącza radio. Felix popija drinka. Jules klęczy na jednym kolanie i próbuje uspokoić Victora.

Nagle, niczym pogłos wystrzału, rozlega się pukanie do drzwi.

I za moment kolejne.

Felix idzie w kierunku wejścia, ale Don łapie go za ramię.

– Nie otwieraj – mówi. – Daj spokój, stary. Co jest z tobą nie tak?

– Nie miałem takiego zamiaru, staaary! – odgryza się Felix i wyszarpuje się z uścisku Dona.

Znów słychać pukanie. Tym razem odzywa się też kobiecy głos:

– Jest tam kto?

Wszyscy milkną. Zamierają w bezruchu.

– Niech ktoś jej odpowie – odzywa się Malorie i wstaje od pianina, żeby to zrobić.

Tom ją uprzedza.

– Tak! – odpowiada kobiecie za drzwiami. – Jesteśmy tu. Kim jesteś?

– Olympia! Mam na imię Olympia! Wpuście mnie?

Tom zastanawia się chwilę. Wygląda na pijanego.

– Jesteś sama? – pyta.

– Tak!

– Masz zamknięte oczy?

– Tak, mam zamknięte oczy. Jestem przerażona. Proszę, wpuście mnie?

Tom patrzy na Dona.

– Przynieście miotły – decyduje Tom, a Jules rusza, żeby wykonać jego polecenie.

– Nie możemy pozwolić sobie na jeszcze jedną osobę – stwierdza Don.

– Chyba zwariowałeś – kwituje Felix. – Tam, na zewnątrz, czeka kobieta...

– Wiem, i widzę, co się dzieje... – wścieka się Don. – Nie możemy przyjąć całej armii ludzi.

– Ale teraz pod drzwiami stoi kobieta – powtarza Felix.

– A my jesteśmy pijani – upiera się Don.

– Daj spokój, Don – wtrąca się Tom.

– Nie róbcie ze mnie jakiegoś bezdusznego typu – obrusza się Don. – Wiecie tak samo jak ja, ile puszek nam zostało w piwnicy.

– Halo? – odzywa się kobieta.

– Poczekaj chwilę – odpowiada jej Tom.

Tom i Don patrzą na siebie. Jules wraca na korytarz i podaje Tomowi miotły.

– Ludzie, róbcie, co chcecie – stwierdza w końcu Don. – Wiedźcie jednak, że przez to wcześniej umrzemy z głodu.

Tom odwraca się w stronę drzwi wejściowych.

– Wszyscy zamykać oczy – wydaje rozkaz.

Malorie słyszy, jak Tom idzie po drewnianej podłodze korytarza, a potem pyta:

– Olympia?

– Tak!

– Za chwilę otworzę drzwi. Gdy to zrobię, gdy usłyszysz, że są otwarte,

szybko wejdź do środka. Zrozumiałaś?

– Tak!

Malorie słyszy, jak drzwi się otwierają. Robi się zamieszanie. Wyobraża sobie, jak Tom wciąga kobietę do domu. Dokładnie tak, jak wciągał ją dwa tygodnie wcześniej. Potem drzwi się zamykają.

– Nie otwieraj oczu! – nakazuje Tom. – Muszę wszystko dokładnie sprawdzić. Muszę się upewnić, czy nic nie przedostało się z tobą.

Malorie słyszy, jak szcztoki pocierają ściany, podłogę, sufit i drzwi wejściowe.

– Okej – stwierdza w końcu Tom. – Możemy otworzyć oczy.

Gdy Malorie to robi, widzi bardzo ładną, bladą, ciemnowłosą kobietę, która stoi za Tomem.

– Dziękuję – mówi kobieta, próbując złapać oddech.

Tom zaczyna ją o coś wypytywać, ale Malorie przerywa mu.

– Jesteś w ciąży? – pyta Olympię.

Olympia patrzy na swój brzuch. Kiwa głową i podnosi wzrok.

– W czwartym miesiącu – odpowiada.

– To niesamowite – dziwi się Malorie i podchodzi bliżej. – To prawie tak samo jak ja.

– Kurwa – kwituje Don.

– Jestem waszą sąsiadką – mówi Olympia. – Przepraszam, że was wystraszyłam. Mój mąż pracuje w siłach powietrznych. Nie miałam z nim kontaktu od tygodni. Może nie żyje, nie wiem. Ale usłyszałam was. Pianino. Trochę mi zajęło, zanim się zebrałam, żeby tu przyjść. W normalnej sytuacji przyniosłabym babeczki.

Mimo tragedii, jaka rozegrała się chwilę wcześniej, niewinny urok Olympii rozjaśnia mrok.

– Cieszymy się, że z nami jesteś – mówi Tom, lecz Malorie słyszy w jego głosie zmęczenie i niepokój, bo teraz będą musieli zająć się dwiema ciężarnymi. – Zapraszamy.

Prowadzą Olympię korytarzem do salonu. Przy schodach kobieta wzdycha i pokazuje fotografię wiszącą na ścianie.

– O! Czy ten człowiek nadal tu mieszka?

– Nie – odpowiada Tom. – Już nie ma go z nami. Musiałaś go znać. Miał na imię George. Ten dom należał do niego.

– Tak, spotykałam go wiele razy – potwierdza Olympia.

Później całe towarzystwo gromadzi się w salonie. Tom siedzi z nowo przybyłą towarzyszką niedoli na kanapie. Malorie, w milczeniu, przysłuchuje się, jak nauczyciel z grobową miną wypytuje kobietę o sprzęty w jej domu. O to, co jej zostało. Co posiada.

Z czego mogliby skorzystać.

Jedenaście

Malorie wiosłuje od jakichś trzech godzin. W mięśniach ramion czuje palący ból. Na dnie łódki chlupie zimna woda, która, kropla po kropli, wlewa się do środka przy każdym ruchu wiosłami. Chwilę temu Dziewczynka powiedziała, że chce jej się siusiu. Na co Malorie odparła, żeby po prostu zrobiła do łódki. Teraz mocz miesza się z wodą z rzeki i Malorie czuje ciepło wokół stóp. Rozmyśla o mężczyźnie, którego spotkali.

Dzieci, myśli, nie zdjęły z oczu opasek. To był pierwszy człowiek, którego usłyszały poza nią i sobą nawzajem. A jednak nie posłuchały go.

Tak, dobrze je wyszkoliła. Choć w sumie nie ma się z czego cieszyć. Szkolenie oznacza, że musiała je tak bardzo nastraszyć, żeby pod żadnym pozorem nie były wobec niej nieposłuszne. Gdy Malorie była dzieckiem, ciągle buntowała się przeciwko rodzicom. W domu panował zakaz używania cukru. Więc Malorie go przemyślała. Nie można było oglądać horrorów. Więc Malorie w nocy zakradała się do salonu, żeby po kryjomu je oglądać. Gdy rodzice powiedzieli, że nie może spać na sofie w salonie, Malorie przeniosła tam swoje łóżko. To były smaczki dzieciństwa. Dzieci Malorie nie mają o nich pojęcia.

Gdy były zupełnie malutkie, Malorie nauczyła je, żeby budząc się, nie otwierały oczu. Stała nad ich łózkami z drucianej siatki z packą na muchy. Czekala. Jeśli któreś obudziło się i otwierało oczy, waliła je mocno po ramionach. Płakały. Malorie nachylała się i zamykała im oczy palcami. Gdy miały oczy zamknięte, podciągała koszulkę i karmiła je. W nagrodę.

– Mamusiu – odzywa się Dziewczynka. – Czy to był ten sam pan, który śpiewał w radiu?

Ma na myśli kasetę, której Felix bardzo lubił słuchać.

– Nie – odpowiada jej Chłopiec.

– Więc kto to był?

Malorie odwraca się do niej, żeby lepiej było słycać jej głos:

– Wydawało mi się, że umówiliśmy się na niezadawanie żadnych pytań, które nie są związane z rzeką. Zrywamy tę umowę?

– Nie – odpowiada cicho Dziewczynka.

Gdy dzieci miały trzy latka, Malorie nauczyła je przynosić wodę ze studni. Zawiażywała linę wokół talii, a drugim końcem oplatała Chłopca. Następnie kazała mu dobrze wczuć się w podłoże, po którym stąpa, i wysyłała go samego do studni. Słyszała, jak nieudolnie wyciąga z niej wiadro. A potem jak męczy się, taszcząc je z powrotem. Wiele razy słyszała, jak wiadro wypada mu z rąk. Wtedy kazała mu wracać i zaczynać wszystko od początku.

Dziewczynka tego nie znosiła. Mówiła, że droga do studni jest zbyt wyboista. Mówiła, że czuje, jakby pod powierzchnią żyli ludzie. Malorie nie dawała małej jedzenia, dopóki ta nie wykonała zadania.

Gdy zaczynały chodzić, sadzała dzieci po przeciwnych stronach salonu. Krążyła po dywanie. Nagle pytała: „Gdzie jestem?”, a dzieci musiały wskazać palcem właściwe miejsce. Potem szła na górę, wracała do salonu i pytała maluchy: „Gdzie byłam?”. Dzieci również musiały wskazać odpowiedni kierunek. Jeśli odpowiadały źle, Malorie darła się na nie.

Ale rzadko się myliły. A po jakimś czasie w ogóle.

Ciekawe, co Tom by na to powiedział?, zastanawia się. Pewnie powiedziałby, że jesteś najlepszą matką na świecie. A ty byś mu uwierzyła.

Bez Toma Malorie może tylko o wszystko pytać samą siebie. I wielokrotnie, gdy siedziała samotnie przy kuchennym stole, a dzieci już spały w swoim pokoju, zadawała sobie to natrętne pytanie:

Czy jesteś dobrą matką? Czy coś takiego w ogóle jeszcze istnieje?

Teraz Malorie czuje lekkie klepnięcie w kolano. Wstrzymuje oddech. Ale to tylko Chłopiec. Prosi o sakiewkę z jedzeniem. Ciągłe wiosłując, Malorie sięga do kieszeni kurtki i wręcza mu przekąskę. Słyszy, jak jego małe zębki chrupią orzechy z puszki, które leżały na regałach w piwnicy cztery i pół roku. A dziś rano Malorie je stamtąd zabrała.

Przestaje wiosłować. Jest jej gorąco. Za gorąco. Spociła się, jakby był środek czerwca. Zdejmuje kurtkę i kładzie ją obok siebie na ławeczce. I wtedy czuje lekkie klepnięcie w plecy. Dziewczynka też jest głodna.

Czy jesteś dobrą matką?, zadaje sobie znów pytanie, gdy wręcza kolejną porcję jedzenia.

Jak może oczekiwać od dzieci, że będą śniły o gwiazdach, skoro nie mogą nawet podnieść głowy i spojrzeć w niebo?

Malorie nie zna odpowiedzi.

Dwanaście

Tom buduje coś ze starego futerału od gitary i poduszki. Olympia śpi na górze, w sypialni obok pokoju Malorie. Felix oddał jej to pomieszczenie, podobnie jak wcześniej Tom oddał swoją sypialnię Malorie. Poprzedniego wieczoru zrobił dokładny spis rzeczy, o których opowiadała Olympia. Zaczęło się od planów dających wielkie nadzieje, a skończyło na ogólnej debacie, podczas której wszyscy zgodzili się, że te kilka rzeczy nie jest warte ryzyka. Papier. Jeszcze jedno wiadro. Skrzynka z narzędziami męża Olympii. Jak słusznie zauważył Felix, jeśli przyjdzie moment, że faktycznie będą tych rzeczy bardzo potrzebować, to zawsze można po nie pójść. Don podkreślił, że wcześniej czy później tak się stanie. Orzechy w puszcze, tuńczyk, makaron, przyprawy. Podczas rozmowy o jedzeniu Tom objaśnił, ile zapasów zostało w piwnicy. A ponieważ wszystko powoli się kończyło, Malorie bardzo się zmartwiła.

Teraz Jules śpi w gabinecie na końcu korytarza. Na materacu ułożonym na podłodze w jednym końcu pokoju. Materac Dona leży w drugim. Między nimi stoi wysoki drewniany stół, gdzie trzymają swoje rzeczy. Victor śpi ze swoim panem. Jules chrapie. Słysząc ciche dźwięki muzyki puszczonej z kasy magnetofonowej. Muzyka dobiega z jadalni, gdzie Felix i Don grają w karty talią z wizerunkiem Pee-wee Hermana. Cheryl robi pranie w wiadrze umieszczonym w zlewie.

Malorie siedzi z Tomem na kanapie w salonie. Są sami.

– Ten mężczyzna, właściciel domu... – zaczyna Malorie. – George? Tak miał na imię? To on zamieścił ogłoszenie? Był tu, gdy przyjechałeś?

Tom, który właśnie próbuje zrobić usztywniony, montowany od wewnątrz ochraniacz na przednią szybę samochodu, patrzy Malorie w oczy. W świetle lampy jego blond włosy wyglądają jeszcze bardziej słomkowo.

– Jako pierwszy odpowiedziałem na ogłoszenie w gazecie – mówi Tom. –

George był wspaniały. Zaprosił do domu obcych ludzi w momencie, gdy wszyscy inni zamykali drzwi na dziesięć spustów. Był wizjonerem i wielkim myślicielem. Przez cały czas dzielił się jakimiś ideami. Na przykład, że moglibyśmy wyglądać przez okna przez jakiś rodzaj soczewki. Rozproszyć obraz przez szkło. Przez teleskop. Lornetkę. To była jego wielka nadzieja. Bo jeśli problem leży w patrzeniu, to może trzeba by było zmodyfikować to, jak patrzymy. Albo zmienić fizyczny sposób postrzegania. Gdybyśmy patrzyli okiem uzbrojonym, może istoty nie byłyby w stanie zrobić nam krzywdy. Obaj szukaliśmy jakichś rozwiązań w tym kierunku. Ale George był człowiekiem, którego nie satysfakcjonowało samo gadanie o czymś. Chciał wprowadzić swoje teorie w życie.

Gdy Tom opowiada, Malorie w myślach przypomina sobie portret wiszący nad schodami.

– Tego wieczoru, gdy przybył Don, nasza trójka siedziała w kuchni, słuchając radia. George zasugerował, że może wszystko to, co się dzieje, spowodowane jest jakąś formą życia. I to zanim przedstawiono tę teorię w stacji MSNBC. Powiedział, że przeczytał o tym w starej książce. *Possible Impossibilities* Elizabeth Hall. Chodzi o inne, sprzeczne formy życia. Dwa światy, których elementy składowe są zupełnie różne, mogą działać na siebie destrukcyjnie, jeśli ich drogi się przetną. I właśnie tej formie życia w jakiś sposób udało się tu dotrzeć... No cóż, taka właśnie była hipoteza George'a. Że jakoś znaleźli drogę do nas... I nie wiadomo, przypadkowo czy specjalnie. Ta koncepcja bardzo przypadła mi do gustu. Ale nie Donowi. Od razu zaczął poszukiwania w internecie dotyczące związków chemicznych, fal gamma i wszystkiego, czego nie widać, a co może zrobić ci krzywdę, gdy na to spojrzysz, choćbyś nawet nie wiedział, że na to patrzysz. Taaak, Don nie odpuszczał. Jest prawdziwym pasjonatem. Sama wiesz, jak potrafi się wściec. Ale George był człowiekiem, który gdy już wpadł na jakiś pomysł, to nie spoczął, dopóki go nie sprawdził, bez względu na niebezpieczeństwo. Gdy dołączyli do nas Felix i Jules, George był gotów przetestować swoją teorię dotyczącą załamania widzianego obrazu. Oczywiście przeczytałam razem z nim wszystko, co było na ten temat w internecie. O tym, jak działa ludzki wzrok, jak działa ludzkie oko, o złudzeniach optycznych i załamaniu światła, jak działają teleskopy, i tak dalej, i tak dalej... Ciągłe o tym gadaliśmy. Don, Felix i Jules już smacznie spali, a my siedzieliśmy w kuchni i rysowaliśmy wykresy. George zastanawiał się, wybiegał myślami naprzód, to znów cofał się

do początków, nagle zwalniał, patrzył na mnie i pytał: „Ile spośród ofiar nosiło okulary? Może zamknięte okno mogłoby nas ochronić, jeśli zastosuje się odpowiednie kąty?”. I rozmawialiśmy potem o tym przez kolejną godzinę... Ciągłe oglądaliśmy newsy, w nadziei, że zauważymy kolejną podpowiedź, strzępek informacji, który pozwoli nam znaleźć sposób, by ludzie mogli się przed tym czymś ochronić. To wtedy doniesienia o incydentach zaczęły się powtarzać. George zaczął tracić cierpliwość. Im więcej mówił o „zmodyfikowanym sposobie patrzenia”, tym bardziej chciał to wypróbować. Bałem się, Malorie. Ale George był niczym kapitan tonącego statku, który nie obawia się śmierci. A gdyby to zadziałało? Ach! Wtedy uratowałyby całą planetę przed najstraszniejszą z epidemii.

Tom opowiada, a światło lampy migoce w jego niebieskich oczach.

– I jaki sprzęt wykorzystał? – pyta Malorie.

– Kamerę wideo. Miał jedną na górze. Jeden z tych starych modeli VHS. Zrobił to bez konsultacji z żadnym z nas. Pewnej nocy usiadł za jednym z koców zwisających w jadalni. Tego ranka obudziłem się pierwszy i znalazłem go śpiącego na podłodze. Tom – powiedział – zrobiłem to. Nagrałem pięciogodzinny materiał. Jest tu, o tu, w tej kamerze. Być może znalazłem na to lekarstwo. Odtworzony obraz. Film. Musimy to obejrzeć. Tłumaczyłem mu, że to zły pomysł. Wydawało mi się też, że pewnie przez te pięć godzin niczego interesującego nie nagrał. Ale on przedstawił nam swój plan. Powiedział, że jeden z nas ma przywiązać go do krzesła w sypialni na górze. Chciał obejrzeć nagranie. W ten sposób, będąc przywiązanym do krzesła, nie byłby w stanie zrobić sobie krzywdy, gdyby coś poszło nie tak. Don się wściekł. Powiedział George’owi, że jest dla nas wszystkich zagrożeniem. Słusznie zauważył, że nie wiemy, z czym mamy do czynienia, a jeśli coś złego stanie się George’owi, to i nam może też coś się stać. Lecz Felix i ja nie byliśmy przeciwni planom George’a. Głosowaliśmy. Tylko Don nie chciał, żeby plan wszedł w życie. Chciał odejść. Próbowaliśmy odwieść go od tego pomysłu. W końcu George oznajmił nam, że nie musi pytać o pozwolenie we własnym domu i może robić, co mu się żywnie podoba. Powiedziałem więc, że zgadzam się, że przywiążę go do krzesła.

– I zrobiłeś to?

– Zrobiłem.

Wzrok Toma wędruje na dywan.

– Najpierw George zaczął dyszeć. Jakby coś utkwilo mu w gardle. Był tam

już od dwóch godzin i wcześniej nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Potem nagle zaczął nas wołać: „Tom, ty gnojku. Przyjdź tu! PRZYJDŹ TU!”. Chichotał, krzyczał, wył. Brzmiał jak pies. Usłyszeliśmy, że krzesło uderzyło o podłogę. Zaczął wykrzykiwać przekleństwa. Jules podniósł się, żeby mu pomóc, ale chwyciłem go za ramię. Nic nie mogliśmy zrobić poza słuchaniem. A słyszeliśmy wszystko bardzo dokładnie. Potem, gdy krzesło się przewróciło, krzyki ustały. Czekaliśmy. Czekaliśmy bardzo długo. W końcu poszliśmy na górę. Z zasłoniętymi oczami wyłączyliśmy odtwarzacz wideo i dopiero wtedy spojrzeliśmy na to, co się stało... Zobaczyliśmy, co George sobie zrobił. Tak mocno napierał na linę, aż przeszła przez mięśnie do samiotkich kości. Przypominało to mrożone ciasto. Poza tym wszędzie była krew... Skóra odstawała ponad sznurem na jego piersi, brzuchu, szyi, nadgarstkach i nogach. Felix zwymiotował. Don i ja ukłękliśmy nad George'em i zaczęliśmy sprzątać. Gdy skończyliśmy, Don zaczął nalegać, żebyśmy spalili taśmę. I tak też zrobiliśmy. Kiedy pochłaniały ją płomienie, nie mogłem przestać myśleć o tym, że wraz z taśmą umiera nasza pierwsza prawdziwa teoria. Nie ma znaczenia przez, jaki pryzmat na nich patrzysz, i tak cię zniszcza.

Malorie siedzi cicho.

– Ale wiesz co? I tak miał rację. W pewnym sensie. Przewidział, że chodzi o jakieś istoty, na długo nim taka hipoteza pojawiła się w mediach. Na pewno trafił na ważny trop. I może gdyby podszedł do tego inaczej, byłby człowiekiem, który odmieni losy świata.

Do oczu Toma napływają łzy.

– Wiesz, co mnie najbardziej martwi, Malorie?

– Co?

– Że kamera była włączona tylko przez pięć godzin i nagrała to coś. Ile więc tego jest?

Malorie patrzy na koce zawieszane w oknach. Potem znów na Toma, który majstruje coś przy ochraniaczu na przednią szybę samochodu. Z jadalni dobiega cicha muzyka.

– No cóż – odzywa się Tom, podnosząc do góry swoje dzieło. – Przynajmniej coś takiego może pomóc. Wiesz, nie możemy przestać próbować tylko dlatego, że George nie żyje. Czasem myślę, że jego śmierć bardzo przestraszyła Dona. Na pewno coś się w nim zmieniło.

Tom wstaje i niesie przed sobą wielką konstrukcję. Nagle Malorie słyszy, jak coś uderza o podłogę. To dzieło Toma rozpadło się na kawałki. A on odwraca

się do niej i spokojnym głosem mówi:

– Nie możemy przestać próbować.

Trzynaście

Felix idzie ścieżką do studni. W rękę trzyma jedno z ich sześciu wiader. To akurat jest drewniane. A żelazna czarna rączka sprawia, że wygląda na stare. Jest też cięższe niż pozostałe, ale dla Felixa to żaden problem. Wręcz przeciwnie. Właśnie to lubi najbardziej. Mawia, że daje mu poczucie bezpieczeństwa.

Wokół talii ma zawiązaną linę, której drugi koniec przymocowany jest do stalowego słupka wbitego w ziemię przy domu, zaraz obok drzwi do ogrodu. Duży kawał liny zwisa. Ociera się o nogawki i buty. Felix boi się, że się o nią potknie, więc lewą ręką unosi nadmiar sznura i trzyma z daleka od ciała. Ma zasłonięte oczy. Kawałki starych ram od obrazów wyznaczają ścieżkę i pomagają nie zboczyć z drogi.

– To jest jak *Operation!* – krzyczy do Jules'a, który też z zawiązanymi oczami czeka przy stalowym słupku. – Pamiętasz tę grę? Za każdym razem, gdy mój palec u nogi dotyka drewna, włącza się alarm.

Jules zaczął mówić, gdy tylko Felix rozpoczął swój spacer do studni. Wszyscy współlokatorzy to robią. Jeden nosi wodę, drugi, cały czas mówiąc, sygnalizuje odległość od domu. Jules nie mówi nic szczególnego. Recytuje oceny, jakie miał na studiach. Wymienia swoje trzy pierwsze prace, jakie dostał po zrobieniu dyplomu. To nie ma żadnego znaczenia. Jules mówi, żeby Felix nie czuł się, jakby był na otwartym morzu.

Ale to pomaga tylko trochę.

Gdy Felix w końcu dociera do studni, wpada na nią z impetem. Zbudowana z kamieni obudowa rani go w udo. Felix zastanawia się, że skoro teraz noga tak boli, a przecież szedł wolno, co by było, gdyby biegł...

– U mnie wszystko okej, Jules! Właśnie mocuję wiadro.

Nie tylko Jules czeka na Felixa. Za zamkniętymi drzwiami stoi Cheryl. Jest

w kuchni i nasłuchuje, co dzieje się na zewnątrz. Osoba, która czeka w kuchni, jest w stanie gotowości tylko na wypadek, gdyby stało się coś złego. Cheryl ma nadzieję, że dziś jej rola ograniczy się tylko do asekuracji.

Ponad kołem studni zawieszony jest drewniany drąg zakończony dwoma żelaznymi hakami. To dlatego Felix lubi to drewniane wiadro. Jako jedyne idealnie pasuje do haków. Przywiązuje linę ze studni do wiadra, a gdy jest już dobrze zabezpieczone, zaczyna kręcić korbą, aż lina staje się napięta. Uwalnia ręce, wyciera je o dzinsy.

Nagle słyszy, że coś się poruszyło.

Szybko odwraca głowę. Wyciąga ręce przed siebie. Nic jednak się nie dzieje. Nic do niego nie podchodzi. Słyszy, jak Jules coś mówi przy drzwiach. Coś o tym, jak to pracował jako mechanik. Naprawiał różne rzeczy.

Felix nasłuchuje.

Oddycha ciężko, zaczyna kręcić korbą w przeciwną stronę, ale cały czas nasłuchuje, co dzieje się na podwórzu. Lina jest już swobodna, więc może zdjąć z haka wiadro, które teraz zawisa nad kamienną obręczą studni. Czeka kolejną minutę. Słyszy nawoływanie Jules'a:

– Felix, wszystko okej?

Felix słucha jeszcze przez chwilę, zanim odpowie. Odzywa się, ale czuje, że jego głos zdradza emocje:

– Tak. Wydawało mi się, że coś słyszałem.

– Co mówisz?

– Wydawało mi się, że coś słyszałem! Właśnie nabieram wodę.

Felix kręci korbą, a wiadro obniża się. Słyszy, jak obija się o ściany studni. Wtóruje temu głucho echo. Felix wie, że musi kręcić korbą jakieś dwadzieścia razy, żeby wiadro sięgnęło tafli wody.

Jedenaście, dwanaście, trzynaście...

Przy dziewiętnastym słyszy na dole studni plusk wody. Gdy czuje, że wiadro jest pełne, wciąga je na górę. Zawiesza na haku, rozwiązuje linę i niesie w stronę Jules'a.

Będzie musiał zrobić trzy takie kursy.

– Niosę pierwsze wiadro! – woła Felix.

Jules właśnie mówi o naprawie samochodów. Gdy Felix do niego podchodzi, dotyka jego ramienia. Zazwyczaj osoba stojąca przy słupku puka do drzwi, dając znać komuś czekającemu w środku, że wiadro zostało przyniesione. Lecz Jules się waha.

– Co takiego słyszałeś? – pyta.

Felix, trzymając ciężkie wiadro, zastanawia się.

– To była chyba sarna. Nie jestem pewien.

– Dźwięk dobiegał z lasu?

– Nie wiem, skąd dobiegał.

Jules milknie. Felix słyszy, że się porusza.

– Sprawdzasz, czy jesteśmy sami?

– Tak.

Gdy Jules upewnia się, że wszystko jest okej, puka dwa razy do drzwi. Bierze wiadro od Felixa. Cheryl szybko otwiera i przejmuje wodę. Drzwi się zamykają.

– Tu masz drugie – mówi Jules, wręczając Felixowi kolejne wiadro.

Felix znów idzie do studni. Tym razem wiadro zrobione jest z blachy. W domu są jeszcze trzy takie same. Na dnie leżą dwa ciężkie kamienie. Położył je tam Tom, gdy zorientował się, że wiadro jest zbyt lekkie, by zanurzyć się w wodzie. Teraz jest już cięższe, choć nie aż tak jak to drewniane. Jules znów zaczyna mówić. Teraz wymienia rasy psów. Felix już to słyszał. Jules miał kiedyś białą labradorkę, Cherry, która była najbardziej roztrzepanym psem, jakiego miał. Gdy Felix następuje butem na drewno wystające z ziemi, omal się nie wywraca. Musi zwolnić. Tym razem, będąc przy studni, asekuruje się wyciągniętą ręką. Stawia wiadro na obudowie i zaczyna mocować do niego linę.

Znów coś słyszy. I znów. Jakby trzask drewna gdzieś w oddali.

Felix odwraca się i przez przypadek zrzuca wiadro ze studni do środka. Korba sama się obraca. Wiadro uderza o dno, powodując głośne echo. Jules woła do niego. Felix obraca się dokoła, czuje się zupełnie bezbronny. Znów nie wie, skąd dobiegł dźwięk. Nasłuchuje, ciężko oddycha. Opiera się o studnię, czeka.

Wiatr szeleści w koronach drzew.

Nic więcej.

– Felix?

– Wiadro spadło mi do studni!

– Było przywiązane?

Felix zamiera.

Kręci się nerwowo przy studni. Nawija linę i odkrywa z ulgą, że tak, przywiązał wiadro, zanim wpadło. Uwalnia linę. Odwraca się w stronę

podwórza. Zatrzymuje się. Po chwili zaczyna wciągać wiadro na górę.

Gdy wraca, Jules znów zaczyna zadawać mu pytania.

– Wszystko okej, Felix?

– Tak.

– Po prostu ci wpadło?

– Tak, potrąciłem je. Ale wydaje mi się, że znów coś słyszałem.

– Co to był za dźwięk? Jakby złamany patyk?

– Nie. Tak. Może. Nie wiem.

Gdy Felix dociera do Jules'a, ten przejmuje wiadro.

– Jesteś pewien, że chcesz to dziś robić?

– Tak. Już przyniosłem dwa wiadra. Jest okej. Tylko, kurwa, słyszę tam różne rzeczy, Jules.

– Chcesz, żebym ja przyniósł ostatnie?

– Nie. Zrobię to.

Jules puka do drzwi. Cheryl otwiera, odbiera wiadro i wręcza kolejne, puste.

– Wszystko u was w porządku, chłopaki? – pyta.

– Tak – odpowiada Felix. – Wszystko gra.

Cheryl zamyka drzwi.

– Proszę – mówi Jules, wręczając ostatnie wiadro. – Jeśli będę potrzebny, dawaj znać. Pamiętaj, jesteśmy połączeni.

Pociąga za linę.

– Jasne.

Za trzecim razem Felix znów musi sobie przypomnieć, żeby zwolnić. Ale wie, dlaczego mu tak spieszo. Chce już być w domu, gdzie może popatrzeć na twarz Jules'a i gdzie zawieszony w oknach koce dają mu poczucie bezpieczeństwa. Znów wpada na studnię. Powoli przywiązuje linę do wiadra. Zatrzymuje się.

Nie słychać zupełnie nic poza głosem Jules'a dobiegającym spod domu.

Świat zamarł w nienaturalnej ciszy.

Felix kręci korbą.

Jeden, dwa...

Jules ciągle mówi. Jego głos jest bardzo daleko. Zbyt daleko.

...sześć, siedem...

W głosie Jules'a słychać niepokój. Dlaczego? Czym się zaniepokoił?

...dziesięć, jedenaście...

Pod opaską na oczach Felixa zbiera się pot. I powoli spływa mu po nosie.

Za moment będziesz w domu, myśli. Po prostu napełnij ten cholerny kubek...

Znowu słyszy ten sam dźwięk. Już trzeci raz.

Ale teraz wie, skąd dobiega.

Dobiega z wnętrza studni.

Puszcza korbę i robi krok do tyłu. Wiadro wpada, obija się o kamienie, zanim dosięga wody.

Coś się poruszyło. Coś poruszyło się w wodzie. Czy naprawdę coś poruszyło się w wodzie?

Nagle Felixa zlewa zimny pot. Zbyt zimny. Zaczyna się trząść.

Jules go woła, ale Felix nie chce odpowiedzieć. Nie chce wydać z siebie żadnego dźwięku.

Czeka. A im dłużej czeka, tym bardziej jest przerażony. Cisza aż kole w uszy. Jakby miał usłyszeć coś, czego nie chce usłyszeć. Ale teraz już nic nie słyszy, więc powoli zaczyna myśleć, że może jednak się pomylił. Może to było coś w studni, ale równie dobrze mogło to być coś w rzece. Albo w lesie. Albo w trawie.

Gdziekolwiek.

Robi więc krok w stronę studni. Zanim sięgnie po linę, łapie się za kamienną obudowę. Przebiega po niej palcami. Chce sprawdzić, jak duża jest średnica otworu.

Czy ja bym się tu zmieścił? Czy ktokolwiek by się tu zmieścił?

Nie jest pewien. Odwraca się w stronę domu, gotów zostawić wiadro tam, gdzie wpadło. Ale jednak łapie za korbę i zaczyna szybko kręcić.

Zaczynasz słyszeć różne dziwne rzeczy. Zaczyna ci odbijać, stary. Weź się lepiej w garść. I wracaj do domu. Ale już!

Gdy tak kręci, czuje, że strach staje się coraz trudniejszy do opanowania. Teraz wydaje mu się, że wiadro jest nieco cięższe niż zazwyczaj.

NIE jest cięższe! Weź je wyjmij i wracaj do domu! NATYCHMIAST!

Gdy wiadro jest już na górze, Felix zatrzymuje się. Powoli sięga po nie jedną ręką. Trzęsie się. Gdy jego palce dotykają mokrej obudowy, Felix głośno przełyka ślinę. Blokuję korbę. Wtedy wkłada rękę do wiadra.

– Felix? – woła Jules.

W wiadrze nie ma nic poza wodą.

Widzisz? Masz zwidy...

Za plecami słyszy stąpienie mokrej stopy na trawie.

Felix upuszcza wiadro i rzuca się do ucieczki.

Upada.

Wstawaj!

Wstaje i ucieka.

Jules woła do niego, a on odpowiada.

Znów upada.

Wstawaj! Wstawaj!

I znów podrywa się, i znów ucieka.

Czuje na sobie ręce Jules'a.

Drzwi do domu otwierają się. Dotyka go jeszcze kto inny. Jest już w środku. Don krzyczy. Cheryl krzyczy. Tom krzyczy na wszystkich, żeby się uspokoili. Drzwi się zamykają. Olympia pyta, co się dzieje. Cheryl pyta, co się stało. Tom każe wszystkim zamknąć oczy. Znów ktoś dotyka Felixa. Jules wrzeszczy, żeby wszyscy się zamknęli.

Zapada cisza.

Wtedy Tom zaczyna cicho:

– Don, czy sprawdziłeś tylne wejście?

– Skąd, do kurwy nędzy, mam być pewien, że wszystko dokładnie sprawdziłem?

– Tylko pytam.

– Tak, sprawdziłem.

– Co się stało, Felix? – pyta Tom.

Więc Felix opowiada. Wszystkie szczegóły, które pamięta. Tom prosi go, żeby jeszcze raz powtórzył to, co stało się na koniec. Chce wiedzieć więcej, co wydarzyło się przy drzwiach. Zanim wpuścili Felixa. W momencie, gdy wpuszczali. Więc Felix jeszcze raz opowiada.

– Dobra – mówi Tom. – Otwieram oczy.

Malorie zamiera w napięciu.

– Wszystko jest okej – dodaje Tom. – Nic mi się nie stało.

Malorie też otwiera oczy. Na kuchennym blacie stoją dwa wiadra wody ze studni. Felix stoi przy drzwiach z zawiązanymi oczami. Jules właśnie ściąga swoją opaskę.

– Zaryglujcie drzwi – wydaje komendy Tom. – Ustawcie przed tymi drzwiami krzesła z jadalni. Później zablokujcie okno w jadalni stołem.

– Tom – odzywa się Olympia. – Przerażasz mnie.

– Don, chodź ze mną. Zablokujemy drzwi wejściowe kredensem. Felix, Cheryl, postawcie kanapę z salonu na boku. Zablokujcie jedno z okien. Ja

znajdę coś, żeby zablokować drugie.

Współlokatorzy gapią się na Toma.

– No dalej – niecierpliwi się. – Do roboty!

Gdy inni rozchodzą się, Malorie stuka Toma w ramię.

– O co chodzi?

– Olympia i ja możemy pomóc. Jesteśmy w ciąży, a nie niedołążne. Zastawimy materacami okna na górze.

– Dobrze. Ale zróbcie to z zasłoniętymi oczami. I bądźcie tak ostrożne jak nigdy dotąd.

Tom wychodzi z kuchni. Gdy Malorie i Olympia przechodzą przez salon, Don już tam jest i przesuwa kanapę. Na górze obie kobiety ostrożnie ustawiają materac Malorie w pionie przy kocu zasłaniającym okna. Robią to samo w pokojach Olympii i Cheryl.

Drzwi i okna na dole też zostają zablokowane.

Wszyscy zebrali się w salonie. Stoją bardzo blisko siebie.

– Tom, czy tam coś jest? – pyta Olympia.

Tom chwilę się zastanawia, zanim odpowiada. Malorie widzi wielki strach w oczach Olympii. Czuje dokładnie to samo.

– Może.

Tom patrzy w okno.

– Ale przecież to mogła być... sarna, prawda? To mogła być sarna?

– Może.

Każdy z domowników po kolei siada na dywanie. Ramię w ramię, plecami do siebie, na środku pokoju. Kanapa zasłania jedno okno, krzesła z kuchni – drugie. A oni siedzą w ciszy.

I nasłuchują.

Czternaście

Zimna woda oblewa spodnie Malorie podczas wiosłowania. Za każdym razem, gdy tak się dzieje, Malorie oczyma wyobraźni widzi istoty, które stoją w rzece, łapią w złączone dłonie wodę i rzucają w nią, utrudniając ucieczkę. Malorie cała drży.

Należący do Olympii poradnik o dzieciach, przypomina sobie Malorie, oświecił ją w wielu sprawach. Ale jedna rzecz naprawdę utkwiała jej w pamięci:

„Twoje dziecko jest mądrzejsze, niż myślisz”.

Na początku Malorie nie chciała zaakceptować tego faktu. W nowym świecie dzieci nie mogą otwierać oczu po przebudzeniu. Trzeba je wychowywać w strachu. W tym świecie nie ma miejsca na niewiadome. A i tak wielokrotnie Chłopiec i Dziewczynka ją zaskakiwali.

Kiedyś, gdy posprzątała ich prowizoryczne zabawki z korytarza na górze, Malorie weszła do salonu. Usłyszała, że coś rusza się na piętrze.

– Chłopczyku? – zawołała. – Dziewczynko?

Ale wiedziała, że dzieci były w sypialni. Zamknęła je w otoczonych drucianą siatką kołyskach niecałą godzinę wcześniej.

I wiedziała, co to za dźwięk. Wiedziała dokładnie, gdzie leży każdy przedmiot w całym domu. To książka spadła ze stołu w pokoju, w którym mieszkali kiedyś Don i Jules.

Przy drzwiach do dziecięcej sypialni Malorie na chwilę się zatrzymała. Usłyszała ciche pochrapywanie.

Następny hałas w nieużywanym pokoju i Malorie wzięła głęboki wdech. Od łazienki dzieliło ją zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Dzieci spały. Jeśli udałoby się jej dotrzeć do łazienki, to byłaby w stanie się obronić.

Z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi przed siebie rękoma Malorie

przemieszczała się bardzo szybko, aż wpadła na ścianę, zanim znalazła drzwi do łazienki. Już w środku uderzyła z całej siły biodrem w umywalkę. W amoku, obmacując ścianę, znalazła ręcznik. Zawiązała go sobie ciasno na oczach. Zrobiła podwójny węzeł. Za otwartymi drzwiami znalazła to, czego szukała.

Siekierę.

Uzbrojona, z zawiązanymi oczami, wyszła z łazienki. Trzymając siekierę dwoma rękami, szła w kierunku drzwi, które zawsze były zamknięte, lecz tym razem okazały się otwarte.

Malorie weszła do środka.

Zamachnęła się siekierą, na oślepe, mniej więcej na poziomie swojego wzroku. Trafiła w drewnianą ścianę i krzyknęła, gdy posypały się drzazgi. Odwróciła się i zamachnęła raz jeszcze. Tym razem walnęła w ścianę naprzeciwko.

– Wynoś się stąd! Zostaw moje dzieci w spokoju!

Przyczaiła się w napięciu.

Gotowa do ataku na dźwięk. Na ruch. Na cokolwiek, co zrzuciło książki.

Nagle usłyszała Chłopca, gdzieś w okolicy swoich stóp. Płakał.

– Chłopczyk?

Kompletnie zaskoczona, uklękła i od razu go znalazła. Zdjęła z głowy ręcznik i otworzyła oczy.

W swoich małych rączkach trzymał linijkę. Obok niego leżały książki.

Podniosła go i zaniósła do sypialni. Tam zobaczyła, że drucziana przykrywa kołyski jest otwarta. Posadziła go na podłodze. Potem zamknęła pokrywę i poprosiła, żeby otworzył. Chłopiec patrzył na nią. Zaczęła bawić się małym zamkiem, prosząc, żeby pokazał, czy umie go otworzyć. Umiał.

Malorie uderzyła go.

Zdanie z książki o dzieciach.

Przypomniała sobie ten poradnik Olympii. Teraz już jej własny.

I właśnie to jedno jedyne zdanie, które chciała wyprzeć, wróciło do niej:

„Twoje dziecko jest mądrzejsze, niż myślisz”.

Kiedyś ją to martwiło. Ale dziś, w łódce, gdy polega na słuchu dzieci, uczepliła się tego zdania, mając nadzieję, że dzieci, tak jak dorośli, są przygotowane na to, co mogą spotkać na rzece.

Tak, ma nadzieję, że są mądrzejsze od tego, co przed nimi.

Piętnaście

– Nie będę pić tej wody – oznajmia Malorie.

Wszyscy są już wymęczeni. Spali stłoczeni obok siebie na podłodze w salonie. Ale nikt tak naprawdę się nie wyspał.

– Nie damy rady przetrwać bez wody, Malorie – mówi Tom. – Pomyśl o dziecku.

– Właśnie o nim myślę.

W kuchni na blacie stoją dwa wiadra przyniesione przez Felixa. Nietknięte. Każdy ze współlokatorów oblizuje spierzchnięte usta. Minęły już dwadzieścia cztery godziny, a perspektywa kolejnych godzin bez picia zaczyna ich dobijać.

Są spragnieni.

– Może będziemy pić wodę z rzeki? – pyta Felix.

– Bakterie – odpowiada Don.

– To zależy – zauważa Tom. – Od temperatury wody. Głębokości. Tego, jak wartki jest nurt.

– Ale przecież – mówi Jules – jeśli coś wlaźło do studni, to na pewno też i do rzeki.

Skazenie, myśli Malorie.

Oto słowo dnia.

W piwnicy są trzy wiadra z moczem i fekaliami. Nikt nie chce ich wynieść. Nikt nie chce dziś nawet na chwilę wyrzucić na zewnątrz. Już zaczęło śmierdzieć w kuchni, a nawet trochę zalatuje w salonie.

– Ja wypiłabym wodę z rzeki – stwierdza Cheryl. – Spróbowałabym.

– Poszłabyś tam? – pyta Olympia. – Przecież coś może stać tuż pod drzwiami!

– Nie wiem, co usłyszałem – powtarza po raz nie wiadomo który Felix. Ma poczucie winy, że wszyscy się teraz boją.

– To był pewnie jakiś człowiek – mówi Don. – Ktoś, kto chciał nas okraść.

– Czy musimy właśnie teraz się nad tym zastanawiać? – pyta Jules. – Minął jeden dzień. Nie słyszeliśmy nic niepokojącego. Poczekajmy. Jeszcze jeden dzień. Może poczujemy się lepiej.

– Ja mogłabym się napić nawet wody z wiader – irytuje się Cheryl. – Do kurwy nędzy, to jest studnia. Ciągłe do niej wpadają jakieś zwierzęta. I zdychają, tam na dole. Pewnie przez cały czas pijemy wodę z truchłem.

– W tej okolicy była zawsze dobra woda – mówi Olympia.

Malorie wstaje. Podchodzi do wejścia do kuchni. Woda połyskuje w drewnianym wiadrze, a w metalowym błyszczy.

Co może nam się od niej stać?, zastanawia się Malorie.

– Jak myślisz, można napić się trochę wody z któregoś wiadra? – pyta Tom.

Malorie odwraca się. Mężczyzna stoi tuż obok. Jego ramię dotyka jej ramienia.

– Ja tego nie mogę zrobić, Tom.

– Nigdy bym cię o to nie poprosił. Sam mogę spróbować.

Malorie patrzy mu w oczy i wie, że mówi serio.

Tom odwraca się przodem do reszty siedzącej w jadalni.

– Napiję się tej wody – oznajmia.

– Nie potrzebujemy tu bohatera – mówi Don.

– Nie chodzi o bohaterstwo. Po prostu chce mi się pić.

Zapada cisza. Malorie widzi w twarzach swoich współtowarzyszy to, co sama czuje. Boi się, ale chce, żeby ktoś spróbował wody.

– To szaleństwo – stwierdza Felix. – Daj spokój, Tom. Wymyślimy coś innego.

Tom wchodzi do jadalni. Podchodzi do stołu i patrzy Felixowi w oczy.

– Zamknijcie mnie w piwnicy. Tam wypiję wodę.

– Zwariujesz od samego smrodu – żartuje Cheryl.

– Na naszym podwórku mamy studnię. – Tom smutno się uśmiecha. – Ale jeśli nie możemy z niej korzystać, to już nic nam nie zostało. Pozwólcie mi to zrobić.

– Brzmisz jak wiesz kto? – pyta Don.

Tom czeka.

– Brzmisz jak George. Tyle że on miał przynajmniej jakąś teorię.

Tom patrzy na stół w jadalni, potem na okno. W końcu się odzywa:

– Jestem tu od wielu miesięcy. Jeśli coś było wczoraj w studni, to pewnie

było tam już wcześniej.

– Racjonalizujesz – odzywa się Malorie.

Tom nawet na nią nie patrzy.

– A jest jakaś inna opcja? – pyta. – Owszem, rzeka. Ale możemy się pochorować. Naprawdę pochorować. A nie mamy żadnych leków. Wszystko, co do tej pory mieliśmy, to była woda ze studni. To nasze jedyne lekarstwo. Co jeszcze możemy zrobić? Szukać kolejnej studni? A potem co? Mieć nadzieję, że nic do niej nie wlało?

Malorie spogląda na towarzyszy i widzi, że jeden po drugim się z tym zgadzają. Nawet naturalny dla Dona wyraz buntu zamienił się w zatroskanie. Strach w oczach Olympii zmienia się w poczucie winy. Malorie nie chce, żeby Tom to zrobił. Po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, wizja Toma jako osoby kontrolującej wszystko, co się tu dzieje, zaczyna się rozmywać.

Ale zamiast go powstrzymać, czuje się zainspirowana. I próbuje pomóc.

– Nie w piwnicy – mówi. – A jeśli stracisz rozum i zniszczysz nasze zapasy?

– Racja. – Tom patrzy na nią. – W takim razie na poddaszu.

– Jest tam o wiele wyżej niż tu, gdybyś chciał wyskoczyć przez okno. – Malorie nie odpuszcza.

Tom patrzy jej w oczy.

– No dobrze. Wobec tego kompromis. Na piętrze. Musicie mnie gdzieś zamknąć. Bo tu, na dole, nie ma miejsca.

– Niech będzie mój pokój – mówi Malorie.

– Właśnie w tym pokoju – zaczyna Don – George oglądał swoje nagranie...

Malorie znów patrzy na Toma.

– Nie wiedziałam...

– Dobra, zrobmy to – decyduje Tom.

Zatrzymuje się na chwilę, przechodząc obok Malorie, a potem wchodzi do kuchni. Malorie idzie za nim. Za nimi podążają pozostali. Gdy Tom wyciąga szklanekę z szafki, Malorie delikatnie łapie go za ramię.

– Pij przez to. – Wręcza mu filtry do kawy. – Sama nie wiem... To zwykły filtr. Ale kto wie...

Tom bierze filtry. Znów patrzy jej w oczy. I zanurza szklanekę w drewnianym wiadrze.

Wyciąga ją i trzyma przed sobą. Wszyscy stoją w półokręgu i przyglądają się zawartości.

Szczegóły opowieści Felixa ciągle powodują u Malorie dreszcze.

Ze szklanką w dłoni Tom wychodzi z kuchni. Jules bierze ze spizarni sznur i idzie za nim.

Nikt się nie odzywa. Malorie kładzie jedną rękę na brzuchu, drugą na ladzie. I zabiera ją szybko, jakby dotknęła jakiejś zabójczej substancji.

Skażenie.

Ale tam, gdzie położyła dłoń, nie ma żadnej wody.

Na górze drzwi do jej sypialni zamykają się. Słyszy, jak Jules zawiązuje linę wokół gałki i mocuje ją do balustrady przy schodach.

Tom jest zamknięty.

Tak jak George.

Felix chodzi. Don opiera się o ścianę, ma skrzyżowane ramiona, patrzy w podłogę. Gdy Jules wraca, podchodzi do niego Victor.

Z góry dobiegają jakieś dźwięki. Malorie bierze głośny wdech. Wszyscy patrzą na sufit.

Czekają. Nasłuchują. Felix rusza w stronę schodów, jakby chciał wejść na górę. Ale zatrzymuje się.

– Musiał już to wypić – mówi cicho Don.

Malorie podchodzi do wejścia do salonu. Dzieli ją ze trzy metry od schodów.

Nic, tylko cisza.

Nagle stuknięcie.

Tom coś krzyczy.

Tom krzyczy Tom krzyczy Tom krzyczy.

Malorie zmierza w kierunku schodów, ale mija ją Jules.

– Zostań tu! – rozkazuje.

Patrzy, jak mężczyzna wchodzi na górę.

– Tom!

– Jules, wszystko ze mną okej.

Na dźwięk głosu Toma Malorie robi wydech. Łapie się barierki, żeby złapać równowagę.

– Wypiłeś wodę? – pyta przez drzwi Jules.

– Tak. Wypiłem. Nic mi nie jest.

Reszta osób gromadzi się przy Malorie. Zaczynają rozmawiać. Na początku cicho. Potem z ekscytacją. Na górze Jules rozwiązuje linę. Tom wychodzi z sypialni, trzymając przed sobą pustą szklankę.

– I jak smakowała? – pyta Olympia.

Malorie uśmiecha się. Inni też. To śmieszne, stoją w ciemnym korytarzu i pytają, jak smakowała szklanka wody.

– No cóż... – odpowiada Tom, schodząc. – To była z pewnością najlepsza szklanka wody w moim życiu...

Gdy jest już na dole, patrzy na Malorie.

– Bardzo fajny pomysł z tym filtrem. – Mija ją i stawia szklankę na stoliku z telefonem. Odwraca się do reszty i zarządza: – Postawmy więc meble na miejscu. Przywróćmy temu miejscu porządek...

Szesnaście

Płynąc rzeką, Malorie czuje ciepło słońca w zenicie. Zamiast się tym rozkoszować, martwi się, że pewnie bardziej ich widać.

– Mamusiu – szepce Chłopiec.

Malorie nachyla się do przodu. W dłoń wbiły jej się drzazgi z wiosła. W sumie trzy.

– O co chodzi?

– Ciii – mówi Chłopiec.

Malorie przestaje wiosłować. Słucha.

Chłopiec ma rację. Coś porusza się na brzegu po lewej stronie. Słysząc dźwięk łamanych patyków. Na pewno więcej niż jeden osobnik.

Mężczyzna z łodzi, Malorie przypomina sobie jego krzyk. Pewnie widział coś na tej rzece.

Czy to on? Czy to on jest w lesie? Czy to on ich śledzi, chce uwięzić i zdjąć im opaski? Szczególnie dzieciom?

Kolejne patyki trzaskają. To coś porusza się wolno. Malorie myśli o domu, który opuścili. Tam byli bezpieczni. Dlaczego wyruszyli w tę podróż? Czy tam, gdzie zmierzają, będzie bezpieczniej? Jakim cudem? Czyż opaska na oczy nie jest ostatnią nadzieją w świecie, w którym nie można otworzyć oczu?

Wyruszyliśmy, bo ludzie dzielą się na takich, którzy czekają, i takich, którzy działają.

Tak mawiał Tom. Malorie wie, że nigdy nie przestanie jej inspirować. Każda myśl o nim, tu na rzece, daje nadzieję.

Tom – chciałaby mu powiedzieć – twoje pomysły były bardzo dobre.

– Chłopczyku – szepce i zaczyna znów wiosłować. Boi się, że są zbyt blisko lewego brzegu. – Co usłyszałeś?

– To jest blisko, Mamusiu. Boję się.

Przez chwilę panuje cisza. Malorie czuje, że niebezpieczeństwo wisi w powietrzu.

Przestaje wiosłować, bardziej się wsłuchuje. Skręca szyję w lewą stronę.

Dziób łodzi uderza w coś twardego. Malorie wrzeszczy, dzieci krzyczą.

Wpadliśmy na brzeg!

Malorie wbija wiosło w miejsce, gdzie jest muł, przynajmniej tak jej się wydaje. Ale nie trafia.

– Zostawcie nas! – krzyczy, wykrzywiając twarz w grymasie. Nagle marzy, żeby znaleźć się za murami domu. Ale na rzece nie ma domów. Ani piwnic pod nimi. Ani poddasza na górze.

– Mamusiu! – Dziewczynka krzyczy do niej, bo coś przedziera się przez gałęzie. Coś dużego.

Malorie znów próbuje wbić wiosło, ale i tym razem trafia w wodę. Łapie Chłopca i Dziewczynkę i przyciąga ich mocno do siebie.

Słyszy warczenie.

– Cisza! – krzyczy i przytula Dziewczynkę jeszcze bardziej.

Czy to człowiek? Obłąkany? Czy istoty warczą? Czy one w ogóle wydają jakieś dźwięki?

Kolejne warczenie i Malorie już wie, co to jest. Coś jakby pies? Tak, to na pewno jakieś psowate.

Wilki.

Nie udaje jej się uchylić i szpony wilka wbijają się jej w ramię.

Krzyczy z bólu. Natychmiast czuje, jak ciepła krew spływa po ramieniu. Na dnie łódki chlupocze zimna woda.

I mocz.

Wyczuły nas, myśli Malorie. W panice kręci głową na wszystkie strony i wali wiosłem na oślep. Wiedzą, że nie mamy jak się obronić.

Słyszy kolejne powarkiwania. To całe stado! Dziób łódki musiał gdzieś utknąć. Malorie sprawdza wiosłem, ale nie wie gdzie. Niestety, łódka tylko kołysze się, a wilki mogą się na nią przedostać od przodu.

Mogą tu wskoczyć! MOGĄ TU WSKOCZYĆ! Mogą podejść od frontu. Musimy się stąd wydostać.

Macha wiosłem ponad głowami dzieci, pokrzykuje i wstaje. Łódź przechyla się na prawo. Malorie myśli, że wilki podchodzą od przodu. Próbuje złapać równowagę. Wilki charczą. Pali ją ramię, czuje ból, jakiego nigdy wcześniej nie czuła. Robi szeroki zamach wiosłem w kierunku dziobu. Lecz nie dosięga.

Robi krok do przodu.

– Mamusiu!

Pada na kolana. Chłopiec jest teraz obok niej. Trzyma ją za koszulkę.

– Musisz mnie puścić! – krzyczy do niego.

Coś wskakuje do wody.

Malorie odwraca się w stronę dźwięku.

Jak płytko tu jest? Czy wilki mogą dostać się na łódź? Czy wilki MOGĄ DOSTAĆ SIĘ NA ŁÓDŹ?

Robi szybki zwrot, czołga się na koniec łódki i wyciąga przed siebie rękę w ciemność.

Dzieci krzyczą za jej plecami. Z każdej strony pryska woda. Łódź kołysze się. Wilki warczą. W mroku, z zamkniętymi oczami, Malorie wyczuwa pod ręką pieniek.

Wyje z bólu i wyciąga obie ręce. Lewe ramię boli. Na poszarpanej skórze czuje zimne, październikowe powietrze. Drugą ręką znajduje kolejny pieńek.

Zaklinowaliśmy się! I tyle! Zaklinowaliśmy się!

Odpycha się mocno od obu pieńków, coś uderza w burtę łodzi. Słyszy chrobot pazurów, odgłos wspinania się.

Łódka przedziera się przez gałęzie. Woda chlapie. Malorie słyszy to z każdej strony. Słyszy też powarkiwania i czuje ciepło, jakby całkiem blisko niej.

Głośno krzyczy i odpycha się.

Uwolnili się.

Szybko się odwraca, potyka się i upada na środkową ławkę.

– Chłopczyku! – woła.

– Mamusiu!

Na ślepo szuka Dziewczynki, mała wcisnęła się pod ławkę.

– Czy jesteście cali i zdrowi? Odpowiedzcie!

– Boję się – mówi Dziewczynka.

– Nic mi się nie stało – mówi Chłopiec.

Malorie wiosłuje jak szalona. Ma wrażenie, że jej ramię zaczyna odrywać się od reszty ciała. Lecz wiosłuje dalej. Miejsca, do którego chce zabrać dzieci, być może już nie ma. Ta potworna wyprawa, w całkowitym zaślepieniu, może okazać się bez sensu. Gdy tam dotrą, do końca rzeki, czy będą bezpieczni? A co jeśli to, czego szuka, już nie istnieje?

Siedemnaście

– Boją się nas – mówi nagle Olympia.

– Co masz na myśli? – pyta Malorie.

Obie siedzą na trzecim stopniu schodów.

– Pozostali. Boją się naszych brzuchów. I wiesz dlaczego. Bo wiedzą, że któregoś dnia będą musieli odebrać poród.

Malorie patrzy na salon. W domu mieszka od dwóch miesięcy. Jest w piątym miesiącu ciąży. Też się zastanawiała nad tym, o czym mówi Olympia. Oczywiście, że się zastanawiała.

– Jak myślisz, kto to zrobi? – Olympia mierzy koleżankę swym niewinnym spojrzeniem.

– Tom – odpowiada Malorie.

– Okej, ale czułabym się o wiele lepiej, gdyby w domu był lekarz.

Ta myśl ciągle prześladowuje Malorie. Myśl o nieuchronnym porodzie. Brak opieki medycznej. Brak lekarstw. Brak przyjaciół i rodziny. Próbuje wmówić sobie, że potrwa to bardzo krótko. Rach-ciach i po wszystkim. Wyobraża sobie, jak odchodzą jej wody, a potem, że już trzyma dziecko w ramionach. Nie chce myśleć o tym, co będzie pomiędzy.

Reszta domowników zgromadziła się w salonie. Koniec porannych czynności. Przez cały dzień Malorie wydaje się, że Tom coś rozpracowuje. Jest jakby nieobecny. Pogrążony w myślach. Teraz stoi na środku pokoju, chce, żeby wszyscy go słyszeli, bo zamierza podzielić się tym, co mu chodzi po głowie.

– Mam plan – zaczyna.

– O? – reaguje Don.

– Tak. – Tom przerywa, jakby chciał się upewnić, że wyrazi swe myśli precyzyjnie. – Potrzebujemy przewodników.

– O co dokładnie ci chodzi? – pyta Felix.

– Chodzi o to, że wyjdę na zewnątrz i poszukam psów.

Malorie wstaje ze schodów i podchodzi do drzwi salonu. Inni też są poruszeni. Pomysł Toma o wyjściu z domu przykuł ich uwagę.

– Psów? – dziwi się Don.

– Tak. Tych, które teraz się błąkają bezpańskie, a kiedyś miały domy. Muszą ich być setki. Biegają swobodnie. Lub utknęły w domach i nie mogą wyjść. Wiadomo, że będziemy musieli wychodzić w poszukiwaniu żywności, to nieuniknione. Chcę, żebyśmy mieli wsparcie. Psy nas ostrzegą przed niebezpieczeństwem.

– Tom, ale przecież nie mamy pojęcia, jaki wpływ istoty wywierają na psy – zauważa Jules.

– Wiem. Ale nie możemy tylko tak siedzieć.

Napięcie w salonie gwałtownie wzrasta.

– Zwariowałaś – mówi Don. – Ty na serio myślisz, żeby tam pójść.

– Weźmiemy ze sobą broń – argumentuje Tom.

Don podnosi się na fotelu.

– Co masz na myśli, mówiąc „broń”?

– Od jakiegoś czasu pracuję nad hełmami, które zabezpieczyłyby nasze opaski. Do tego weźmiemy noże. Psy mogą nas prowadzić. Jeśli któryś zwariuje, spuścimy go ze smyczy. Gdy nas zaatakuje, zabijemy go nożem.

– Z zasłoniętymi oczami?

– Tak.

– Nie podoba mi się ten pomysł – mówi Don.

– Dlaczego?

– Na zewnątrz może grasować pełno świrów. Kryminalistów. Ulice nie są już takie jak kiedyś, Tom. To już nie są spokojne przedmieścia. Teraz żyjemy w chaosie.

– No cóż, ale coś musi się zmienić – upiera się Tom. – Musimy coś zrobić. Inaczej będziemy czekać na coś, co w tym świecie być może nigdy się nie wydarzy.

Don patrzy w dywan. Potem znów na Toma.

– To zbyt niebezpieczne. Nie widzę najmniejszego powodu, żeby to zrobić.

– A ja widzę ich milion.

– Jak mówiłem, poczekajmy.

– Poczekajmy na co?

– Na pomoc. Na cokolwiek.

Tom spogląda na koce w oknach.

– Nie będzie żadnej pomocy, Don.

– Ale to nie oznacza, że od razu mamy wybiegać na zewnątrz i sami czegoś szukać.

– Zagłosujemy więc – decyduje Tom.

Don patrzy na twarze pozostałych. Widać, że pragnie, by ktoś go poparł.

– Głosowanie... – mówi Don. – Ten pomysł też mi się nie podoba.

– Dlaczego? – pyta Felix.

– Ponieważ, Feliksie, nie mówimy teraz o tym, z którego wiadra będziemy pić, a do których będziemy sikać. Mówimy o tym, że jedno lub więcej z nas wyjdzie z domu bez żadnego ważnego powodu.

– Jak to bez żadnego powodu? – protestuje Tom. – Psy będą naszym systemem alarmowym. Dwa tygodnie temu Felix słyszał coś przy studni. Czy było to zwierzę? Czy istota? Dobrze wyszkolony pies zaszczekałby. Chcę przeszukać tylko nasze sąsiedztwo. Może pójść kawałek dalej... Dajcie nam dwanaście godzin. Tylko o tyle proszę.

Dwanaście godzin, myśli Malorie. Przyniesienie wody ze studni zajmuje zaledwie pół godziny.

Ale limit czasowy i tak ją uspokaja.

– Nie rozumiem, po co mamy szukać bezpańskich psów – nie poddaje się Don. Pokazuje w stronę Victora leżącego przy nogach Jules'a. – Mamy tu psa. Wytresujmy go.

– Nie ma mowy – odpowiada Jules, wstając.

– Dlaczego?

– Nie zabrałem go tutaj ze sobą, żeby był jakimś kozłem ofiarnym. Dopóki nie dowiem się, jak istoty wpływają na psy, nie zgadzam się.

– Kozioł ofiarny – stwierdza Don. – Świetny dobór słów.

– Nie i koniec – powtarza Jules.

Don odwraca się do Toma.

– Widzisz? Jedyne właściciel psa, jaki z nami mieszka, jest przeciwny temu pomysłowi.

– Nie powiedziałem, że jestem przeciwny pomysłowi Toma – zaznacza Jules.

Don rozgląda się po pokoju.

– Czyli wszyscy się na to zgadzają? Serio? Wszyscy myślicie, że to dobry plan?

Olympia patrzy na Malorie, oczy ma szeroko otwarte. Don, widząc w niej ewentualną sojuszniczkę, podchodzi do niej.

– A co ty o tym sądzisz, Olympio? – przypiera ją do muru.

– Ojej! No cóż... Ja... nie wiem!

– Don, zrobimy głosowanie. Będzie sprawiedliwie – odzywa się Tom.

– Jestem za – mówi Felix.

Malorie rozgląda się po pokoju.

– Ja też – przyłącza się Jules.

– I ja – dodaje Cheryl.

Tom odwraca się do Dona, a w tym momencie serce Malorie jakby zaczyna się zapadać w głąb.

Ten dom go potrzebuje, myśli.

– Pójdę z tobą – decyduje się nagle Jules. – Skoro nie chcę oddać wam psa, to przynajmniej pomogę z innymi.

Don potrząsa głową.

– Wiecie co? Kompletnie wam odbiło.

– No to zacznijmy robić dla ciebie hełm – mówi Tom, kładąc dłoń na ramieniu Jules'a.

Następnego ranka Tom i Jules kończą drugi hełm.

Wyruszają dziś. Dla Malorie wszystko dzieje się zbyt szybko. Dopiero co głosowali nad pomysłem Toma i już trzeba go realizować... Dlaczego?

Don nawet nie stara się ukryć swoich odczuć. Inni, podobnie jak Malorie, są pełni nadziei. Bardzo trudno nie ulec zaraźliwej energii Toma, Malorie dobrze to wie. Gdyby to Don miał wyjść na zewnątrz, nie wierzyłaby tak bardzo w powodzenie misji i pozyskanie psów. Lecz Tom ma w sobie pewien rodzaj siły sprawczej i gdy mówi, że chce coś zrobić, to wydaje się, jakby już to zrobił.

Malorie przygląda się wszystkiemu, siedząc na kanapie. Wszystkie poradniki o ciąży i niemowlętach zwracają uwagę na oddziaływanie stresu, który jakby przepływa między matką a dzieckiem. Malorie nie chce, żeby jej dziecko przejęło niepokój, który ona teraz czuje, patrząc, jak Tom szykuje się do wyprawy.

Pod ścianą stoją dwa worki marynarskie. Oba naładowane są jedzeniem w puszkach, latarkami i kocami. Z boku leżą kuchenne noże i nogi od krzeseł przerobione na ostre kołki. Za kije do podpierania się posłużą im szczotki.

– Może – zaczyna Olympia – zwierzęta nie wariują, bo mają zbyt małe mózgi.

Wyraz twarzy Dona pokazuje, że chciałby to jakoś skomentować, ale się powstrzymuje.

– Możliwe, że zwierzęta nie mają takiej zdolności, by zwariować – odpowiada Tom, poprawiając pasek przy hełmie. – Możliwe, że stworzenie musi mieć jakiś poziom inteligencji, by stracić zmysły.

– Cóż, wolałbym mieć co do tego całkowitą pewność przed wyjściem na zewnątrz – mówi Don.

– A może – ciągnie dalej Tom – istnieją różne stopnie szaleństwa. Ciągle zastanawiam się, jak istoty wpływają na osoby, które już są szalone.

– Może też kilku zbierzesz przy okazji? – Don irytuje się coraz bardziej. – Jesteś pewien, że chcesz ryzykować życie, bo masz nadzieję, że zwierzęta nie są tak inteligentne jak my?

Tom patrzy mu w oczy.

– Muszę ci powiedzieć, Don, że mam o wiele więcej szacunku do zwierząt, niż ci się wydaje. Ale teraz muszę skupić się na naszym przetrwaniu.

W końcu Jules zapina swój hełm. Kręci głową, żeby sprawdzić, czy pasuje. Tył nakrycia głowy odrywa się i wszystko spada na podłogę.

Don powoli kręci głową.

– Cholera – klnie pod nosem Tom, zbierając fragmenty hełmu. – Już to przerabiałem. Nie martw się, Jules.

Tom składa wszystko z powrotem w całość, a pasek wzmacnia drugim paskiem. Ponownie nakłada hełm na głowę Jules'a.

– No i gotowe! Wszystko działa.

Gdy słyszy te słowa, Malorie robi się niedobrze. Niby od rana wie, że Tom i Jules wychodzą na zewnątrz, ale ta chwila nadeszła za szybko.

Nie idź, ciśnie się jej na usta. Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję.

Ale dobrze wie, że powód, dla którego potrzebują Toma, tkwi w tym, że jest on właśnie człowiekiem zdolnym do takich czynów.

Przy ścianie Felix oraz Cheryl pomagają Tomowi i Jules'owi przytroczyć worki do pleców.

Tom dźga powietrze jednym z drewnianych kołków.

Malorie czuje kolejną falę mdłości. Nie ma bardziej wyrazistego sposobu, który przypomniałby jej o horrorze, jaki rozgrywa się na tym świecie, niż widok Toma i Jules'a przygotowujących się do spaceru po okolicy. Z zakrytymi oczami, uzbrojeni, wyglądają jak żołnierze wychodzący na patrol.

– Okej – mówi Tom. – Wypuście nas.

Felix podchodzi do drzwi wejściowych. Reszta tłoczy się za nim w korytarzu. Malorie patrzy, jak zamykają oczy, a potem robi to samo. Pograżona we własnych ciemnościach czuje, że jej serce bije mocniej.

– Powodzenia – mówi nagle, wiedząc, że gdyby tego nie zrobiła, bardzo by żałowała.

– Dziękuję – odpowiada Tom. – Pamiętaj, co mówiłem. Za dwanaście godzin jesteśmy z powrotem. Macie zamknięte oczy?

Wszyscy potwierdzają.

Otwierają się drzwi. Malorie słyszy, jak mężczyźni idą po ganku. A potem drzwi się zamykają.

Malorie ma poczucie, że coś niezwykle cennego zostało właśnie zamknięte na zewnątrz. *Dwanaście godzin.*

Osiemnaście

Gdy łódka powoli sama sunie po rzece, poruszana przez nurt, Malorie nabiera w dłonie wody i próbuje obmyć ramię.

Nie jest to łatwe, a do tego ból jest straszny.

– Mamusiu, czy wszystko w porządku? – pyta Chłopiec.

– Żadnych pytań – odpowiada. – Nasłuchuj.

Gdy Malorie zaatakował wilk i poczuła ten przeszywający ból, czerń pod jej opaską zamieniła się w czerwień. Teraz, gdy przemywa ranę, widzi fiolety i szarości i boi się, że bliska jest utraty przytomności. Zemdlenia. Pozostawienia dzieci samych sobie.

Zdejmuje kurtkę. Jej koszulka jest zakrwawiona. Do tego Malorie cała się trzęsie, choć sama nie wie, czy powodem jest zimno czy utrata krwi. Z prawej kieszeni kurtki wyciąga nóż do steków. Odcina rękaw kurtki i zawiązuje wokół ramienia.

Wilki.

Gdy dzieci skończyły trzy latka, lekcje Malorie stały się o wiele bardziej złożone. Maluchy musiały zapamiętywać od dziesięciu do dwudziestu dźwięków z rzędu, a potem je nazywać. Malorie chodziła po domu, ryzykowała nawet i wychodziła na zewnątrz, wchodziła na górę. Po drodze hałasowała. Gdy wracała, dzieci musiały opowiedzieć, co robiła. Wkrótce Dziewczynka rozpoznawała dwadzieścia dźwięków. Ale Chłopiec potrafił nazwać czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt, bo dodawał dźwięki, które Malorie wydawała nieumyślnie.

– Patrzyłaś na naszą sypialnię, Mamusiu. Westchnęłaś przed wyjściem. Potem poszłaś do kuchni i po drodze strzeliło ci w kostce. Usiadłaś na środkowym krześle przy kuchennym stole. Oparłaś łokcie o blat. Odchrząknęłaś i poszłaś do piwnicy. Z pierwszego schodka zeszłaś wolniej niż

z pozostałych sześciu. Stukałaś palcami w zęby.

Ale bez względu na to, jak dobrze je wyszkoliła, dzieci nie były przygotowane na rozpoznawanie bestii żyjących w lesie nad rzeką. Malorie wie, że wilki mają nad nimi przewagę. Podobnie jak wszystko inne, co napotkają na swej drodze.

Poprawia naprędcę zamarkowaną opaskę uciskową. Czuje w ramieniu pulsujący ból. Uda ją bolać. Szyja ją boli. Dziś rano czuła się silna i gotowa przepłynąć trzydzieści kilometrów. Teraz, zraniona, musi odpocząć. Targuje się sama ze sobą. Wie, że w starym świecie odpoczynek byłby wskazany, ale w tym oznaczać może rychłą śmierć.

Niespodziewany skrzek dobiegający z góry powoduje, że Malorie podskakuje. To chyba jakiś ptak drapieżny. Ale jakby miał z kilkadziesiąt metrów długości. Z przodu coś chlupie. Krótko, ale dźwięk budzi grozę. Coś porusza się w lesie po lewej stronie. Wokół rzeki toczy się życie, a każdy jego przejaw budzi w Malorie coraz większy strach.

Im więcej oznak życia wokół, tym bardziej zanika ono w Malorie.

– Jest okej – kłamie dzieciom. – Chcę tylko, żebyście nasłuchiwali. Nic więcej.

Zaczyna wiosłować i próbuje nie myśleć o bólu. Nie wie dokładnie, ile drogi jeszcze jej zostało. Ale wie, że dużo. Przynajmniej drugie tyle.

Lata temu wszyscy w domu zastanawiali się, czy zwierzęta mogą postradać zmysły. Tom i Jules wyszli na zewnątrz, żeby poszukać psów. Gdy Malorie i cała reszta czekali na ich powrót, zawładnęły nią okropne wizje wściekłych, oszalałych zwierząt. Dziś te wizje wróciły. Gdy na rzece słyhać odgłosy życia, Malorie wyobraża sobie najgorsze. Tak jak wtedy, jeszcze przed narodzinami dzieci, gdy wpatrywała się w drzwi wejściowe, bo na zewnątrz ktoś tak bardzo dla niej cenny musiał zmierzyć się z panującym szaleństwem.

Dziewiętnaście

Upłynął piąty miesiąc ciąży. Zakończył się okres nudności, ale jeszcze czasem pojawiają się mdłości. Do tego dochodzi zgaga. Ból nóg. Krwawienie dziąseł. Jej ciemne włosy zrobiły się dużo gęstsze, podobnie jak reszta owłosienia. Czuje się jak monstrum, zniekształcona, odmieniona. Ale gdy przechodzi przez dom z wiadrem odchodów, żadna z tych myśli nie zajmuje jej aż tak bardzo jak los i bezpieczeństwo Toma oraz Jules'a.

Dochodzi do wniosku, że to zdumiewające, jak dużo łączy ją ze współlokatorami. Przed przybyciem do domu Malorie słyszała tyle historii o ludziach, którzy krzywdzą się nawzajem, zanim ostatecznie skrzywdzą samych siebie. Wtedy te koszmary martwiły ją, bo bała się o siebie i o dziecko. A teraz bezpieczeństwo całej grupy pochłania ją całkowicie.

Mężczyźni opuścili dom pięć godzin temu. Z każdą minutą rośnie napięcie, więc nawet trudno Malorie powiedzieć, czy wszyscy wykonują swoje domowe obowiązki któryś już raz z rzędu czy po raz pierwszy.

Malorie szykuje wiadra przy tylnym wejściu. Za kilka minut Felix opróżni je na zewnątrz. Teraz jest przy stole w jadalni, naprawia krzesło. Malorie przechodzi przez kuchnię i wchodzi do salonu. Cheryl ściera kurze. Z ram obrazów. Z telefonu. Malorie zauważa, że ramiona Cheryl są blade i chude. Malorie jest tu od dwóch miesięcy i potrafi dostrzec, że stan ich ciał bardzo się pogorszył. Źle się odżywiają. Mają mało ruchu. I zero dostępu do słońca. Tom poszedł szukać dla nich lepszego życia. Ale o ile lepsze może jeszcze być życie w tym świecie?

I kto poinformuje ich, jeśli Tom i Jules znikną tam gdzieś na zawsze?

Podenerwowana Malorie pyta Cheryl, czy nie potrzebuje pomocy. Cheryl mówi, że nie, i wychodzi z salonu, zostawiając Malorie samą. Victor siedzi za fotelem i wpatruje się w koce wiszące na oknach. Głowę ma uniesioną. Ma

wywieszony język i ciężko dyszy. Malorie domyśla się, że czeka na swojego pana, tak jak ona czeka na powrót kolegów.

Gdy Victor orientuje się, że jest obserwowany, lekko odwraca się do Malorie. Ale za chwilę znów koncentruje się na kocach.

Do pokoju wchodzi Don. Siada w fotelu, potem wstaje i wychodzi. Olympia schodzi z góry. Szuka czegoś w kuchni pod zlewem. Malorie obserwuje ją. Widzi, że Olympia znajduje to, czego szukała, i teraz idzie z powrotem na górę. Wraca Cheryl, sprawdza, czy ramy są czyste. Już to robiła. Ale robi to jeszcze raz. Wszyscy wszystko robią jeszcze raz. Chodzą nerwowo po domu, próbują zająć czymś myśli. Prawie nikt ze sobą nie rozmawia. Nikt na siebie nie patrzy. Przynoszenie wody ze studni to jedyny moment, gdy współlokatorzy martwią się o siebie nawzajem. Ale to nic w porównaniu z misją Toma i Jules'a.

Malorie wstaje i idzie do kuchni. W domu jest tylko jedno miejsce, w którym czuje się trochę lepiej. I chce tam iść. Musi. Żeby na chwilę uciec.

Piwnica.

W kuchni siedzi Felix, ale nie zauważa, gdy Malorie przechodzi obok niego. Nie odzywa się słowem, gdy Malorie otwiera drzwi i schodzi na klepisko.

Pociąga za sznureczek i zapala się lampa, oświetlając pomieszczenie, tak jak wtedy, kiedy dwa miesiące temu była tu z Tomem. Lecz wszystko w środku wygląda inaczej. Puszek jest mniej. Mniej kolorów. I nie ma Toma, który robi notatki i liczy, ile czasu im zostało, zanim zaczną głodować i dopadnie ich desperacja.

Malorie podchodzi do regałów i bezwiednie czyta etykiety.

Kukurydza. Buraczki. Tuńczyk. Groszek. Grzyby. Mieszanka owoców. Fasolka szparagowa. Wiśnie. Borówki. Grejpfрут. Ananas. Smażona fasolka. Mieszanka warzyw. Papryka chili. Kasztany wodne. Pomidory w kawałkach. Pomidory śliwkowe. Sos pomidorowy. Pieczona fasolka. Marchewki. Szpinak. Różne rodzaje rosółów z kurczaka.

Pamięta, jak ciasno wcześniej tu było. Puszki wyglądały jak ściana. Teraz widać pełno dziur. Dużych dziur. Jakby rozegrała się jakaś bitwa i ściana z puszek została zaatakowana jako pierwsza. Czy wystarczy jedzenia do narodzin dziecka? Jeśli Tom i Jules nie wrócą, to czy uda jej się przeżyć aż do rozwiązania? Co dokładnie zrobią, jeśli skończy im się jedzenie? Pójdą na polowanie?

Dziecko może pić mleko matki. Ale matka musi jeść, żeby mieć mleko.

Malorie głaszcze się po brzuchu, podchodzi do stołka i siada.

Mimo chłodu panującego w piwnicy poci się. Słyszc głośne tupanie domowników na górze. Sufit trzeszczy.

Malorie odgarnia włosy z czoła, opiera się o regał. Liczy puszki. Jej powieki są ciężkie. Miło jest tak odpocząć.

I nagle... odpływa.

Gdy wraca do rzeczywistości, słyszy, jak Victor szczeka na górze.

Szybko wstaje.

Victor szczeka. Na co on tak szczeka?!

Przechodzi przez piwnicę, wchodzi po schodach i szybko idzie do salonu. Wszyscy już tu są.

– Spokój! – krzyczy Don.

Victor stoi przed oknem i szczeka.

– Co tu się dzieje? – Malorie żąda wyjaśnień, zaskoczona paniką w swoim głosie.

Don znów krzyczy na psa.

– Jest zaniepokojony, bo nie ma Jules'a – mówi Felix, cały w nerwach.

– Nie – wtrąca się Cheryl. – On coś słyszy.

– Tego nie wiemy, Cheryl.

Victor znów szczeka. Głośno. Ostro. Ze złością.

– Victor! Przestań! – rozkazuje Don.

Domownicy tłoczą się na środku salonu. Nie mają żadnej broni. Jeśli Cheryl ma rację i Victor wyczuł, że ktoś lub coś jest koło domu, co takiego oni mogą zrobić?

– Victor! – krzyczy znów Don. – Zatłukę cię za chwilę!

Ale Victor nie przestaje.

Don może sobie krzyczeć ile wlezie, ale boi się tak samo jak Malorie.

– Feliksie – mówi powoli Malorie, patrząc na frontowe okna. – Mówiłeś, że na zewnątrz jest ogród? Czy mamy jakieś narzędzia?

– Tak. – Felix też patrzy w czarne koce.

– Czy są w domu?

– Tak.

– To może je przynieść?

Felix odwraca się do niej i zastyga na moment. Potem opuszcza pokój.

Malorie w myślach robi przegląd domowych sprzętów. Każda noga od krzesła może być bronią. Każdy ciężki przedmiot – amunicją.

Victor ciągle szczeka. Wygląda to coraz gorzej. W krótkiej przerwie między szczeknięciami Malorie słyszy nerwowe kroki Felixa, szukającego narzędzi ogrodowych, które mogłyby ich ochronić przed tym, co czai się na zewnątrz.

Dwadzieścia

Jest już następny dzień, południe. Tom i Jules nadal nie wrócili.

Minęło już te dwanaście godzin, o których mówił Tom. Minęło nawet dwa razy więcej. Z każdą kolejną godziną atmosfera w domu tężeje.

Victor ciągle waruje przy zasłoniętym oknie.

Wszyscy siedzieli wczoraj do późna, blisko siebie, i czekali, aż pies przestanie szczekać.

– W końcu nas dopadną – powiedział Don. – Nie ma co się łudzić. To koniec, moi drodzy. A jeśli załatwią nas istoty, które potrafią zapanować nad naszymi umysłami, to znaczy, że na to zasługujemy. Od zawsze wiedziałem, że wykończy nas nasza głupota.

W końcu Victor przestał szczekać.

Teraz, w kuchni, Malorie zanurza ręce w wiadrze z wodą. Don i Cheryl poszli dziś rano do studni. Za każdym razem, gdy pukali, żeby Felix zabrał wiadro i dał im nowe, serce Malorie podskakiwało w nadziei, że to może Tom.

Oblewa twarz wodą i przeciąga palcami po swych skołtunionych, przeпоconych włosach.

– Niech to szlag – mówi.

Jest sama w pomieszczeniu. Patrzy na tkaniny zasłaniające okno. Do głowy przychodzi jej nieskończenie wiele okropności, jakie mogły się wydarzyć.

Jules zabił Toma. Zobaczył istotę i zaciągnął Toma za włosy do rzeki. Trzymał go pod wodą, aż tamten w końcu się utopił. Albo razem coś zobaczyli. W jakimś domu. I zabili się nawzajem. Ich skatowane ciała leżą w jakimś obcym domostwie. A może Tom coś zobaczył. Jules próbował go powstrzymać, lecz Tom uciekł. I teraz błąka się gdzieś po lesie. Je robaki. Je korę drzew. Zjada własny język.

– Malorie?

Aż podskakuje, gdy Olympia wchodzi do kuchni.

– Słucham?

– Bardzo się martwię, Malorie. Tom mówił o dwunastu godzinach.

– Wiem. Wszyscy się martwimy.

Malorie wyciąga rękę, żeby położyć ją na ramieniu Olympii, i nagle słyszy głos Dona:

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy ich wpuszczać do domu.

Malorie szybko idzie do jadalni.

– Daj spokój, Don. – Na miejscu jest już Felix. – Jak możesz w ogóle tak myśleć?

– A jak ci się wydaje, co tam na zewnątrz się dzieje, Felix? Myślisz, że mieszkamy w przyjemnym sąsiedztwie? Jeśli ktoś pozostał tam żywy, to raczej nie z powodu dobrych manier, stary. A jeśli Tom i Jules zostali porwani? Mogą być czyimiś zakładnikami... A ich porywacze mogą zażądać jedzenia. NASZEGO JEDZENIA.

– Pierdol się, Don – odpowiada Felix. – Jeśli wrócą, ja ich wpuszczę.

– Jeśli to nadal będą oni – upiera się przy swoim Don. – I jeśli upewnimy się, czy ktoś im nie przystawia do głowy broni, tam za drzwiami.

– Zamkniesz się w końcu?! – rzuca Cheryl, przechodząc obok Malorie i wchodząc do jadalni.

– Chyba nie mówisz serio, Don – odzywa się Malorie.

Don zwraca się do niej:

– A właśnie, że serio, do cholery.

– Naprawdę nie chcesz ich wpuścić? – pyta Olympia, stojąca obok Malorie.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że tam na zewnątrz mogą być źli ludzie. Rozumiesz mnie, Olympio? Czy to zbyt skomplikowane dla ciebie?

– Ale z ciebie pieprzony dupek – mówi Malorie.

Przez chwilę zdaje się, że Don chce na nią naskoczyć.

– Nie życzę sobie takich dyskusji – wtrąca się Cheryl.

– Minęły dwadzieścia cztery godziny... – podkreśla Don tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Może... idź i zajmij się czymś przez chwilę, dobrze? – mówi Felix. – Przez ciebie to wszystko staje się jeszcze trudniejsze do zniesienia.

– Musimy zacząć planować przyszłość bez nich.

– To tylko jeden dzień – zaznacza Felix.

– Tak, jeden dzień tam. – Don siada przy pianinie. Wygląda, jakby chciał

odpuścić, ale ciągnie swój wywód dalej: – Ale dobra wiadomość jest taka, że teraz jedzenia starczy nam na dłużej.

– Don! – syczy na niego Malorie.

– Masz dziecko w drodze, Malorie. Nie chcesz przetrwać?

– Za moment cię zatłukę – wścieka się Cheryl.

Don wstaje od pianina. Twarz poczerwieniała mu ze złości.

– Tom i Jules nie wrócą, Cheryl. Zaakceptuj ten fakt. I kiedy przeżyjesz dodatkowy tydzień, bo zjesz ich przydział, a potem zjesz Victora, może pojmiesz, że coś takiego jak nadzieja już nie istnieje.

Cheryl podchodzi do niego. Ręce ma zaciśnięte w pięść. Jej twarz znajduje się w odległości kilku centymetrów od twarzy Dona.

Victor zaczyna szczekać w salonie.

Felix staje między Cheryl a Donem. Don odsuwa go. Gdy Malorie robi krok w ich stronę, Felix podnosi rękę.

Ma zamiar uderzyć Dona.

Ale cofa swą pięść.

Rozlega się pukanie do drzwi.

Dwadzieścia jeden

Malorie myśli akurat o Donie.

– Mamusiu – odzywa się Chłopiec. – Opaska na oczy mnie uwiera.

– Nabierz ostrożnie trochę wody z rzeki i wetrzyj tam, gdzie cię boli. Ale nie zdejmuj opaski.

Pewnego razu, gdy domownicy skończyli obiad, Malorie usiadła obok Olympii przy stole. Były same. Rozmawiały o mężu Olympii. O tym, jaki był. Bardzo chciał mieć dziecko. Do pokoju wszedł Don. Nie obchodziło go to, co mówi Olympia.

– Będziecie musiały oślepić wasze dzieci – powiedział. – I to gdy tylko się urodzą.

Wyglądało, jakby rozmyślał o tym od dłuższego czasu i nagle postanowił się z nimi podzielić swoimi wnioskami.

Przysiadł się do nich i zaczął tłumaczyć. A z każdym jego słowem Olympia stawała się coraz bardziej wycofana. Uważała, że pomysł Dona jest szalony, a nawet gorzej: że jest okrutny.

Ale Malorie nie myślała tak samo jak jej koleżanka. Gdzieś w głębi rozumiała, co Don ma na myśli. Każda chwila zbliżającego się macierzyństwa będzie dotyczyła ochrony oczu dziecka. Co mogło być ważniejsze od tego zmartwienia? Powaga Dona, gdy o tym rozprawiał, zdaniem Malorie niosła coś więcej niż okrucieństwo. Otwierała worek z przerażającymi możliwościami, rzeczami, które być może trzeba będzie zrobić, oraz czynami, do których nikt ze starej rzeczywistości nie jest całkowicie przygotowany. Straszliwa sugestia Dona miała już nigdy nie opuścić udręczonej Malorie.

– Jest lepiej, Mamusiu – mówi teraz Chłopiec.

– Ciii. Nasłuchuj.

Dzieci miały sześć miesięcy i już spały w swoich kołyskach z drucianej

siatki. Była noc. Świat na zewnątrz był cichy i spokojny. W domu panowały ciemności.

Na początku, gdy maluchy spały, Malorie często wsłuchiwała się w ich oddech. To, co dla większości matek jest wzruszającym spostrzeżeniem, dla niej było dogłębną analizą. Czy są zdrowe? Czy wraz z mlekiem matki i wodą ze studni dostają odpowiednią ilość substancji odżywczych, zważywszy na to, że matka przez rok nie zjadła porządnego posiłku? Ich zdrowie zawsze było dla niej bardzo ważne. Ich dieta. Higiena. I oczywiście ich oczy.

„Będziecie musiały oślepić wasze dzieci. I to gdy tylko się urodzą”.

Siedząc w kuchni, w ciemnościach, Malorie doskonale wiedziała, że nie chodzi o żaden dylemat moralny, ale bardziej o to, czy w ogóle, fizycznie, będzie w stanie to zrobić. Patrząc w stronę korytarza, wsłuchując się w ich delikatne oddechy, była przekonana, że pomysł Dona wcale nie był taki zły.

Za każdym razem, gdy się budzą, trzeba uważać, żeby nie wyjrzały na zewnątrz. Trzeba sprawdzać koce. Trzeba sprawdzać kołyski. Nie będą tego pamiętać, gdy podrosną. Nie będą pamiętać o wzroku.

Dzieci, myślała, nie zostaną niczego pozbawione w nowym świecie, jeśli nigdy go nie zobaczą.

Wstała od stołu i zeszła do piwnicy. Na podłodze stał rozpuszczalnik do farb. Dawno temu przeczytała na etykiecie, że substancja ta jest bardzo szkodliwa dla oczu. Może nawet oślepić, jeśli nie zmyje się jej w ciągu trzydziestu sekund, przynajmniej tak było napisane.

Malorie podeszła do pojemnika z rozpuszczalnikiem. Złapała za uchwyt i wniosła preparat na parter.

Zrób to szybko. I nie zmywaj.

Przecież to niemowlęta. Jak mogą potem o tym pamiętać? Czy będą się jej bały do końca życia, czy może to wspomnienie rozmyje się wśród innych?

Malorie przeszła przez kuchnię i weszła do ciemnego korytarza prowadzącego do pokoju dziecięcego.

Przez cały czas słyszała ich oddechy.

Pod drzwiami zatrzymała się i spojrzała w ciemność, w której spały.

Wtedy wierzyła, że jest w stanie to zrobić.

Po cichu weszła do ich sypialni. Postawiła puszkę na podłodze i zdjęła tkaniny chroniące ich zabezpieczone kołyski. Dzieci nawet się nie poruszyły. Ich oddechy były nadal równe, jakby śniło im się coś przyjemnego, tak odmiennego od czekających je koszmarów.

Malorie szybko otworzyła drucianą siatkę pokrywającą kołyskę Dziewczynki. Schyliła się i podniosła puszkę.

Dziewczynka spokojnie oddychała.

Malorie wyciągnęła rękę w stronę kołyski i podniosła głowę dziecka. Zdjęła mu opaskę z oczu. Dziewczynka zaczęła płakać.

Ma otwarte oczy. Wlej ten rozpuszczalnik, pomyślała.

Przysunęła główkę maleństwa do krawędzi kołyski i przystawiła otwartą puszkę na jakieś kilka centymetrów do buzi czerwonej od płaczu.

Chłopiec też się obudził i zaczął płakać.

– Przestańcie! – powiedziała Malorie, próbując powstrzymać własne łzy. – Nie chcecie widzieć tego świata!

Nieco cofnęła dłoń z rozpuszczalnikiem. Trochę płynu skapnęło jej na rękę, zanim wylało się na podłogę.

Gdy poczuła substancję na skórze, dotarło do niej, co chce zrobić.

Nie była w stanie.

Położyła główkę Dziewczynki z powrotem na poduszce. Mała ciągle płakała.

Odstawiła puszkę na podłogę i powoli wyszła z sypialni. Dzieci zawodziły w ciemnościach.

W korytarzu Malorie musiała oprzeć się o ścianę. Zasłoniła dłonią usta. A potem wymiotowała.

– Mamusiu – mówi nagle Chłopiec, siedząc w łódce. – Pomogło!

– Co pomogło? – pyta Malorie, wyrwana ze swoich wspomnień.

– Opaska już mnie nie uwiera.

– Chłopczyku, żadnego gadania. Chyba że coś usłyszysz.

Malorie oddycha głęboko i czuje coś w rodzaju wstydu. Ramię boli ją coraz bardziej. Od zmęczenia kręci jej się w głowie. Czuje się coraz bardziej dezorientowana. Ma wrażenie, że dzieje się z nią coś bardzo złego. Ale na szczęście wciąż słyszy dzieci: oddech Chłopca przed sobą, a za plecami odgłos puzzli układanych przez Dziewczynkę. Nie zostali oślepieni. A dzisiejszy dzień może zakończyć się dotarciem do zupełnie nowego świata, w którym dzieci zobaczą rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widziały.

I ona je tam zabierze.

Dwadzieścia dwa

Malorie słyszy, że za drzwiami coś się porusza. Słyszy też dyszenie. Coś drapie w drewno. Wszyscy domownicy są w korytarzu. W tym momencie Felix, krzyżąc, zapytał kto to. Gdzieś pomiędzy jego pytaniem a odpowiedzią drapanie brzmi, jakby mogło je spowodować cokolwiek lub ktokolwiek.

Istoty, myśli Malorie.

Ale pod drzwiami nie stoją istoty, tylko Tom i Jules.

– Feliksie, to ja, Tom!

– Tom!

– Wciąż mamy na głowach hełmy. Ale nie jesteśmy sami. Znaleźliśmy psy.

Felix poci się nerwowo i głośno oddycha. Malorie odczuwa tak wielką ulgę, że aż ją to boli.

Victor szczeka. Macha ogonem. Jules woła do niego:

– Victor, stary druhu! Wróciłem!

– Dobra – zwraca się do zgromadzonych Felix. – Zamknijcie oczy.

– Czekał – przerywa mu Don.

– Na co? – pyta Felix.

– Skąd możemy mieć pewność, że są sami? A może byli przez kogoś śledzeni? Bóg raczy wiedzieć, kto mógł za nimi podążać.

Felix myśli przez chwilę. Potem pyta Toma:

– Tom! Na pewno jesteście sami? Tylko wy dwaj i psy?

– Tak.

– Nie wiadomo, czy to prawda – mówi Don.

– Don! – niecierpliwi się Malorie. – Gdyby ktoś chciał włamać się do domu, zrobiłby to już dawno.

– Tylko dbam o bezpieczeństwo, Malorie.

– Wiem.

– Ja też tu mieszkam.

– Wiem. Ale Tom i Jules czekają na zewnątrz pod drzwiami. Udało im się wrócić. Musimy ich wpuścić.

Don patrzy jej w oczy. Potem spuszcza wzrok na podłogę.

– Przez was kiedyś wszyscy zginie – kwituje.

– Don... – zwraca się do niego Malorie, bo widzi, że lekko złagodniał. – Otwieramy drzwi.

– Tak. Wiem. Nikt mnie, kurwa, nie słucha.

Don zamyka oczy.

Malorie też.

– Jesteście gotowi, Tom? – pyta Felix.

– Tak.

Malorie słyszy, jak drzwi wejściowe się otwierają. A potem odgłos psich łap na podłodze, który brzmi, jakby do domu weszło kilka osób.

Drzwi zamykają się bardzo szybko.

– Podajcie mi szczotki – prosi Felix.

Malorie słyszy teraz, jak włosie szczotek trze o ściany, podłogę i sufit.

– W porządku – mówi Felix. – Jesteśmy gotowi.

Chwila między gorącym pragnieniem otwarcia oczu a fizycznym zrobieniem tego jest najbardziej przerażającym momentem w tej nowej rzeczywistości.

Malorie otwiera oczy.

Korytarz tętni kolorami. Dwa husky poruszają się bardzo szybko, obwąchują podłogę i nowych ludzi, obwąchują też Victora.

Radość Malorie z powodu powrotu Toma nie ma granic. Choć Tom nie wygląda dobrze. Jest brudny. I pewnie przeżył rzeczy, które Malorie może sobie co najwyżej wyobrazić.

Tom trzyma coś w dłoni. Coś białego. Pudełko. Wielkości małego telewizora. Dobiegają z niego jakieś dźwięki. Świergot?

Olympia rzuca się na Toma i przytula go, on śmieje się i próbuje zdjąć hełm. Jules już pozbył się swojego, klęka i obejmuje Victora. Cheryl płacze.

Twarz Dona wyraża zdziwienie zmieszane z poczuciem wstydu.

Omam nie skoczyliśmy sobie do gardeł, myśli Malorie. Nie było Toma tylko jeden dzień, a my prawie się pozabijaliśmy.

– O mój Boże – mówi Felix i otwiera szeroko oczy ze zdumienia, patrząc na zwierzęta. – Udało się!

Spojrzenia Toma i Malorie spotykają się. Nie ma już tego błysku w oku, który miał wcześniej.

Przez co przeszli?

– To są husky – informuje wszystkich Jules, pokazując na psy. – Bardzo przyjacielskie. Ale potrzebują trochę czasu, żeby się przyzwycząić do nowej sytuacji.

Nagle Jules wydaje z siebie jęk ulgi.

Jak żołnierze wracający z wojny, stwierdza Malorie w myślach. A przeszli się tylko po okolicy.

– Co jest w pudełku? – pyta Cheryl.

Tom podnosi pudełko wyżej. Wzrok ma pusty. Zdystansowany.

– W pudełku, Cheryl... – jedną ręką je trzyma, a drugą zdejmując pokrywę – są ptaki.

Wszyscy gromadzą się wokół.

– Co to za ptaki? – pyta Olympia.

Tom wolno kręci głową.

– Nie mamy pojęcia. Znaleźliśmy je w garażu jakiegoś myśliwego. Nie wiemy, jak udało im się przetrwać. Przypuszczamy, że ich właściciel zostawił im dużo pokarmu. Jak słyszycie, są bardzo głośne, ale tylko wówczas, gdy ktoś się do nich zbliża. Sprawdziliśmy to. Gdy tylko podchodzimy do pudełka, zaczynają głośniejszebiotać.

– Czy to jest nasz obiad? – pyta Felix.

Na twarzy Toma pojawia się zmęczony uśmiech.

– To nasz system alarmowy.

– System alarmowy? – dziwi się Felix.

– Powiesimy pudełko na zewnątrz – tłumaczy Jules. – Przy drzwiach wejściowych. Będziemy je wtedy dobrze słyszeć.

To tylko pudełko z ptakami, myśli Malorie.

A jednak mają poczucie, że to duży postęp.

Tom dokładnie zamyka pokrywę.

– Musicie nam opowiedzieć ze szczegółami, co się działo podczas waszej wyprawy – mówi Cheryl.

– I zrobimy to – odpowiada Tom. – Ale chodźmy do jadalni. Marzymy z Jules'em, żeby choć na chwilę usiąść.

Domownicy się uśmiechają.

Wszyscy poza Donem.

Donem, który już ich pogrzebał. Donem, który już podzielił ich racje żywnościowe, jakby należały do niego...

Tom stawia pudełko pod ścianą na podłodze w korytarzu. Wszyscy zbierają się w jadalni. Felix przynosi wodę dla Toma i Jules'a. Gdy już siedzą, z pełnymi szklankami przed sobą, zaczynają opowiadać, czego doświadczyli podczas wyprawy.

Dwadzieścia trzy

Gdy drzwi zamknęły się za jego plecami, Tom zaczyna odczuwać większy strach, niż mógł przypuszczać.

Tu, na zewnątrz, istoty są bardzo blisko.

Czy gdy wyjdziemy na ulice, zastanawia się Tom, nieco dalej od domu, to nas zaatakują?

Wyobraża sobie zimne ręce, które zaczynają go oplatać. Jak podcinają mu gardło. Łamią kark. Dezintegrują umysł.

Ale Tom wie, że nie było żadnych doniesień o tym, by istoty atakowały ludzi bezpośrednio.

I tego się trzeba trzymać, postanawia, stojąc wciąż na ganku. Wtłacza sobie do głowy tę koncepcję, sięga do genezy jej powstania. Dzięki temu zaczyna głęboko i wolno oddychać. Gdy się uspokaja, wyłaniają się inne uczucia.

Jednym z nich jest wszechogarniające, może nieco lekkomyślne poczucie wolności. Odkąd przybył do domu, Tom wychodził już na zewnątrz. Przynosił wodę ze studni, tak samo często jak pozostali. Wynosił nieczystości do rowu. Ale tym razem jest inaczej. Powietrze jest inne. Zanim zdecydują się z Jules'em na ruszenie z ganku, owiewa ich delikatny wiaterek. Czuje go na szyi. Na łokciach. Na ustach. To jedno z najdziwniejszych uczuć, jakich doświadczył. Uspokaja go. I choć wyobraźnia podsuwa mu obrazy istot czyhających za każdym drzewem czy słupem, świeże, rześkie powietrze przyprawia go o zawrót głowy.

Ale tylko na chwilę.

– Jesteś gotowy, Jules? – pyta.

– Tak.

Jak prawdziwi ślepcy, stukają kijami od szczotek o drogę przed sobą. Schodzą z ganku. Tom czuje pod stopami, że nie idą już po betonie. Stąpając

po trawie, Tom ma wrażenie, że dom za jego plecami gdzieś zniknął. A on brnie po szerokich wodach. Bezbronny. Przez chwilę waha się, brak mu pewności, że jest gotów to zrobić.

I wtedy myśli o córce.

Robin. Muszę znaleźć psy.

I to działa. Pomaga mu.

Kij dotyka czegoś, chyba krawężnika, i Tom wchodzi na ulicę. Zatrzymuje się i klęka. Próbuje wymacać ręką róg trawnika. Znajduje go. Wyjmuje z worka zaostrzony palik i wbija w ziemię.

– Jules, oznaczyłem trawnik przed naszym domem. Może nam się przydać, gdy będziemy wracać.

Wstaje i odwraca się. Z impetem wpada na bagażnik samochodu.

– Tom? – odzywa się Jules. – Wszystko okej?

Tom łapie równowagę.

– Tak. Chyba wpadłem na dziupa Cheryl. Wyczułem drewniane panele.

Dźwięk kroków Jules'a i stukot jego kija wskazują Tomowi kierunek marszu.

W innych okolicznościach jedyną ochroną przed słońcem byłyby jego własne powieki, a nie opaska i hełm. Świat wokół mieniłby się różnymi odcieniami pomarańcza. Przez przymknięte oczy widziałyby zmiany w kolorach chmur i przesuwane się ich cienie na koronach drzew i dachach budynków. Tymczasem dziś jedyną barwą, jaką widzi, jest czerń. I z jakiegoś powodu czerń kojarzy mu się z Robin, jego córką. Małą, niewinną, cudowną. Zachęca go do marszu – „Idź, tatusiu” – jak najdalej od domu, w stronę rzeczy, które mogą im pomóc. Ludziom, których opuścili.

– Kurwa! – klnie Jules i Tom słyszy, jak upada na ulicę.

– Jules?!

Tom zamiera.

– Jules, co się stało?

– Potknąłem się o coś. Czujesz to? Wydaje mi się, że to walizka.

Za pomocą swojej szczotki Tom rysuje przed sobą szeroki łuk. Włosie natyka się na jakiś obiekt. Tom czołga się do niego. Kładzie szczotkę obok siebie na chodniku i zaczyna sprawdzać rękami, co leży na środku ulicy. Już po chwili wie, co to takiego.

– To zwłoki, Jules.

Tom słyszy, jak jego towarzysz wstaje.

– Ciało kobiety. Tak mi się wydaje – stwierdza Tom, a potem szybko zabiera

dłoń z martwej twarzy.

Wstaje i ruszają dalej.

Wszystko dzieje się jakby za szybko. Sprawy od samego początku nabierają tempa. W starym świecie przyswojenie faktu, że znalazło się zwłoki, zajęłoby godziny.

A oni po prostu idą dalej.

Przecinają trawnik i docierają do krzewów. Za krzewami jest dom.

– Tutaj – mówi Jules. – Tu jest okno. Właśnie dotykam szyby.

Podążając za głosem, Tom dołącza do niego. Przesuwają dłońmi po ceglanej ścianie budynku, aż znajdują frontowe drzwi. Jules puka. Pyta, czy ktoś jest w środku. Znow puka. Czeka. Tom zaczyna mówić. Boi się, że w tym bezdźwięcznym świecie jego głos może przykuć czyjąś uwagę. Ale nie ma wyboru. Tłumaczy więc ewentualnym mieszkańcom domu, że nikt nie chce im zrobić krzywdy, że oni tylko szukają jedzenia lub jakiegokolwiek pomocy. Jules znow puka. I znow czekają. W środku nie słyhać żadnego ruchu.

– Wchodzimy – mówi Jules.

– Dobrze.

Wracają do okna. Z worka Tom wyciąga mały ręcznik. Okręca nim pięść, a potem uderza w szybę. W oknie nie ma żadnego koca. Ani kartonu. Ani desek. Czyli osoby, które tu mieszkały, nie zastosowały żadnej ochrony.

Może opuścili ten dom, zanim sytuacja się pogorszyła. Może są teraz gdzieś indziej, bezpieczni.

– Czy jest tu kto?

Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, Jules oczyszcza okna ze szkła. Potem pomaga Tomowi wejść do środka. Już w domu Tom w coś kopie. Rozlega się głuchy łomot. Jules również wspina się przez okno.

Nagle Tom słyszy muzykę, pianino. W pokoju, w którym właśnie się znajdują.

Podnosi szczotkę w geście obrony, ale odzywa się Jules:

– To ja! Tom, przepraszam, moja szczotka uderzyła w pianino.

Tak bardzo chciałby otworzyć już oczy. Ale dom nie jest zabezpieczony.

– Skoro tu jesteśmy, weźmy, co się da – stwierdza Tom.

Ale na parterze nie znajdują nic przydatnego. Przeszukują szafki w kuchni. Tom sprawdza ręką każdą półkę. Natyka się na baterie. Oraz małe świece. Długopisy. Chowając rzeczy do worka, informuje o tym Jules'a.

– Ruszajmy dalej – zarządza Tom.

– Nie idziemy na górę?

– Nie podoba mi się tu. Jeśli byłoby tu nawet jakieś jedzenie, to raczej znaleźlibyśmy je w kuchni.

Z pomocą szczotek znajdują drogę do wyjścia, otwierają drzwi i znów wychodzą na zewnątrz. Ale tym razem nie idą do ulicy. Zamiast tego podążają na skos przez trawnik do sąsiedniego budynku, o jeden dalej od ich domu.

Na ganku wykonują ten sam rytuał co poprzednio. Przedstawiają się. Czekają. Gdy nie słyszą żadnego ruchu, wybijają okno. Tym razem robi to Jules.

Jego pięść natrafia na jakiś rodzaj słabej ochrony. Wydaje mu się, że to tektura.

– W tym domu może ktoś być – szepce.

Czekają więc dalej na reakcję po hałasie, jakiego narobili. Nic jednak się nie dzieje. Tom nawołuje. Mówi to samo co w poprzednim domu. Że szukają zwierząt i w zamian mogą zaoferować schronienie. Znów żadnej odpowiedzi. Jules sprząta szkło i pomaga Tomowi wejść przez okno.

Gdy są w środku, naprawiają tekturę. Za pomocą szczotek sprawdzają pomieszczenia. Trwa to wieki. Złączeni plecami, kreślą szczotkami wielkie łuki. Przewodnikiem jest Tom i to on mówi Jules'owi, w którą stronę mają się ruszyć. Gdy kończą, mają pewność, że dom jest pusty, okna zasłonięte, a drzwi zamknięte. Tom uważa, że są bezpieczni.

Obaj mężczyźni wiedzą, co należy zrobić dalej.

Muszą zdjąć swoje hełmy i opaski, a potem... otworzyć oczy. Przez ostatnie miesiące żaden z nich nie widział nic poza wnętrzem ich domu.

Jules robi to pierwszy. Tom słyszy, jak towarzysz odpina hełm. Potem robi to samo. Przesuwa opaskę pod linię włosów, odwraca się do Jules'a z zamkniętymi oczami.

– Gotowy?

– Gotowy.

Obaj otwierają oczy.

Kiedyś, gdy Tom był dzieckiem, wraz z kolegą zakradli się do domu sąsiada tylnymi drzwiami, które nie były zamknięte na klucz. Nie mieli żadnego planu ani nawet żadnego zamiaru. Chcieli po prostu sprawdzić, czy potrafią to zrobić. Ale wrażenia były silniejsze, niż się spodziewali, ponieważ musieli się ukrywać w spiżarni przez cały czas, gdy sąsiedzi jedli kolację. Gdy w końcu wyszli na zewnątrz, kolega zapytał go, co czuł.

– Jakbym był zbrukany – odpowiedział wtedy Tom.

Teraz ma otwarte oczy i znajduje się w obcym domu. Czuje się podobnie. To przecież nie jest ich dom. Ale są tu. Te rzeczy nie należą do nich. Ale mogłyby należeć. Mieszkała tu jakaś rodzina. Mieli dziecko. Tom widzi kilka zabawek. Zdjęcie zdradza, że był to chłopiec. Jego jasne włosy i dziecięcy uśmiech przypominają mu o Robin. W pewnym sensie wszystko, co Tom spotyka na swej drodze od śmierci córki, przypomina mu o niej. A będąc tu, w czyjejs przestrzemi, myśli o tym, jak mogło wyglądać ich życie. Chłopiec opowiada mamie i tacie o tym, co usłyszał w szkole. Tata czyta o pierwszych incydentach w gazecie. Mama woła syna, żeby wrócił do domu. Cała rodzina siedzi na kanapie, oglądają wiadomości, boją się. Tata, ponad kolanami syna, łapie mamę za rękę.

Robin.

Nie ma tu żadnych śladów zwierzęcia. Żadnych pogryzionych zabawek. Żadnego kociego legowiska. Nie pachnie psem. Ale czuć nieobecność ludzi, o których rozmyśla Tom.

– Tom – odzywa się Jules. – Ty sprawdź górę, a ja dokończę dół.

– Okej.

Stojąc przed schodami, Tom patrzy w górę. Wyjmuje opaskę z kieszeni i zawiązuje ją wokół oczu. Choć sprawdzili dom, Tom nie może się zmusić, by wejść po schodach z otwartymi oczami.

Bo czy na pewno wszystko dobrze sprawdzili?

Wchodzi, pomagając sobie szczotką. Ramieniem szoruje po zdjęciach wiszących na ścianie. Myśli o fotografii George'a w ich domu. Czubkiem buta zahacza o stopień i potyka się. Pod dłonią czuje dywan. Prostuje się. Więcej stopni. Jest ich tyle, jakoś niebywale dużo, aż wydaje mu się, że doszedł już na sam dach.

W końcu szczotka informuje go, że dotarł na górę. Ale nie jest wystarczająco skupiony i znów się potyka. Tym razem wpada na ścianę. Na piętrze panuje cisza. Klęka i kładzie szczotkę obok siebie. Zdejmuje worek, rozpina go i szuka latarki. Znajduje ją. Wstaje i znów pomaga sobie szczotką. Gdy odwraca się w prawo, jego pięść uderza w coś zimnego i twardego. Zatrzymuje się i dotyka tego.

To szkło, myśli. Wazon.

Wokół brzydko pachnie. Nigdy wcześniej nie czuł takiego zapachu. Jego ręka znajduje suche, pomarszczone liście. Wyczuwa też lodygi i domyśla się,

że to kwiaty. Chyba róże. Leżą tu od dawna. Odwraca się znowu w lewo. Zapach zgniłych kwiatów zaczyna niknąć, a do jego nozdrzy z wolna dochodzi jeszcze gorsza woń.

Zatrzymuje się w korytarzu. Jak mogli z Jules'em przeoczyć ten smród?

– Jest tu kto?

Brak odpowiedzi. Tom zasłania nos i usta wolną ręką. Smród narasta. Rozchodzi się po korytarzu. Prowadzi do drzwi po prawej stronie. Tom wchodzi do pokoju. To łazienka. Włosie szczotki trze o kafelki. To wilgotny, zatęchły zapach z nieużywanej kanalizacji. Zagląda za zasłonę prysznicową i sprawdza wannę. Potem znajduje szafkę. Są w niej fiołki z lekami. Tom chowa je do kieszeni. Klęka i przeszukuje szafkę pod umywalką. Słyszy za sobą jakiś dźwięk i odwraca się.

Stoi przodem do wanny.

Przecież przed chwilą sprawdzałeś. I nic tam nie było.

Jedną ręką opiera się o blat, a drugą powoli sięga po szczotkę. Po omacku wyciąga ją przed siebie.

– Czy ktoś tu jest?

Kroczek po kroczku podchodzi do wanny.

Macha szczotką raz, potem drugi.

Skręca go w żołądku. Jest gorąco. Śmierdzi.

Robi energiczny wypad do przodu i szeroki zamach szczotką ponad wanną. Sprawdza sufit. Potem, cofając się, specjalnie upuszcza szczotkę na podłogę. Słyszy ten sam dźwięk, co przed chwilą, gdy sprawdzał szafki.

To plastikowa butelka. Jest pusta.

Tom wzdycha.

Wychodzi z łazienki i idzie w głąb korytarza. Po chwili odnajduje kolejne drzwi. Ten pokój jest zamknięty. Słyszy Jules'a na dole. Tom bierze głęboki wdech i otwiera drzwi. W środku jest zimno. Za pomocą szczotki wyczuwa coś przed sobą. Zaczyna to obmacywać i rozpoznaje materac. Małe łóżko. Nie musi otwierać oczu, żeby domyślić się, że to pokój chłopca. Zamyka za sobą drzwi, w sprawdzony sposób przeszukuje dokładnie pomieszczenie, a następnie zapala światło.

Zdejmuje opaskę i otwiera oczy.

Na ścianach wiszą proporczyki. Z lokalnych klubów sportowych. Jeden z zoo. Na narzucie łóżka widnieje samochód Formuły 1. Jest duszno. Widać, że dawno tu nikogo nie było. Ponieważ jest prąd, Tom chowa latarkę do worka.

Jeden rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że nie ma tu nic przydatnego. Przypomina mu się sypialnia Robin.

Zamyka oczy i wychodzi.

Z każdym krokiem smród staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Tom musi przez cały czas zasłaniać usta. Na końcu korytarza jest ściana. Tom odwraca się, a szczotka dotyka drzwi za jego plecami.

Tom zamiera, bo drzwi wolno się otwierają.

Czy sprawdziłeś z Jules'em ten pokój? SPRAWDZIŁEŚ?!

– Halo?

Żadnej reakcji. Tom wchodzi powoli. Zapala światło i sprawdza ścianę z oknami. Oba są solidnie zasłonięte drewnianymi deskami. Pokój jest duży.

To główna sypialnia.

Przechodzi przez pokój. Smród jest straszny, odczuwalny niemal fizycznie, namacalny. Szczotka prowadzi go do czegoś, co wydaje się garderobą. Ubrania. Płaszcz. Zastanawia się, co mogliby ze sobą zabrać. Niedługo przecież nadejdzie zima.

Odwraca się i znajduje kolejne, mniejsze drzwi. Druga łazienka. Znowu sprawdza szafkę i szuflady. Fiolki z lekami. Pasta do zębów. Szczoteczki. Szuka okna. Znajduje je. Zabite deskami. Pomaga sobie szczotką, żeby wyjść z łazienki. Zamyka za sobą drzwi.

Przekonany o tym, że dokładnie sprawdził okna, Tom sądzi, że jest bezpieczny. Stoi obok garderoby i otwiera oczy.

Na łóżku siedzi dziecko. I patrzy na niego.

Tom szybko zamyka oczy.

Czy to tak wyglądają istoty?

Nie byłeś bezpieczny! NIE BYŁEŚ BEZPIECZNY!

Serce wali mu jak młotem. Co właśnie zobaczył? To była twarz. Stara twarz? Nie, młoda. Młoda? Ale w stanie rozkładu. Chce zawołać Jules'a. Ale im dłużej ma zamknięte oczy, tym wyraźniej widzi to, co zobaczył przed chwilą.

To był chłopiec. Ten ze zdjęć na dole.

Tom znowu otwiera oczy.

Chłopiec ma na sobie garnitur. Opiera się o ciemny zagłówek, ale jego twarz jest nienaturalnie zwrócona w stronę Toma. Ma otwarte oczy. Usta mu opadają. Ręce ma złożone na kolanach.

Umarłeś tu z głodu, myśli Tom. W sypialni rodziców.

Podchodzi do chłopca, ciągle zasłaniając usta i nos. Porównuje jego twarz

z twarzą na fotografii. Ciało uległo mumifikacji. Zasuszyło się.

Jak dawno temu zmarłeś? Jak blisko byłem tego, żeby cię uratować?

Tom patrzy w martwe oczy dziecka.

Robin, przepraszam, myśli.

– Tom! – krzyczy z dołu Jules.

Tom odwraca się.

Przechodzi przez pokój i wychodzi na korytarz.

– Jules! Wszystko w porządku?

– Tak! Tak! Chodź tu szybko! Znalazłem psa.

Tom jest rozdarty. Ojcowski instynkt nie pozwala mu zostawić chłopca. Robin spoczywa w grobie nieopodal domu, który opuścił dawno temu.

– Gdybym wiedział, że tu jesteś... – mówi Tom, patrząc w stronę sypialni. – Przyszedłbym tu wcześniej.

Odwraca się i idzie w stronę schodów.

Jules znalazł psa.

Na dole dołącza do kolegi. Zanim Tomowi udaje się opowiedzieć o chłopcu, Jules przemierza kuchnię i mówi o swoim znalezisku. Przy schodach do piwnicy zatrzymuje się i każe Tomowi spojrzeć. Z bliska.

Przy stopniach schodów, na plecach, leżą rodzice. Wyszykowani, jakby wybierali się do kościoła. Na ramionach ich ubrania są porwane. Na piersi matki jest kartka z zeszytu. Ktoś na niej napisał: „SpOcZyWaJcIe w PoKoJu”.

– Właśnie znalazłem chłopca, który to napisał – mówi Tom. – To on ich tu pochował.

– Musieli zagłodzić się na śmierć – stwierdza Jules. – Nie ma tu żadnego jedzenia. Nie wiem, jak on tu przetrwał.

Jules pokazuje na miejsce za rodzicami. Tom kuca i widzi psa husky schowanego za futrami wiszącymi na wieszaku.

Pies jest skrajnie wycieńczony. Tom przypuszcza, że żywił się martwymi właścicielami.

Jules wyciąga z worka trochę mięsa, odrywa kawałek i rzuca psu. Na początku zwierzę wychodzi powoli. Potem rzuca się na jedzenie.

– Nie jest groźny? – pyta cicho Tom.

– Odkryłem, że pies dużo szybciej zaprzyjaźnia się z człowiekiem, który go karmi.

Jules rzuca więcej mięsa pod schody. Przemawia do psa, żeby go zachęcić.

Ale pies potrzebuje cierpliwości. I czasu.

Mężczyźni spędzają resztę dnia w tym domu. Za pomocą mięsa Jules próbuje nawiązać więź. W tym czasie Tom jeszcze raz przeszukuje miejsca, które wcześniej sprawdzał Jules. Ale nie ma tu rzeczy, których już by nie mieli w swoim domu. Nie ma też książki telefonicznej. Ani jedzenia.

Jules, który zna się na psach o wiele lepiej niż Tom, mówi, że nie mogą ruszać w dalszą drogę. Zachowanie psa jest jeszcze niestabilne, Jules mu jeszcze nie ufa.

Tom myśli o dwunastu godzinach, czasie, po jakim obiecał wrócić. A zegar wciąż tyka.

W końcu decydują, że trzeba iść.

– No to ruszajmy – zarządza Tom. – Popracujemy nad nim po drodze. Nie możemy tu nocować, wszędzie czuć zapach śmierci.

Jules się z nim zgadza. Ale musi zrobić kilka podejść, żeby wziąć psa na smycz. Upływa jeszcze więcej czasu. Gdy Jules w końcu odnosi sukces, Tom w myślach przeklina te cholerne dwanaście godzin. W jedno popołudnie znaleźli psa, kto wie, co przyniesie poranek.

Ale zegar wciąż tyka.

Przed wyjściem zawiązują na oczach opaski i zakładają hełmy. Potem odryglowują drzwi i wychodzą na ulicę. Teraz Tom używa szczotki, a Jules prowadzony jest przez psa. Zwierzę dyszy.

Znów przechodzą przez trawnik i coraz bardziej oddalają się od Malorie, Dona, Cheryl, Felixa i Olympii. Idą do następnego domu.

W nim, Tom ma nadzieję, spędzą noc. Jeśli tylko okna są zasłonięte. Jeśli rutynowy sprawdzian da im poczucie bezpieczeństwa. I jeśli tam nie będzie czuć zapachu śmierci.

Dwadzieścia cztery

Ból w ramieniu Malorie jest tak precyzyjny, tak dosadny, że w myślach może narysować jego kształt. Czuje, że porusza się wraz z ruchem jej barku. Już nie promieniuje tak jak na początku. Teraz jest głęboki, monotony i pulsujący. Przybrał wypłowiłe barwy rozpadu, a nie jaskrawe odcienie uderzenia. Malorie wyobraża sobie, jak teraz musi wyglądać dno łódki. Mocz. Woda. Krew. Dzieci pytały, czy wszystko z nią w porządku. Powiedziała im, że tak. Ale przecież one doskonale wiedzą, kiedy się oszukuje. Malorie nauczyła je słyszeć więcej niż dźwięki.

Teraz już nie płacze. Ale przed chwilą płakała. Ciche łzy pod opaską. Ciche według niej. Ale dzieci potrafią usłyszeć dźwięki nawet w kompletnej ciszy.

– No dobra, dzieciaki – mawiała, gdy siedzieli przy kuchennym stole. – Zamknijcie oczy.

Zamykali.

– Co teraz robię?

– Uśmiechasz się.

– To prawda, Dziewczynko. Skąd wiesz?

– Inaczej oddychasz, gdy się uśmiechasz, Mamusiu.

Następnego dnia znów zadawała im pytania.

– Teraz płaczesz, Mamusiu.

– Zgadza się. A dlaczego płacę?

– Jesteś smutna.

– To nie jedyny powód.

– Boisz się!

– Tak. Zadam wam jeszcze jedną zagadkę.

Teraz woda robi się coraz zimniejsza. Malorie czuje rozprysk przy każdym mozolnym ruchu wiosła.

– Mamusiu – odzywa się Chłopiec.

– Co takiego?

Dźwięk jego głosu wprowadza ją od razu w stan gotowości.

– Dobrze się czujesz?

– Już mnie o to pytałeś.

– Ale nie brzmisz tak, jakbyś się dobrze czuła.

– Powiedziałam, że dobrze, to znaczy, że dobrze. Nie kwestionuj tego, co mówię.

– Ale – mówi Dziewczynka – inaczej oddychasz!

To fakt. Malorie wie, że tak jest.

Wysilek, myśli.

– To dlatego, że ciągle wiosłuję – kłamie.

Ileż razy kwestionowała siebie w roli matki, gdy próbowała zamienić dzieci w nasłuchujące maszyny? Dla Malorie patrzenie, jak się rozwijają, było czasem przerażające. Jakby miała pod opieką dzieci mutanty. Małe potwory. Dziwne stworzenia, które potrafią usłyszeć, gdy ktoś się uśmiecha. Które mówiły jej, że jest przerażona, zanim ona sama to sobie uświadomiła. Rana na ramieniu wygląda bardzo źle. Przez lata Malorie bała się, że doświadczy właśnie takiego urazu. Przydarzały jej się już podobne kontuzje. Raz spadła ze schodów do piwnicy. Dzieci miały wtedy dwa latka. Innym razem potknęła się, niosąc wiadro ze studni, i uderzyła głową w kamień. Kiedyś wydawało jej się, że złamała rękę w nadgarstku. Ma też ukruszony ząb. Nie pamięta już, jak wyglądały jej nogi bez siniaków. A teraz czuje, że mięśnie jej ramienia odrywają się od ciała. Chce zatrzymać łódkę. Chce znaleźć szpital. Wybiec na ulicę i zacząć krzyczeć: „Potrzebuję lekarza, potrzebuję lekarza! POTRZEBUJĘ LEKARZA, BO ZA MOMENT UMRĘ, A WTEDY DZIECI TEŻ UMRĄ BEZE MNIE!!!”.

– Mamusiu – mówi Dziewczynka.

– Co jest?

– Płyniemy w złą stronę.

– Co?

Coraz bardziej wyczerpana, zaczęła mocniej wiosłować. Teraz płynie pod prąd i nawet tego nie zauważyła. Nagle czuje rączki Chłopca obok swoich. Na początku Malorie wzdryga się, ale za chwilę dociera do niej, co się dzieje. Jego palce ponad jej palcami poruszają się w tym samym tempie. W tym okrutnym, zimnym świecie Chłopiec postanowił pomóc jej w wiosłowaniu, gdy usłyszał,

jak się męczy.

Dwadzieścia pięć

Husky liże dłoń Toma. Jules śpi na podłodze na lewym boku i chrapie. Są w salonie. Za plecami Toma na dębowej komodzie stoi wielki, milczący telewizor. Pudełka z płytami ułożone są pod ścianą. Lampy. Prosta kanapa. Kamienny kominek. Ponad nim wielki obraz przedstawiający krajobraz plaży. Przywodzi Tomowi na myśl północ Michigan. Ponad jego głową zakurzony wentylator.

Pies liże jego rękę, bo wczoraj wieczorem razem z Jules'em urządzili sobie ucztę z nieświeżych czipsów ziemniaczanych.

W tym domu jest więcej przydatnych rzeczy niż w poprzednim. Zanim poszli spać, spakowali już kilka puszek z jedzeniem, papier, dwie pary dziecięcych butów, dwie małe kurtki i masywne plastikowe wiadro. Niestety, znów nie znaleźli książki telefonicznej. W erze nowoczesności i telefonów komórkowych ewidentnie nikt nie potrzebuje już książek telefonicznych.

Wygląda na to, że właściciele domu wyjechali z miasta. W kierunku małego miasteczka w Teksasie, nieopodal granicy z Meksykiem. W podręczniku przetrwania są notatki zrobione długopisem. Długa lista zapasów, łącznie z benzyną i częściami samochodowymi. Po rachunkach widać, że kupili dziesięć latarek, trzy wędki, sześć noży, wodę w baniakach, propan, orzechy w puszcze, trzy śpiwory, generator, kuszę, olej do gotowania, benzynę i drewno na opał. Gdy pies liże jego dłoń, Tom myśli o Teksasie.

– Zły sen – mówi Jules.

Tom patrzy na przyjaciela, który właśnie się obudził.

– Śniło mi się, że nie mogliśmy znaleźć drogi do domu. I już nigdy nie zobaczyłem Victora.

– Pamiętaj, że wbiliśmy kołek w trawnik – przypomina Tom.

– Nie zapomniałem o tym. Śniło mi się, że ktoś go zabrał. – Jules wstaje

i mężczyźni jedzą śniadanie składające się z orzechów. Pies dostaje puszkę tuńczyka.

– Idźmy na drugą stronę ulicy – mówi Tom.

Jules zgadza się z nim. Pakują się i wkrótce ruszają dalej.

Na zewnątrz szybko schodzą z trawnika i idą po betonie. Znow są na ulicy. Słońce mocno przygrzewa. Świeże powietrze sprawia im przyjemność. Tom właśnie chce coś o tym powiedzieć, ale nagle woła go Jules.

– Co to jest?

Tom odwraca się.

– Co?

– To jakiś posterunek, Tom. Jakby... namiot.

– Na środku ulicy?

– Tak. Na środku naszej ulicy.

Tom podchodzi do Jules'a. Włosie szczotki dotyka czegoś metalowego. Ostrożnie wyciąga rękę w ciemność i dotyka tego, co znalazł Jules.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdza Tom.

Odstawia szczotkę i dwoma rękami sprawdza, co ma nad głową, czyli spodnią stronę brezentu. Przypomniał mu się uliczny jarmark, na który kiedyś zabrał swoją córkę. Drogi zablokowano pomarańczowymi pachołkami. Setki artystów sprzedawało swe obrazy, rzeźby i rysunki. Stoiska ustawione były jedne przy drugich, niezliczenie wiele stoisk. Artyści sprzedawali swe dzieła pod powiewającymi na wietrze namiotami...

Tom wchodzi do środka. Używa szczotki, zatacza szerokie łuki w górze. Nic tam nie ma, poza czterema prętami podtrzymującymi brezent.

Wojskowy, myśli Tom. I ten fakt jest bardzo odległy od jego wspomnienia o jarmarku.

Gdy Tom był chłopcem, jego matka przechwalała się przed znajomymi, że jej syn „nie lubi nierozwiązanych problemów”.

– Wszystko próbuje rozwikłać – mawiała. – Nie ma w tym domu rzeczy, która by go nie interesowała.

Tom pamięta wyrazy twarzy przyjaciółek mamy i jak się uśmiechały, gdy to mówiła.

– Zabawki – mawiała. – Tom nie potrzebuje zabawek. Dla niego gałąź drzewa jest zabawką. Kable za odtwarzaczem wideo. To, jak działają okna.

W opisie tym mieściło się całe jego życie. „Gość, który pragnie wiedzieć, jak wszystko wokół działa. Zapytajcie Toma. Jeśli czegoś nie wie, to się dowie.

Umie naprawiać rzeczy”. Lecz Tom nie widział w tym nic wyjątkowego. Dopóki nie urodziła się Robin. Wtedy dziecięca fascynacja mechaniką przedmiotów całkowicie nim zawładnęła. Teraz, stojąc pod tym namiotem, Tom nie wie, czy czuje się bardziej jak dziecko próbujące rozwiązać jakiś problem czy jak ojciec doradzający, że lepiej stąd iść.

Mężczyźni sprawdzają obiekt, a ponieważ mają zawiązane oczy, trwa to dość długo.

– Może moglibyśmy go jakoś wykorzystać – mówi Tom do Jules’a, ale Jules już coś do niego woła z oddali.

Tom przechodzi więc przez ulicę. Podąża za głosem kolegi, aż dołącza do niego na trawniku.

Kolejny dom, do którego docierają, ma otwarte drzwi. Zgadzą się co do tego, że nie będą w nim zdejmować opasek. Wchodzą.

W środku czuć przeciąg. Wiedzą, że okna są otwarte, więc nie muszą ich nawet sprawdzać. Szczotka Toma informuje go, że pokój, do którego właśnie weszli, jest pełen pudeł.

Ci ludzie, myśli Tom, szykowali się do wyjazdu.

– Jules – mówi. – Sprawdź to. Ja pójdę dalej, w głąb domu.

Są na zewnątrz od dwudziestu czterech godzin.

Czując pod stopami wykładzinę, Tom przemierza dom obcych ludzi. Podchodzi do kanapy. Krzesła. Telewizora. Prawie nie słyszy Jules’a i psa. Przez okna wpada wiatr. Tom podchodzi do stołu. Maca jego blat, aż napotyka palcami jakiś przedmiot.

Miska, myśli.

Podnosi przedmiot i słyszy, że coś upada na stół. Szuka tego i znajduje przyrząd, jakiego się nie spodziewał.

Coś jakby łyżka do lodów, ale mniejsza.

Tom przebiega po niej palcami. W zagłębieniu jest coś gęstego.

Przechodzi go dreszcz. To nie są lody. Już kiedyś Tom dotykał czegoś podobnego.

Na krawędzi wanny. Obok jej małych nadgarstków. Była tam krew o takiej konsystencji. Gęsta. Martwa. Krew Robin.

Trzęsąc się, przybliżyła do siebie miskę i odkłada łyżkę. Przesuwa delikatnie palcami po gładkim ceramicznym kształcie i natrafia na coś w środku. Bierze gwałtowny wdech i rzuca miskę na wykładzinę.

– Tom?

Tom na początku nie odpowiada. To, czego właśnie dotknął – z czymś takim też już miał styczność wcześniej.

Robin przyniosła to ze szkoły. Z lekcji biologii. Trzymała to w otwartej puszcze po kawie pełnej drobniaków. Tom znalazł to, gdy Robin była w szkole. Przeszukiwał dom z powodu tajemniczego smrodu.

Tom wiedział, że znalazł jego źródło, gdy tylko zobaczył w puszcze, na stercie monet, małą, odbarwioną kulkę. Odruchowo wziął ją do ręki. Ścisnął między palcami.

To było świńskie oko. Spreparowane. Robin wspomniała, że robili coś takiego na lekcji.

– Tom? Co się tam dzieje?

Jules cię woła. Odpowiedz mu.

– Wszystko w porządku, Jules! Coś mi spadło na podłogę.

Gdy zaczyna się wycofywać, żeby opuścić pokój, potrąca coś ręką. I znów wie, co to.

To ramię, myśli. Przy stole, na krześle, siedzą czyjeś zwłoki.

Tom wyobraża je sobie. Siedzące. Bez oczu.

Na początku nie może się ruszyć. Stoi przodem do miejsca, w którym prawdopodobnie znajduje się ciało.

Potem szybko wybiega z pomieszczenia.

– Jules – mówi. – Wynośmy się stąd.

– Co się stało?

Tom opowiada mu. Po zaledwie paru minutach są już poza domem. Zdecydowali, że ruszają w drogę powrotną. Jeden pies wystarczy. Po znalezieniu namiotu i tego, co było w misce, żaden z nich nie chce już być na zewnątrz.

Przechodzą przez trawnik. Potem przez podjazd. I przez kolejny. Pies zaczyna ciągnąć Jules'a. Tom próbuje dotrzymać im kroku. Ma wrażenie, że zgubił się w ciemnościach swojej opaski. Woła kolegę.

– Jestem tu! – odpowiada Jules.

Tom idzie za jego głosem. Dogania go.

– Tom, pies robi straszne zamieszanie wokół tego garażu.

Tom jeszcze nie otrząsnął się po poprzednim znalezisku i coraz bardziej przeraża go fakt, że namiot tak zupełnie bez sensu stoi na środku ulicy. Chce już wracać do domu. Ale Jules nalega, by sprawdzić, co tak interesuje psa.

– To garaż wolnostojący – mówi Jules. – Pies zachowuje się tak, jakby

w środku było coś żywego.

Boczne drzwi są zamknięte. Jules znajduje okno i wybija je. Mówi Tomowi, że jest zabezpieczone. Tekturą. Jest małe, ale jedna osoba może wejść do środka. Jules mówi, że to zrobi. Tom mówi, że też może wejść. Przywiązują więc psa do rynn i obaj wciskają się do środka.

W garażu coś na nich warczy. Tom odwraca się do Jules'a.

– To chyba pies – woła Jules.

Tomowi też się tak wydaje. Serce bije mu mocno, zbyt mocno. Jedną rękę trzyma na gzymsie przy oknie, gotowy do ucieczki.

– Nie wierzę w to – dziwi się Jules.

– W co?

– To następny husky.

– Jak to? Skąd wiesz?

– Bo dotykam jego głowy.

Tom puszcza się gzymsu. Słyszy, że pies je. Jules go karmi.

Nagle, tuż obok Toma, rozlega się kolejny dźwięk.

Na początku przypomina śmiech dziecka. A potem śpiewanie.

W końcu da się rozpoznać świergot.

Ptaki.

Tom powoli się odsuwa. Świergot cichnie. Robi krok w stronę ptaków – staje się głośniejszy.

Oczywiście, myśli Tom, bardzo podekscytowany. W końcu spełniają się jego nadzieje, które miał, wyruszając wczoraj z domu.

Gdy Jules cicho przemawia do psa, Tom podchodzi do ptaków tak blisko, że ich jazgot staje się nie do zniesienia. Po omacku przeszukuje półkę.

– Tom. – Głos Jules'a dobiega z ciemności. – Uważaj...

– Są w pudełku.

– Jak to?

– Wychowywałem się z chłopakiem, którego ojciec był myśliwym. Tamte ptaki wydawały taki sam dźwięk. Gdy się do nich zbliżasz, coraz bardziej hałasują.

Tom kładzie dłoń na pudełku.

Zastanawia się.

– Jules – mówi. – Wracajmy do domu.

– Potrzebuję więcej czasu, żeby oswoić psa.

– Będziesz musiał to zrobić w domu. Możemy zamknąć je w jakimś pokoju,

jeśli będą sprawiały problemy. Ale znaleźliśmy już to, czego szukaliśmy. Wracajmy.

Jules zakłada smycz drugiemu husky. Ten jest mniej oporny. Gdy bocznymi drzwiami wychodzą z garażu, Jules pyta:

– Zabierasz ze sobą ptaki?

– Tak. Mam pewien pomysł.

Na zewnątrz odwiązują drugiego psa od rynn i ruszają w kierunku domu. Każdy prowadzi jednego husky. Powoli przecinają trawnik, potem podjazd, aż docierają do oznaczenia, które zostawili dzień wcześniej.

Tom stoi na ganku, jeszcze nie zapukał do drzwi, ale słyszy, jak współlokatorzy sprzecają się o coś w środku. Potem wydaje mu się, że ktoś nadchodzi od strony ulicy.

Odwraca się.

Czeka.

Zastanawia się, jak daleko od niego znajduje się namiot.

Następnie puka.

W środku wybucha awantura. Felix woła do niego, a Tom mu odpowiada:

– Feliksie, to ja, Tom!

Dwadzieścia sześć

Będziesz musiała otworzyć oczy...

– Dziewczynko, musisz jeść – mówi z trudem Malorie, jej głos jest słaby.

Chłopiec zjadł trochę orzechów z sakiewki. Dziewczynka nie chce.

– Jeśli nie będziesz jadła... – Malorie próbuje opanować grymasy bólu. – To zatrzymam łódź i zostawię cię tu.

Malorie czuje rękę Dziewczynki na plecach. Przystaje na chwilę wiosłować i wysypuje dla małej trochę orzechów. Nawet to sprawia jej ból.

Lecz oprócz bólu nękają ją różne myśli. Szczególnie jedna, którą Malorie bardzo chce wyprzeć.

Tak, świat pod opaską Malorie przyjął barwę zgniłej szarości. Tak, boi się, że właśnie traci przytomność. Ale w jej umyśle, oprócz wielu strachów i lęków, krąży coś jeszcze mroczniejszego. Unosi się, chowa, aż w końcu wyświetla się przed oczami jej wyobraźni.

Przez cały poranek próbuje od tej myśli uciec, zignorować ją.

Chodzi o cały proces podejmowania przez nią decyzji, proces, który zajął jej lata.

Wmawiasz sobie, że czekałaś tyle lat, bo bałaś się stracić dom. Wmawiasz sobie, że czekałaś tak długo, bo musiałaś dobrze przygotować dzieci. Ale to wszystko nieprawda. Odwlekałaś to tyle czasu, ponieważ ta wyprawa, rzeką, gdzie grasują wilki i szaleńcy, gdzie istoty muszą być tuż-tuż, zmusi cię do czegoś, czego nie robiłaś od wielu, wielu lat. I to nastąpi właśnie DZIŚ.

Dzisiaj otworzysz oczy.

Na zewnątrz.

Taka jest prawda. I Malorie to wie. Chyba wiedziała to od zawsze. A czego boi się najbardziej? Prawdopodobieństwa, że istoty będą stały tuż przed nią? Czy nieopisanej palety kolorów, która rozbłyśnie, gdy otworzy oczy?

Jak teraz wygląda świat? Czy rozpoznasz go?

Może jest szary? Może drzewa też oszalały? I kwiaty, trzciny, niebo? Może cały świat oszalał? Może toczy sam ze sobą walkę? Może Ziemia odrzuciła własne oceany? Może z wiatrem też jest coś nie tak? Może też coś zobaczył? Może też zwariował?

Pomyśl – powiedziała by Tom – przecież dobrze ci idzie. Wiosłujesz. Więc po prostu wiosłuj dalej. Zobacysz, wszystko ci się uda, dokonasz tego. Będziesz musiała otworzyć oczy. Potrafisz to zrobić. Bo musisz.

Tom. Tom. Tom. Tom. Tom.

Malorie tęskni teraz za nim jak nigdy dotąd.

I nawet w tym nowym świecie, tutaj na rzece, gdzie wyje wiatr, lodowata woda oblewa jej dżinsy, a na brzegach grasują dzikie zwierzęta; tu, gdzie jej ciało zostało zranione, a umysł pogrążony jest w czarnych myślach, nawet tu Tom jawi się jej jako coś mądrego, prawego. Coś dobrego.

– Jem – mówi Dziewczynka.

To również bardzo dobrze. Malorie znajduje w sobie siłę, która dodaje jej otuchy.

– Cieszę się – mówi, oddychając ciężko.

Na lewym brzegu słyszy jakiś ruch. Brzmi jak zwierzę. Ale może to szalenciec z łodzi. Może to istota. Może to kilka istot. Czy na drodze stanie im stado głodnych niedźwiedzi polujących na ryby?

Malorie jest ranna. To słowo ciągle powraca. Ciągle krąży.

Tak jak Tom. Tak jak szarość pod jej opaską. Tak jak odgłosy nowego świata, odgłosy wokół rzeki. Jej ramię. Jej rana. Stało się. Dokładnie to, przed czym by ją przestrzegano. Gdyby oczywiście obok był ktoś, kto mógłby to zrobić.

„Płyn w dół rzeki, jeśli musisz, ale wiedz, że możesz zostać ranna”.

„Och, nie wiem, czy ja bym się na to zdecydował. Możesz zostać ranna”.

„To zbyt niebezpieczne. Co stanie się z dziećmi, gdy zostaniesz ranna?”

„Teraz ten świat należy do zwierząt, Malorie. Nie wybieraj się tam. Nie płyn rzeką. Możesz zostać ranna”.

„Ranna”.

„RANNA”.

„RANNA!”

Shannon. Myśl o Shannon. Możesz na niej polegać.

Malorie próbuje. Wspomnienie siostry rozgania czarne myśli gromadzące się nad jej głową. Malorie przypomina sobie, jak leżały na zboczu wzgórza.

Było słonecznie. Zasłaniała oczy przedramieniem. Wskazywała na niebo.

– To Allan Harrison! – powiedziała, mając na myśli chłopca z klasy. – Ta chmura wygląda jak Allan Harrison!

Śmiała się.

– Która?

– Tamta! Widzisz?

Shannon przysunęła się bliżej niej. Położyła głowę na trawie, tuż obok Malorie.

– Tak! Ha, ha! Widzę go! A popatrz na tę! Ta wygląda jak Susan Ruth!

Siostry potrafiły leżeć tak godzinami, próbując znaleźć twarze kolegów w obłokach. Czasem wystarczyło, że zobaczyły tylko nos. Lub ucho. Czasem niektóre chmury miały loczki, jak Emily Holt.

Pamiętasz, jak wygląda niebo?, Malorie zadaje sobie to pytanie, ciągle mocno wiosłując. Było niebieskie. A słońce żółte, tak jak na dziecięcym rysunku. Trawa była zielona. Twarz Shannon była blada, gładka, biała. Takie były też twoje dłonie wskazujące obłoki. Gdziekolwiek wtedy spojrziałaś, wszędzie były kolory.

– Mamusiu? – odzywa się Chłopiec. – Mamusiu, czy ty płaczesz?

Gdy otworzysz oczy, Malorie, znów to wszystko zobaczysz. Cały twój świat się rozjaśni. Ostatnio widziałaś tylko ściany i koce. Schody i dywany. Plamy i wiadra z wodą ze studni. Liny, noże, siekiere, drucianą siatkę, kable od głośników i łyżki. Jedzenie w puszkach, świece i krzesła. Taśmę, baterie, drewno i gips. Przez ostatnie cztery lata widziałaś tylko twarze swych współtowarzyszy i twarze swoich dzieci. Ciągle te same kolory. Te same barwy. Te same barwy przez cztery lata. CZTERY LATA. Czy jesteś na to gotowa? Co cię bardziej przeraża? Istoty czy ty sama, gdy zalewają cię miliony wspomnień i kolorów z przeszłości? Co cię bardziej przeraża?

Teraz Malorie wiosłuje bardzo wolno. Znacznie wolniej niż dziesięć minut temu. Woda, mocz i krew chlupią wokół jej stóp. Zwierzęta, szaleńcy oraz istoty czają się na brzegach. Wiatr jest lodowaty. Toma przy niej nie ma. Nie ma też Shannon. Szarość za opaską zaczyna wirować jak osad kręcący się w odpływie wanny.

Malorie wymiotuje.

W ostatniej chwili martwi się jeszcze, że właśnie nadchodzi to, czego bała się najbardziej. Utrata przytomności. Co stanie się z dziećmi? Czy poradzą sobie, gdy mama zemdleje?

To się dzieje naprawdę.

Ręce Malorie osuwają się z wiosł. W jej umyśle obserwuje ją Tom. Istoty też ją obserwują.

A gdy Chłopiec zadaje jej jakieś pytanie, Malorie, kapitan tej małej łodzi, traci przytomność.

Dwadzieścia siedem

Malorie budzi się ze snu o dzieciach.

Jest albo wczesny ranek, albo bardzo późny wieczór, myśli.

W domu panuje cisza. Im bardziej zaawansowana staje się jej ciąża, tym wyraźniej widzi rzeczywistość. Poradniki dość ogólnikowo opisują poród w domu. Oczywiście jest on możliwy bez profesjonalnego wsparcia, ale w książkach raczej odradzają takie rozwiązanie. „Musi być czysto”, piszą. Wspominają też o „nieprzewidzianych okolicznościach”. Olympia nie znosi o tym czytać, ale Malorie wie, że muszą.

„Przyjdzie taki dzień, gdy poczujesz ból, który czuła twoja matka i inne kobiety. Ten sam: poród. Tylko kobieta może tego doświadczyć, ponieważ wszystkie kobiety łączy niezwykła więź”.

A teraz ten moment się zbliża. TERAZ. Kto będzie przy niej, gdy nadejdzie? W starym świecie odpowiedź na to pytanie byłaby banalnie prosta. Shannon, oczywiście. Mama i tata. Przyjaciele. Położna, która podtrzymywałaby w niej przekonanie, że wszystko idzie zgodnie z planem. Na stole stałyby kwiaty. Prześcieradła pachniałyby świeżością. Byłaby pod opieką ludzi, którzy odebrali już wiele porodów. Byłoby to dla nich jak wyjęcie orzeszka z łupinki. Ich wprawa działałaby na nią kojąco.

Ale nie ma nikogo takiego. Poród, który czeka Malorie, będzie zwierzęcy: brutalny, bolesny, nieludzki. Nie będzie lekarza. Nie będzie położnej. Nie będzie lekarstw.

Och! Przecież miała doskonale wiedzieć, co robić! Tak sobie wyobrażała. Miałaby nie być przygotowana?! Magazyny, portale internetowe, filmy, rady od ginekologa, opowieści innych matek.

Ale teraz nie ma na to wszystko szans. Żadnych szans! Nie będzie rodzić w szpitalu, będzie rodzić tu, w tym domu. W jednym z pokoi tego domu!

Jedyne, na co Malorie może liczyć, to pomoc Toma i Olympii, która pottrzyma ją za rękę, towarzysząc jej w tym horrorze. W oknach będą wisiały koce. Pod pupę może ktoś jej podłożyć podkoszulek. Wypije szklanekę mętnej wody ze studni.

I tyle. Tak to będzie wyglądało.

Przekręca się znów na plecy. Oddycha ciężko i wolno, patrzy w sufit. Zamyka oczy, potem znowu je otwiera. Czy uda jej się przez to przejść? Czy da radę?

Musi. Więc jak mantrę powtarza słowa, które pomagają jej się przygotować.

W sumie nie ma znaczenia, czy urodzisz w szpitalu, czy w kuchni na podłodze. Twoje ciało wie, co robić. Twoje ciało wie, co robić. Twoje ciało wie, co robić.

Nienarodzone dziecko jest jedyną rzeczą, która ma teraz znaczenie.

Nagle Malorie słyszy jazgot ptaków umieszczonych przy frontowych drzwiach. Przypomina on dźwięki wydawane przez niemowlęta. Odrywa się więc od swoich myśli i całą uwagę poświęca dobiegającym hałasom. Siada powoli na łóżku i słyszy pukanie dobiegające z parteru.

Zamiera.

Czy ktoś puka do drzwi? Może to Tom? Czy ktoś wychodził na zewnątrz?

Znów rozlega się pukanie, a Malorie, kompletnie zaskoczona, siedzi jak oniemiała na łóżku. Kładzie rękę na brzuchu i nasłuchuje.

Znowu pukanie.

Malorie wolno opuszcza stopy na podłogę, wstaje i przechodzi przez swój pokój. Zatrzymuje się przy drzwiach, z jedną dłonią na brzuchu, a drugą na drewnianej framudze, i słucha.

Znów ktoś puka. Tym razem głośniej.

Podchodzi do schodów i zatrzymuje się.

Kto to może być?

Pod piżamą czuje chłód. Dziecko się porusza. Malorie czuje lekkie wirowanie w głowie. Ptaki ciągle wrzeszczą wniebogłosy.

Może to ktoś z domowników?

Wraca do swojej sypialni i bierze latarkę. Idzie do pokoju Olympii i świeci na jej łóżko. Olympia śpi. W pokoju na końcu korytarza widzi leżącą w łóżku Cheryl.

Malorie schodzi ostrożnie po schodach, kieruje się do salonu.

Tom.

Tom śpi na dywanie. Felix na kanapie.

– Tom. – Malorie dotyka jego ramienia. – Tom, obudź się.

Tom przekręca się na brzuch. Patrzy do góry, a potem nagle na Malorie.

– Tom.

– Wszystko w porządku?

– Ktoś puka do frontowych drzwi.

– Co? Teraz?

– Tak, teraz.

Znowu rozlega się pukanie. Tom odwraca się w stronę korytarza.

– Cholera jasna. Która godzina?

– Nie wiem. Późna.

– Okej.

Tom szybko wstaje. Zatrzymuje się, jakby chciał się porządnie obudzić, zostawić sen na swym posłaniu. Jest całkowicie ubrany. Obok posłania Malorie dostrzega początki kolejnego hełmu. Tom zapala lampę w salonie.

Potem oboje idą do drzwi. Zatrzymują się w korytarzu. Znow ktoś puka.

– Jest tam kto? – odzywa się męski głos.

Malorie łapie Toma za rękę. Tom zapala światło w przedpokoju.

– Halo? – znów odzywa się ten sam głos.

I kolejne pukanie.

– Proszę mnie wpuścić do środka – mówi mężczyzna. – Nie mam dokąd pójść. Jest tam kto?

W końcu Tom robi krok w stronę drzwi. Na końcu korytarza Malorie widzi poruszający się kształt. To Don.

– Co się dzieje? – pyta.

– Ktoś stoi pod drzwiami – odpowiada Tom.

Don, jeszcze mocno zaspany, wygląda na zagubionego. Potem rzuca ostro:

– I co? Co zamierzacie z tym zrobić?

Znów pukanie.

– Nie mam dokąd pójść – lamentuje głos pod drzwiami. – Nie mogę być tu, na zewnątrz, sam.

– Porozmawiam z nim – decyduje Tom.

– Nie jesteśmy jakimś hostelem, do kurwy nędzy, Tom – denerwuje się Don.

– Tylko z nim pogadam.

Don podchodzi do nich, a Malorie słyszy, że na górze ktoś się krząta.

– Jeśli jest tam kto...

– Kim jesteś? – pyta w końcu Tom.

Zapada krótka cisza, lecz za chwilę głos mówi:

– Dzięki Bogu, ktoś tu jest! Mam na imię Gary.

– To może być zły człowiek – stwierdza Don. Jak zwykle on. – Albo jakiś szaleniec.

Na końcu przedpokoju pojawiają się Felix i Cheryl. Wyglądają na bardzo zmęczonych. Przyszedł też Jules, a za nim psy.

– Co się dzieje, Tom?

– Witaj, Gary – mówi Tom. – Powiedz nam coś więcej o sobie.

Ptaki hałasują.

– Kto to? – pyta Felix.

– Jestem Gary i mam czterdzieści sześć lat. Mam brązową brodę. Od dawna nie otwierałem oczu.

– Nie podoba mi się jego głos – oznajmia Cheryl.

Przyszła też Olympia.

– Dlaczego wyszedłeś na zewnątrz? – krzyczy Tom.

– Musiałem opuścić dom, w którym dotychczas mieszkałem. Ludzie tam nie byli w porządku. Sytuacja z dnia na dzień się pogarszała.

– Co to, do cholery, znaczy? – woła Don.

Gary przerywa i po chwili mówi:

– Byli agresywni.

– Dla mnie to za mało – stwierdza Don, a potem zwraca się do domowników:

– Nie otwierajcie tych drzwi.

– Gary – kontynuuje Tom. – Od jak dawna jesteś na zewnątrz?

– Myślę, że ze dwa dni. Może nawet trzy.

– Gdzie nocowałeś?

– Nocowałem? Na trawnikach, pod krzakami...

– Kurwa – odzywa się Cheryl.

– Słuchajcie – błaga Gary. – Umieram z głodu. Jestem zupełnie sam. I bardzo się boję. Rozumiem waszą ostrożność, ale naprawdę nie mam dokąd pójść.

– Znalazłeś inne domy? – dopytuje Tom.

– Nie! Pukałem wszędzie całymi godzinami. Tylko tu ktoś mieszka.

– Skąd wiedział, że tu jesteśmy? – pyta swoich kompanów Malorie.

– Może nie wiedział – stwierdza Tom.

– Pukał do naszych drzwi bardzo długo. Wiedział, że tu jesteśmy.

Tom patrzy na Dona. Chce wiedzieć, co myśli o tym wszystkim.

– Nie ma mowy.

Tom zaczyna się pocić.

– Bo ty oczywiście chcesz go wpuścić, tak? – Don jest wściekły. – Masz nadzieję, że facet może mieć jakieś informacje.

– To prawda – odpowiada Tom. – Mam nadzieję, że ma cenne uwagi. I myślę też, że potrzebuje naszej pomocy.

– Jasne. A ja myślę, że może tam stać siedmiu gości gotowych poderznąć nam gardła.

– Boże – jęczy Olympia.

– Byliśmy tam z Jules'em dwa dni temu. Facet mówi prawdę. Inne domy są puste.

– No to dlaczego w nich nie zamieszka?

– Nie wiem, Don. Bo nie ma jedzenia?

– Przecież byliście tam dokładnie w tym samym czasie. I co, nie słyszał was?

– Cholera – mówi Tom. – Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Może był ulicę dalej.

– Nie byliście w domach na tamtej ulicy. Skąd więc możecie mieć pewność, że nie kłamie?

– Wpuśćmy go – decyduje Jules.

Don staje z nim twarzą w twarz.

– To tak nie działa, stary.

– No więc zagłosujmy.

– Kurwa, no nie wierzę. – Don jest na granicy wybuchu. – Jeśli jedno z nas nie chce otworzyć tych kurewskich drzwi, to nie powinniśmy otwierać tych kurewskich drzwi.

Malorie myśli o człowieku stojącym na ganku. Oczyma wyobraźni widzi, że ma zamknięte oczy i trzęsie się ze strachu.

Ptaki ciągle wrzeszczą.

– Halo? – odzywa się znów Gary. W jego głosie słychać napięcie i zniecierpliwienie.

– Jesteśmy – mówi Tom. – Przykro mi, Gary, ale musimy to obgadać. – A potem zwraca się do reszty: – Głosujmy.

– Tak – mówi Felix.

Jules kiwa głową.

– Przykro mi – mówi Cheryl – ale nie.

Tom patrzy na Olymnię. Kobieta kręci głową na nie.

– Przepraszam, że wypadło akurat na ciebie, Malorie. Ale jest remis. Twój głos zadecyduje o tym, co zrobimy.

Malorie nie chce odpowiedzieć. Nie chce tej władzy. W jej rękach spoczął los nieznanego.

– Może naprawdę potrzebuje pomocy – mówi i od razu zaczyna żałować wypowiedzianych słów.

Tom odwraca się w stronę drzwi. Don sięga przed siebie i łapie go za nadgarstek.

– Nie chcę, żebyś otwierał te drzwi – syczy.

– Don. – Tom spokojnie oswobadza rękę z uścisku kolegi. – Zagłosowaliśmy. I wpuścimy go. Tak jak wpuściliśmy Olympię i Malorie. Tak jak George wpuścił ciebie i mnie.

Don przewierca Toma wzrokiem. Według Malorie upływa wieczność. Czy i tym razem dojdzie do wybuchu agresji?

– Posłuchaj mnie – mówi Don. – Jeśli przez to głosowanie moje życie będzie zagrożone, tym razem nic nie powstrzyma mnie przed opuszczeniem tego domu.

– Don... – uspokaja go Tom.

– Halo? – odzywa się zza drzwi Gary.

– Nie otwieraj oczu – woła do niego Tom. – Wpuszczamy cię.

Tom łapie za gałkę w drzwiach.

– Jules, Felix, weźcie szczotki. Cheryl, Malorie, podejdźcie do niego, przeszukajcie go. Okej? A teraz wszyscy zamykamy oczy.

W ciemnościach Malorie słyszy, jak drzwi się otwierają.

Zapada cisza. Nagle odzywa się Gary:

– Czy jest już otwarte? – niecierpliwi się.

– Pospiesz się – pogania go Tom.

Malorie słyszy szuranie. Drzwi zamykają się. Robi krok naprzód.

– Nie otwieraj oczu, Gary – mówi.

Podchodzi do niego, dotyka go. Szuka dłońmi jego twarzy. Wyczuwa nos, policzki, zagłębienia oczu. Dotyka jego ramion i prosi, żeby podał jej rękę.

– To dla mnie nowość – mówi Gary. – Czego szukacie...

– Ciii!

Bierze jego dłoń, liczy palce. Czuje paznokcie i lekkie owłosienie.

– W porządku – odzywa się Felix. – Myślę, że jest sam.

Malorie otwiera oczy.

Stoi przed nią mężczyzna dużo starszy od niej, ma brązową brodę i tweedową marynarkę na czarnym swetrze. Pachnie, jakby przebywał na zewnątrz od wielu tygodni.

– Dziękuję – mówi, ledwo łapiąc oddech.

Na początku nikt się nie odzywa. Wszyscy tylko na niego patrzą.

Brązowe włosy, zaczesane na bok, są w nieładzie. Jest starszy i potężniejszy niż którykolwiek z domowników. W ręku trzyma brązową aktówkę.

– Co tam masz? – pyta Don.

Gary patrzy na teczkę, jakby zupełnie zapomniał, że ją ma przy sobie.

– Moje rzeczy. Złapałem je w pośpiechu, gdy opuszczałem poprzedni dom.

– Jakie rzeczy? – drąży Don.

Na twarzy Gary'ego maluje się zarówno zdziwienie, jak i politowanie, ale otwiera teczkę. Pokazuje wszystkim jej zawartość. Papiery. Szczoteczka do zębów. Koszula. Zegarek.

Don kiwa głową.

Gdy Gary zamyka aktówkę, zauważa brzuch Malorie.

– O kurczę – mówi. – To już lada moment?

– Tak – odpowiada oziębłe Malorie, ciągle nie jest pewna, czy temu mężczyźnie można ufać.

– Po co wam te ptaki?

– Ostrzegają nas – wyjaśnia Tom.

– Oczywiście – zgadza się Gary. – Jak kanarki w kopalniach. Sprytnie posunięcie. Słyszałem je, gdy zbliżałem się do was.

Tom zaprasza nowo przybyłego gościa, żeby wszedł dalej. Psy zaczynają obwąchiwać Gary'ego. W salonie Tom wskazuje na fotel.

– Dziś możesz na tym spać. Można opuścić oparcie. Zjesz coś?

– Tak – odpowiada Gary z ulgą.

Tom prowadzi go do kuchni i do jadalni.

– Puszki z jedzeniem trzymamy w piwnicy. Przyniosę ci coś.

Tom w milczeniu daje znać Malorie, żeby poszła z nim do kuchni.

– Posiedzę z nim trochę – mówi Tom. – A ty się połóż, jeśli chcesz. Wszyscy są wykończeni. Chyba jest w porządku. Dam mu coś do jedzenia, a jutro razem z nim pogadamy.

– Nie ma mowy, żebym teraz zasnęła – stwierdza Malorie.

– Okej. – Tom uśmiecha się. Sam jest wykończony.

Idzie do piwniczki, a Malorie dołącza do pozostałych w jadalni. Po chwili

Tom wraca z brzoskwiniami w puszcze.

– Nigdy bym nie przypuszczał – zaczyna Gary – że kiedyś najcenniejszym przedmiotem na świecie będzie otwieracz do puszek.

Wszyscy siedzą przy stole w jadalni. Tom zadaje Gary’emu pytania. Jak udało mu się przeżyć? Gdzie spał? Widać, że Gary jest bardzo zmęczony. Mówi, że chciałby się już położyć. W końcu domownicy jeden po drugim, zaczynając od Dona, udają się do swoich sypialni. Tom odprowadza Gary’ego z powrotem do salonu, a Malorie i Olympia wstają od stołu. Na schodach Olympia kładzie rękę na dłoni Malorie.

– Malorie, czy mogłabym dziś z tobą spać? – pyta.

Malorie odwraca się do niej.

– Oczywiście, że możesz.

Dwadzieścia osiem

Jest poranek następnego dnia. Malorie wstaje i ubiera się. Słyszy, że chyba wszyscy są już na dole.

– Mielicie też elektryczność? – pyta Felix, gdy Malorie wchodzi do salonu.

Gary siedzi na kanapie. Na widok Malorie uśmiecha się.

– Oto anioł... – Gary wskazuje na nią ręką. – Anioł, który dotknął mnie, gdy wszedłem do tego domu. Muszę przyznać, że omal się nie popłakałem pod wpływem kontaktu z drugim człowiekiem.

Malorie wydaje się, że Gary mówi jak aktor. Jest bardzo teatralny.

– To prawda, że o moim losie zdecydowało głosowanie?

– Tak – odpowiada Tom.

Gary kiwa głową.

– W moim poprzednim domu nie było mowy o takich manierach. Jeśli ktoś miał jakiś pomysł, to od razu przechodził do czynów, nie myśląc o innych. To pokrzepiające spotkać ludzi, którzy zachowali w sobie resztki przyzwoitości.

– Ja głosowałem przeciw – mówi nagle Don.

– Naprawdę?

– Tak. Byłem przeciwny. Siedem osób pod jednym dachem w zupełności wystarczy.

– Rozumiem.

Jeden husky wstaje i podchodzi do Gary'ego. Mężczyzna drapie go po futrze za uszami.

Tom zaczyna wyjaśniać nowemu domownikowi to wszystko, co niegdyś wyjaśniał Malorie. Elektrownia wodna. Zapasy w piwnicy. Brak książki telefonicznej. To, jak umarł George.

Chwilę później Gary zaczyna opowiadać o swoim poprzednim współlokatorze. Określił go jako „człowieka z problemami”, który nie chciał

uwierzyć, że istoty robią nam krzywdę.

Uważał, że reakcje ludzi mają podłoże psychosomatyczne. Innymi słowy, że cały ten ambaras z szaleństwem nie jest spowodowany przez jakieś istoty, tylko raczej przez to, jak ludzie na nie reagują.

Ambaras z szaleństwem, myśli Malorie. Czy to lekceważące określenie zostało wymyślone przez owego współlokatora? Czy raczej przez Gary'ego?

– Chciałbym wam opowiedzieć o moim życiu w poprzednim domu – ciągnie swą historię Gary. – Ale uprzedzam, to będzie ponura opowieść.

Malorie chce ją poznać. Wszyscy chcą. Gary przesuwając palcami po włosach. Zaczyna opowiadać.

– Nie było żadnego ogłoszenia i wszyscy moi towarzysze byli od was dużo starsi. Nie łączyła nas więź społeczna, nie identyfikowaliśmy się z grupą. Mój brat, Duncan, miał kolegę, który potraktował „Raport z Rosji” bardzo poważnie. Był jednym z pierwszych, którzy uwierzyli. Jakoś radziliśmy sobie z jego konspiracyjnymi teoriami i paranoją, że rząd czy też „oni” chcą nas wszystkich wykończyć. Jeśli o mnie chodzi, to czasem nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę... Ale co w tym dziwnego? Mam ponad czterdzieści lat. Tak przyzwyczałem się do poprzedniego życia, że trudno mi wyobrazić sobie inne. Wypierałem więc taką ewentualność. Ale Kirk, znajomy mojego brata, głęboko w to wierzył. I, jak się wydawało, nic nie było w stanie zachwiać w nim tej wiary. Pewnego popołudnia Duncan zadzwonił do mnie i przedstawił mi propozycję Kirka, żebyśmy spędzili razem kilka dni w jednym miejscu i dowiedzieli się o „tym” więcej. Zapytałem wtedy, co ma na myśli, a Duncan odparł: „Gary! Ciągłe o tym trąbią w telewizji!”. „Ale o czym, Duncan?”, nie ustępowałem. „O tym, co wydarzyło się w Rosji?” Duncan powiedział jeszcze tylko, że bym dał już spokój, że wypijemy parę piwek, zjemy pizzę i jakoś go udobruchamy. Że przecież nie mamy nic do stracenia. Tymczasem ja powiedziałem, że nie, że dziękuję, ale spędzanie czasu z szalonym Kirkiem, który w kółko analizuje wszystkie te sensacje, nie wydaje się zapowiedzią dobrej zabawy. Tak czy owak, wkrótce i ja do nich dołączyłem.

Wzdycha.

– Słuchałem okropnych doniesień, jak chyba wszyscy. I zaczęły mnie one niepokoić. Zrobiło się tego bardzo dużo. A mimo to uparcie nie chciałem do końca w nie uwierzyć. Takie rzeczy się po prostu nie dzieją. Jednakże w pewnym momencie opublikowano raport, który zmusił mnie do działania.

Ten o siostrach z Alaski. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tak długo nie dałem się przekonać... Tak, epizod na Alasce wydarzył się stosunkowo późno, ale stało się to na terenie Stanów Zjednoczonych. I chyba jestem dość prowincjonalny, bo zacząłem się martwić dopiero wtedy, kiedy blisko domu zaczęło być niebezpiecznie. Nawet dziennikarz był przerażony tym, co sam mówi. Tak, nawet człowiek przedstawiający newsy trząsł się ze strachu. Ale przecież znacie tę historię. Pewna kobieta zobaczyła swoje dwie sąsiadki, starszki, jak wychodzą z domu. Pomyślała, że wybierają się na swój codzienny spacer. Trzy godziny później usłyszała w wiadomościach, że starsze panie znajdują się przed szpitalem, siedzą na kamiennych schodach i próbują pogryźć przechodniów. Kobieta pojechała szybko pod szpital. Udało jej się podejść dość blisko sióstr. Chciała im tylko pomóc... Ale nie w tym rzecz... Bo już za moment CNN opublikowało zdjęcia kobiety z dosłownie zdartą skórą twarzy spoczywającą tuż obok jej zakrwawionej czaszki. Z tyłu leżały dwie starszki zastrzelone przez policję. Ten obraz mnie zmroził. Normalni ludzie... Zwykle otoczenie... Taaak... Ale epizod na Alasce potwierdził też wszystkie paranoidalne fantazje Kirka. Mimo narastającego strachu nie byłem jeszcze gotów zmienić życia, którym dotąd żyłem, na proponowaną przez niego nową, paramilitarną rzeczywistość. Mogłem zakryć okna, zaryglować drzwi i ukryć się, ale Kirk miał plany, żeby stawić czoła inwazji obcych czy czego tam on nie wymyślił. Mówił o broni i sprzęcie wojskowym... jak jakiś zaprawiony w bojach żołnierz. Oczywiście nie był zawodowym żołnierzem, nawet nie odbył służby wojskowej.

Gary przerywa na chwilę. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wkrótce dom wypełnił się facetami przebranymi za żołnierzy. Kirk był zachwycony swoją nową funkcją generała. Dla mnie, obserwatora z boku, była to zwykła bufonada. Ciągle musiałem przypominać Duncanowi, że powinniśmy zachować dystans. Człowiek pokroju Kirka mógł rozkazać swoim ludziom, żeby zrobili coś głupiego. Wśród tych mężczyzn panowała napięta atmosfera, podsycana fantazjami Kirka o inwazji obcych. Mijały dni, a ich zuchwałe plany dotyczące ochrony miasta i eliminacji panującego na świecie szaleństwa ograniczały się tylko do gadania. I chełpienia się tym, że przejdą do historii jako ci, którzy uratowali świat. W gronie tym był jednak pewien facet, który postanowił przejść od słów do czynów. Miał na imię Frank i wierzył, że wymyślone przez Kirka istoty w ogóle nie istnieją. Mimo to przyszedł, żeby zamieszkać w tym domu, twierdził, że się boi, i udawał, że

wierzy w zagrożenie, które zniszczy nasz kraj. Kirk wymyślał więc pozbawione sensu ćwiczenia, a Frank stawał się coraz większym odludkiem, rzadko kiedy opuszczając swój pokój na piętrze. Siedział tam i pisał. Dzień i noc. Pisał i pisał. Ołówkiem, długopisem, flamastrem, wszystkim, co mu wpadło w ręce. Pewnego dnia, gdy szedłem korytarzem, usłyszałem dziwny dźwięk dobiegający z jego pokoju. Jakby niesłabnący wysięk pomieszany ze wściekłością, furią. Uchyliłem drzwi i przez szparę zobaczyłem Franka zgarbionego nad biurkiem, szepcącego coś o „próżnym, nadaktywnym” społeczeństwie, które przeklinał podczas pisania. Nie miałem jak się dowiedzieć, co też tam gryzmołił, choć bardzo tego chciałem. Rozmawiałem o tym z Duncanem. Na twarzy miał namalowany żaloszny kamuflaż. Wtedy bardzo wierzył w teorie Kirka. Nie zgodził się ze mną, że Frank może być zagrożeniem. Gdy cała reszta pod przewodnictwem Kirka ćwiczyła w piwnicy „na sucho” strzelanie do celu, Frank gadał o „masowej hysterii” czy „psychosomatycznym bałwochwalstwie”. Wszystkim wydawało się, że jest niegroźnym pacyfistą.

Gary znów przesuwając ręką po włosach.

– Zacząłem kombinować, jak tu się dowiedzieć, co też Frank knuje w swoim pokoju. Czekalem na okazję, żeby przeczytać jego tajemnicze zapiski. Jak myślicie, co stałoby się z już szalonym człowiekiem, gdyby zobaczył na zewnątrz istotę? Czy byłby na to odporny, ponieważ jego umysł i tak był już uszkodzony? A może jego szaleństwo weszłoby na inny, wyższy poziom? Bardzo możliwe, że ludzie psychicznie chorzy przejmą kontrolę nad nową rzeczywistością, ponieważ nie można im już nic zrobić. Podobnie jak wy, nie znam odpowiedzi na te pytania.

Gary bierze łyk wody ze szklanki.

– W końcu nadszedł właściwy moment. Kirk i reszta byli czymś zajęci w piwnicy. Frank był w łazience. Postanowiłem skorzystać z okazji. Wszedłem do jego pokoju i znalazłem zapiski w szufladzie biurka. Nie był to jakiś wielki wyczyn, choć już wtedy bałem się tego człowieka. Inni go lekceważyli, śmiali się z niego, ale ja wyczuwałem w nim coś groźnego. Zacząłem czytać. Po chwili byłem wprost zszokowany jego słowami. Nie wiem, kiedy zaczął pisać, ale było tego niewyobrażalnie dużo. Całe tuziny notatników, w różnych kolorach, a w każdym kolejnym coraz więcej złości. Po napisanych drobnym pochyłym pismem wersach następowały krzyczące podkreśleniami zdania. Wszystkie one zapewniały, że istoty nie są groźne. Mieszkańców naszego

domu Frank nazywał „małymi mózdkami”, które „należy unicestwić”. Miałem rację, był bardzo niebezpieczny. Nagle usłyszałem, jak wychodzi z łazienki, i uciekłem. Może Duncan miał rację, że trzymał stronę Kirka... Zeszyty Franka były dowodem na to, że na nowy świat można zareagować znacznie gorzej.

Gary bierze głęboki oddech. Wyciera usta wierzchem swej dłoni.

– Gdy obudziliśmy się następnego ranka, wszystkie zasłony były ściągnięte. Cheryl głośno wstrzymuje powietrze.

– Drzwi były otwarte.

Don zaczyna coś mrużyć.

– A Franka nie było. Zabrał też ze sobą wszystkie notatniki.

– O kurwa – mówi Felix.

Gary kiwa głową.

– Czy ktoś ucierpiał? – pyta Tom.

W oczach Gary’ego pojawiają się łzy, ale jakoś się trzyma.

– Nie. Nikt. O czym z pewnością Frank napisał w swoich dziennikach.

Malorie kładzie rękę na swoim brzuchu.

– Dlaczego odszedłeś? – pyta niecierpliwie Don.

– Odszedłem – mówi Gary – ponieważ Kirk i spółka zaczęli się na poważnie odgrażać, że muszą wysledzić Franka. Chcieli go zabić za to, co zrobił.

W pokoju zapanowała cisza.

– Wiedziałem, że muszę odejść. Dom był zrujnowany. Zakażony. Wasz, z tego, co widzę, nie jest. I bardzo... – Gary patrzy na Malorie. – Bardzo dziękuję za przygarnięcie mnie.

– Ja ciebie nie przygarnęłam – reaguje Malorie. – Wszyscy to zrobiliśmy.

Jaki człowiek, myśli Malorie, zostawiłby swojego bliźniego w takiej sytuacji?

Patrzy na Dona, potem na Cheryl i na Olympię. Czy historia Gary’ego uspokoiła tych, którzy nie chcieli go wpuścić? Czy też podsyciła ich lęk?

Ambaras z szaleństwem.

Tom i Felix wypytują Gary’ego o jego przeżycia. Od czasu do czasu wtrąca się Jules. Ale Cheryl wychodzi. A Don, który zawsze ma coś do powiedzenia, prawie się nie odzywa. Tylko obserwuje.

A więc podział między nami, myśli Malorie, nasila się.

To, kiedy się zaczął, nie ma dla niej znaczenia. Ale teraz nie da się go nie zauważyć. Gary przyniósł ze sobą teczkę. I opowieść. I, w jakimś sensie, podział.

Dwadzieścia dziewięć

Malorie budzi się z zamkniętymi oczami. Nie jest to już takie trudne jak kiedyś. Wraca świadomość. Dźwięk, dotyk i zapach życia. I widok. Malorie wie, że mimo zamkniętych oczu widzi. Widzi odcienie pomarańcza i żółci, kolory światła słonecznego, które mimo wszystko przenikają przez powieki. Na obrzeżach swych wizji widzi także szarość.

Ma wrażenie, że jest gdzieś na zewnątrz. Czuje na twarzy chłodne, orzeźwiające powietrze. Spierzchnięte usta. Suchość w gardle. Kiedy ostatnio coś piła? Z jej ciałem jest jakby lepiej. Jest wypoczęte. Choć czuje tępy ból promieniujący po lewej stronie szyi. To ramię. Przykłada prawą dłoń do czoła. Gdy dotyka palcami twarzy, zauważa, że są mokre i brudne. W sumie całe plecy ma mokre. Koszulka nasiąknięta jest wodą.

Nad głową śpiewają ptaki. Z wciąż zamkniętymi oczami Malorie unosi się.

Dzieci ciężko oddychają. Jakby nad czymś w pocie czoła pracowały.

Rysują? Coś budują? Grają w coś?

Malorie siada.

– Chłopczyku?

Jej pierwsza myśl brzmi jak dobry żart. Niemożliwość. Błąd. Potem dociera do niej, że właśnie to się dzieje.

Oddychają ciężko, bo wiosłują.

– Chłopczyku! – Malorie krzyczy, lecz jej głos brzmi słabowicie. Jakby miała gardło z drewna.

– Mamusiu!

– Co się dzieje?!

Łódka. Łódka. Łódka. Jesteś na rzece. Straciłaś przytomność. STRACIŁAŚ PRZYTOMNOŚĆ.

Wywiesza bolące ramię za burtę, nabiera wody i przykłada do ust. Potem

klęka, wisi nad taflą wody i pije łąpczywie. Ciężko oddycha. Ale szarości zniknęły. I ciało ma się znacznie lepiej.

Odwraca się do dzieci.

– Jak długo to trwało? Jak długo?

– Zasnęłaś, Mamusiu – mówi Dziewczynka.

– Miałaś złe sny – mówi Chłopiec.

– Płakałaś.

Umysł Malorie pędzi. Co jej umknęło?

– Jak długo? – krzyczy po raz kolejny.

– Niezbyt długo – odpowiada Chłopiec.

– Macie opaski na oczach? Mówcie szybko!

– Tak – odpowiadają równocześnie.

– Łódka utknęła – mówi Dziewczynka.

Dobry Boże, myśli Malorie.

Po chwili uspokaja się i pyta:

– A jak udało się ją uwolnić?

Znajduje drobne ciało Dziewczynki. Przesuwa po jej ramionach, aż dociera do dłoni dziecka. Potem sięga w drugą stronę i znajduje Chłopczyka.

Każde z nich ma jedno wiosło. Wiosłują razem.

– My to zrobiliśmy, Mamusiu! – oznajmia Dziewczynka.

Malorie klęczy. Dociera do niej, że śmierdzi. Jak speluna. Jak toaleta.

Jak wymiociny.

– My ją uwolniliśmy – chwali się Chłopiec.

Teraz Malorie jest obok niego. Trzęsącymi dłońmi dotyka jego rączek.

– Jestem ranna – oznajmia dzieciom.

– Co takiego? – pyta Chłopiec.

– Chcę, żebyście teraz wrócili na swoje pozycje, tam, gdzie siedzieliście, zanim mama zemdląca. Szybko.

Dzieci przestają wiosłować. Dziewczynka mija ją i siada na ławce z tyłu. Malorie pomaga jej.

Potem sama ponownie siada na środku łódki.

Ramię pulsuje, ale nie jest już tak źle jak przedtem. Potrzebowała odpoczynku. Nie chciała go dać swemu ciału, więc ciało samo się o niego upomniało.

Umysł zaczyna całkowicie wracać do przytomności. Coraz bardziej paraliżuje ją strach.

A co jeśli to się powtórzy?

A co jeśli minęli już miejsce przeznaczenia?

Trzymając w dłoniach wiosła, Malorie bierze głęboki wdech, zanim znów zacznie wiosłować.

Potem płacze. Płacze, bo zemdląca. Płacze, bo zaatakował ją wilk. Płacze z miliona innych powodów, które nawet trudno nazwać. Ale wie, że po części płacze dlatego, że dzieci poradziły sobie same, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Dobrze je wyszkoliłaś, myśli.

I ta myśl, często przygnębiająca, teraz napawa ją dumą.

– Chłopczyku – mówi przez łyzy. – Musisz znów nasłuchiwać, okej?

– Nasłuchuję, Mamusiu.

– I ty, Dziewczynko, musisz robić to samo.

– Ja też nasłuchuję!

Czy to w ogóle możliwe, że nic nam się nie stało? Że zemdlącaś, potem ocknęłaś się i wszystko jest okej?

Nie może w to uwierzyć. To nie pasuje do zasad nowego świata. Przecież coś tu jest z nimi, na tej rzece. Szaleniec. Bestie. Istoty. A gdyby była dłużej nieprzytomna, to czy zaatakowałyby łódkę?

Szczęśliwie znów wiosłuje. Ale zagrożenie jest coraz bliżej.

– Przepraszam – mówi przez łyzy, wiosłując.

Jej nogi przesiąkły moczem, wodą i wymiocinami. Ale ciało odpoczęło.

Jakimś cudem, mimo okrucieństwa tego świata, udało jej się odpocząć.

Uczucie ulgi trwa tyle co jedno uderzenie wiosła. Potem Malorie znów wpada w stan gotowości i niekończącego się strachu.

Trzydzieści

Cheryl jest smutna.

Malorie słyszy, jak rozmawia z Felixem na końcu korytarza. Reszta domowników jest na dole. Gary sypia w jadalni, mimo twardej drewnianej podłogi. Odkąd do nich dołączył dwa tygodnie temu, bardzo ociepliła się jego relacja z Donem. Malorie nie wie, co o tym myśleć. Pewnie teraz też Don jest z Garym.

Na końcu korytarza Cheryl szepce nerwowo. W jej głosie słychać przerażenie. Właściwie to wszyscy są przerażeni. Bardziej niż zwykle. Nastrój panujący w domu, kiedyś nakręcany optymizmem Toma, teraz tonie w coraz większym mroku. Czasem Malorie wydaje się, że to gorsze od strachu. Tak właśnie teraz brzmi Cheryl. Malorie zastanawia się, czy nie dołączyć do nich i nie pocieszyć Cheryl, ale jednak rezygnuje.

– Robię to codziennie, Felixie, bo lubię to robić. To moja praca. Te kilka minut, które spędzam na zewnątrz, są dla mnie bardzo cenne. Przypominają mi o tym, że kiedyś miałam prawdziwą pracę. Dla której wstawałam codziennie rano. Z której byłam dumna. Karmienie ptaków to jedyne, co przypomina mi o poprzednim życiu.

– I możesz wyjść na zewnątrz.

– Tak, i mogę wyjść na zewnątrz.

Cheryl stara się kontrolować swój głos. Po chwili wychodzi.

Jest poza domem. Informuje o tym Felixa, mówi, że jest gotowa, by nakarmić ptaki. Obmacuje ścianę, żeby znaleźć pudełko. W prawym ręku ma plastry jabłka z puszki. Drzwi zamykają się za jej plecami. Jules czeka w środku. Z zasłoniętymi oczami Cheryl idzie powoli, trzymając się ściany domu, żeby nie stracić równowagi. Cegły ranią opuszki jej palców, ale wkrótce zamieniają się w drewniane panele, do których przybity jest hak. Na nim

właśnie wisi pudełko z ptakami.

Już je słyhać. Zawsze są głośne, gdy się do nich zbliża. Cheryl sama zgłosiła się do karmienia ptaków, gdy podczas wspólnej dyskusji pojawiła się ta kwestia. Od tego czasu robi to codziennie. W pewnym sensie czuje się, jakby ptaki należały do niej. Rozmawia z nimi, opowiada im o tym, co się dzieje w domu. Ich słodkie ćwierkanie uspokaja ją, jak kiedyś muzyka. Po natężeniu ich głosów potrafi ocenić, jak blisko pudełka się znajduje, i informuje o tym Felixa.

Ale teraz słyszy coś jeszcze.

Na końcu chodnika z przodu domu słyszy jakby nagle urwany tupot stóp. Tylko tak potrafi to opisać Felixowi. Tak jakby ktoś szedł i miał zamiar iść dalej, ale nagle się zatrzymał.

Podczas karmienia ptaków Cheryl zawsze jest czujna, w stanie gotowości, tym bardziej dziwi ją, że teraz cała się trzęsie.

– Czy ktoś tu jest? – pyta.

Nikt nie odpowiada.

Myśli, że powinna wrócić do drzwi. Powie im, że za bardzo się boi, by dziś nakarmić ptaki.

Tymczasem czeka.

Nie słyszy nic więcej.

Ptaki w pudełku są ożywione. Zaczyna do nich mówić, zdenerwowana.

– Cześć, moje małe. Witajcie.

Przeraża ją drżenie własnego głosu. Instynktownie pochyla głowę i zasłania się ręką, w której trzyma jabłka. Jakby ktoś miał dotknąć jej twarzy. Robi krok. Potem kolejny. W końcu dociera do pudełka. Czasami, mówiła to Felixowi, ten jej krótki spacer jest jak chodzenie w przestrzeni kosmicznej. Bez grawitacji.

I dziś tak się właśnie czuje, bardzo oderwana od ziemi. Wyjątkowo.

– Hej, hej – mówi i odsuwa pokrywę na tyle, żeby zmieściły się plasterki jabłek. Zazwyczaj słyszy tupot małych nóżek, gdy ruszają w stronę pokarmu. Ale nie dziś.

– Jedzcie, maluchy. Nie jesteście głodne?

Znów otwiera pokrywę i wrzuca resztkę jabłek. Mówi Felixowi, że to jej ulubiona część. Potem zamyka pudełko, przystawia ucho i słucha, jak te małe istotki jedzą.

Ale dziś nie jedzą. Zamiast tego nerwowo jazgoczą.

– Hej, hej – mówi Cheryl i próbuje uspokoić swój głos. – Jedzcie.

Odsuwa się od pudełka, bo myśli, że może to jej obecność je onieśmiela.

Ale gdy tylko to robi, zaczyna wrzeszczeć.

Coś dotyka jej ramienia.

Cheryl kręci się, po omacku, rozkłada szeroko ramiona. Niczego jednak już nie znajduje. Nie może się ruszyć. Nie może ruszyć nogami. Nie może pobiec do domu. Coś dotknęło jej ramienia, a ona nie wie co to.

Głosy ptaków nie są już słodkie, brzmią raczej tak, jak chciał tego Tom.

Alarmują.

– Kto tu jest?

Pyta cała w strachu, że ktoś jej w końcu odpowie. Nie chce usłyszeć żadnej odpowiedzi.

Chce krzyczeć. Ktoś z domowników przybiegnie i ją stąd zabierze. Ściągnie ją z powrotem na ziemię. Robi krok i słyszy, że nadepnęła na liść. W amoku próbuje sobie przypomnieć, jak pierwszy raz tu przyjechała. Jak spojrzała na dom przez okno samochodu. Czy było tu drzewo? Tu, przy chodniku?

Czy było tu drzewo?

Może dotknął ją spadający liść.

Tak łatwo można by to sprawdzić. Gdyby chociaż na chwilę mogła otworzyć oczy i zerknąć, czy jest sama. Mogłaby sprawdzić, czy to był liść. Tylko tyle.

Ale nie może tego zrobić.

Drżąc, opiera się plecami o ścianę domu, powoli przesuwając się w stronę drzwi. Na każdy dźwięk jej głowa odwraca się to w prawo, to w lewo. Ptak przelatuje gdzieś w górze. Liście szeleszczą w koronach drzew. Czuć lekki powiew wiatru. Cheryl, cała spocona, wyczuwa w końcu pod palcami cegłę i szybko rzuca się w stronę drzwi.

– Jezu – mówi Felix. – Naprawdę wydaje ci się, że to był liść?

Cheryl zastanawia się przez chwilę. Malorie wpada do przedpokoju.

– Tak – odpowiada. – Jestem pewna. Gdy sobie wszystko odtworzę od początku, to jestem całkowicie pewna.

Malorie wraca do swojego pokoju i siada na łóżku.

Przygoda Felixa przy studni i to wszystko, co słyszał... Victor szcękający pod zasłoniętymi oknami... Cheryl i ptaki...

Czy to możliwe, zastanawia się Malorie, że świat na zewnątrz i to wszystko, przed czym uciekają, zaczyna się kurczyć?

Trzydzieści jeden

Według Malorie odkąd dołączył do nich Gary, w domu zaszły ogromne zmiany. Nastąpił rozłam. To niby niewielka zmiana, ale w zaistniałych okolicznościach wydaje się bardzo duża.

Najbardziej martwi ją Don.

Najczęściej, gdy Tom, Jules i Felix rozmawiają w salonie, Don siedzi w jadalni z Garym. Jest bardzo zainteresowany historią człowieka, który ściągnął zasłony i otworzył drzwi. Malorie, za pomocą resztki proszku, pierze ubrania w kuchennym zlewie i słucha dwóch konwersacji jednocześnie. Gdy Tom i Jules robią z koszulek smycze dla psów, Gary tłumaczy Donowi, jak myślał Frank. Zawsze mówi o tym, jak myślał Frank. Nigdy o tym, co sam myśli.

– Nie wydaje mi się, żeby jedni byli przygotowani lepiej od innych – mówi Gary. – Wszystko przypomina mi bardziej film trójwymiarowy. Początkowo widzom wydaje się, że to, co widzą, naprawdę może w nich uderzyć. Odruchowo podnoszą ręce, żeby się ochronić. Lecz ludzie inteligentni od samego początku rozumieją, że są bezpieczni.

Przez Gary'ego umysłowość Dona zatoczyła jakiś dziwny krąg. Malorie wydaje się, że dokładnie wie, kiedy to się stało.

– Hej, ta teoria nie jest bardziej szalona od naszej.

Tak wtedy powiedział mu Don.

– Sytuacja jest trudna – mówi teraz Don. – Nie docierają do nas żadne nowe raporty.

– Dokładnie.

Tak, Don z człowieka, który nie chciał przyjąć Gary'ego pod ich dach, zamienił się w kogoś, kto spędza z nim każdą chwilę. Rozmawiają. Rozmawiają. I rozmawiają.

Jest sceptykiem, przekonuje samą siebie Malorie. Taką ma naturę. Potrzebował kogoś, z kim mógłby pogadać. Tylko tyle. Nie jest taki jak ty. Nie rozumiesz?

Ale te wnioski, jakkolwiek rozsądne, nie przekonują Malorie. Gary i Don używają takich słów jak histeria i rozmawiają o koncepcji, według której istoty nie mogą skrzywdzić kogoś, kto jest gotów na to, żeby je zobaczyć. Malorie wie jednak, że Don zawsze bardziej bał się ludzi niż istot. Choć z drugiej strony zawsze też zamykał oczy, gdy otwierano i zamykano drzwi. Nigdy nie wyjrzał przez okno. Nigdy nie wierzył w teorię, że istoty nie mogą nas skrzywdzić. Czy ktoś taki jak Gary mógłby go do tego przekonać?

Malorie chce o tym porozmawiać z Tomem. Chce poprosić go na stronę i zasugerować, żeby ukrócił te ich pogawędki. Albo przynajmniej żeby przemówił im do rozsądku. Może jego słowa jakoś na nich wpłyną... Może ich rozmowy nie będą brzmiały już tak przerażająco...

Tak, musi porozmawiać z Tomem o Donie.

Rozłam.

Przepełniona niepokojem przechodzi przez kuchnię i zagląda do salonu. Tom i Felix patrzą na mapę rozłożoną na podłodze. Przeliczają odległości na mapie na kroki. Jules uczy psy różnych komend.

Zatrzymaj się. Zaczynij od nowa.

– Musimy zmierzyć długość twojego przeciętnego kroku – mówi Felix.

– Co planujecie, chłopaki? – pyta Malorie.

Tom odwraca się do niej.

– Mierzymy dystans – odpowiada. – Ile moich kroków mieści się w jednym kilometrze.

Felix robi pomiary przy stopach Toma.

– Gdybym idąc, słuchał muzyki – tłumaczy Tom – mógłbym poruszać się w jej rytm. Wtedy kroki, które robiłbym na zewnątrz, byłyby podobnej długości do tych, które mierzymy teraz.

– Jak w tańcu – dodaje Felix.

Malorie odwraca się i widzi Olympię przy kuchennym zlewie. Myje naczynia. Malorie dołącza do niej i kończy robić pranie. Po tym, jak cztery miesiące temu Olympia przybyła do ich domu, straciła nieco ze swego blasku. Ma bladą skórę, oczy jakby zapadnięte.

– Martwisz się? – pyta nagle Olympia.

– Czym?

- Czy nam się uda.
- Co się uda?
- Przetrwąć porody.

Malorie chce powiedzieć koleżance, że wszystko będzie okej, ale nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Przez cały czas myśli o Donie.

– Zawsze pragnęłam mieć dziecko – mówi Olympia. – Byłam taka podekscytowana, że jestem w ciąży. Tak jakby coś się we mnie dopełniło. Wiesz, co mam na myśli?

Malorie nie czuła czegoś podobnego, ale mówi, że tak, wie.

– Och, Malorie, kto odbierze nasze porody?

Tego Malorie nie wie.

- Nasi współlokatorzy, nie rozumiem...
- Ale Tom nigdy wcześniej tego nie robił!
- Nie, ale był ojcem.

Olympia patrzy na swoje dłonie zanurzone w wiadrze.

– Wiesz co? – żartuje sobie Malorie. – Ja odbiorę twój poród, a ty mój.

– Coś podobnego! – Olympia mimo wszystko się uśmiecha. – Malorie, ty to jesteś!

Do kuchni wchodzi Gary. Nabiera szklanką wody z kubła stojącego na ladzie. Potem bierze drugą szklankę. Malorie wie, że to dla Dona. Gdy wychodzi, z salonu dobiegają dźwięki muzyki. Malorie wychyla się, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Tom trzyma małe radio na baterie. Leci jedna z kaset George'a. Felix, na czworakach, mierzy kroki Toma, gdy ten maszeruje w rytm muzyki.

– Co oni robią? – pyta Olympia.

– Wydaje mi się, że chcą dotrzeć do jakiegoś konkretnego miejsca. Chcą sprawniej przemieszczać się na zewnątrz.

Malorie po cichu podchodzi do wejścia od jadalni. Zagląda do środka i widzi Dona i Gary'ego, jak siedzą do niej tyłem, na krzesłach, i cicho rozmawiają.

Znów przechodzi przez kuchnię i wchodzi do salonu. Tom uśmiecha się do niej. W dłoni ma smycz. Husky bawią się z nimi, machają ogonami.

Uderza ją różnica między optymistycznymi działaniami w salonie a konspiracyjnymi szeptami w jadalni. Tylko o tym teraz może myśleć Malorie.

Znowu podchodzi do zlewu i zaczyna pracować. Olympia cały czas coś mówi, lecz myśli Malorie pochłonięte są czymś zupełnie innym. Pochyliła się do przodu

i widzi ramię Gary'ego. Obok niego, oparty o ścianę, spoczywa jedyny przedmiot, jaki przyniósł ze sobą.

Aktówka.

Pokazał zawartość teczki, gdy wszedł do domu. Don go o to poprosił. Ale czy ona dobrze się temu przyjrzała? Czy ktokolwiek dobrze się przyjrzał?

– A teraz zatrzymaj się! – wydaje komendę Tom.

Malorie odwraca się i widzi Toma wraz z dwoma psami w wejściu do kuchni. Oba husky siedzą. Tom nagradza je surowym mięsem.

Malorie dalej pierze. I ciągle myśli o aktówce.

Trzydzieści dwa

Wiedziała, że ten moment w końcu nadejdzie. Jak mogła się nie domyślić? Wiadomo było, odkąd tylko wrócili do domu z psami... Tom i Jules ćwiczyli z nimi po dziesięć, dwanaście godzin dziennie. W domu, potem na podwórku. Wykorzystując psy jako swoje oczy. Pudełko z ptakami wisi na ganku i działa niczym alarm. Tak jak przewidział Tom. Ptaki podniosły raban, gdy przyszedł Gary. Śpiewają, gdy Cheryl je karmi. Więc wykorzystanie psów i ponowna wyprawa w ten nowy, niezbadany świat były tylko kwestią czasu.

Ale teraz jest dużo gorzej. Bo zamierzają iść dalej.

Ile czasu im zajmie pokonanie pięciu kilometrów?

Pięć kilometrów. W takiej odległości znajduje się dom Toma. To tam chce się udać.

– To jedyne miejsce, którego jestem pewien na sto procent – powiedział. – Są tam zapasy. Potrzebujemy ich. Opatrunki. Coś na zakażenia. Aspiryna. Bandaże.

Na wieść o lekarstwach Malorie poprawia się nieco humor. Ale tak długa wyprawa Toma to dla niej zbyt wiele.

– Nie martw się – powiedział Felix tego wieczoru. – Wyznaczyliśmy precyzyjną trasę. Tom i Jules będą szli w rytm piosenki. Jednej piosenki. To *Halfway to Paradise*, którą śpiewa Tony Light. Wezmą ze sobą radio i będą ją na okrągło puszczać, przemieszczając się w wyznaczonych wcześniej przez nas kierunkach. Dokładnie wiemy, ile kroków przypada na każdy etap ich wyprawy.

– A więc będziecie sobie tam tańczyć – powiedział Gary. – Jak miło.

– Nie, nie będziemy tańczyć – odpowiedział Tom z agresją w głosie. – Idziemy po pomoc.

– Tom – odezwała się Cheryl. – Możecie ćwiczyć ile wlezie, ale wystarczy, że

wasze kroki będą o parę centymetrów dłuższe, i koniec... Zgubicie się. A jak wtedy, do cholery, wrócicie do domu? Nie uda wam się.

– Uda – powiedział Tom.

– Nawet jeśli się zgubimy, to nie będziemy zupełnie bezradni – dodał Jules. – Potrzebujemy tych zapasów. Wiesz o tym lepiej niż inni. Ostatnio to ty podliczałaś, ile jedzenia nam zostało.

Tak, ten dzień zbliżał się wielkimi krokami. Ale Malorie nie chciała tego.

– Tom... – Wzięła go na bok, zanim razem z Jules'em wyszli tego ranka. – Myślę, że nasz dom nie przetrwa, jeśli nie wrócisz.

– Wrócimy, Malorie.

– Wiem, wiem, wierzysz, że wszystko będzie okej. Nie wiem tylko, czy masz świadomość, jak bardzo ten dom cię potrzebuje.

– Malorie – powiedział Tom, gdy Jules zawołał, że jest gotowy do wymarszu.

– Dom potrzebuje nas wszystkich.

– Ale Tom...

– Nie daj się ponieść emocjom tak jak ostatnio. Cały czas pamiętaj o tym, że jednak wróciliśmy. I teraz też wrócimy. Bądź przywódcą. Pomagaj im, gdy dopadnie ich strach.

– Tom...

– Potrzebujesz leków, Malorie. Sterylizacji. Za moment rodzisz.

Było jasne, że Tom ma poczucie misji i gotów jest nieustannie ryzykować, żeby poprawić jakość ich egzystencji w domu.

Ostatnio przynieśli buciki dla dzieci, przypomniała sobie wtedy Malorie.

Teraz znów sobie o tym przypomina. Tom i Jules wyruszyli w pięciokilometrowy marsz w najbardziej niebezpiecznym świecie, o jakim Malorie słyszała.

Wyszli dziś rano. Felix jeszcze raz przeanalizował z nimi całą mapę. Gary ich zachęcał. Olympia podarowała im talizman, zapewniający ochronę kamień Petoskey, i przekonywała, że zawsze przynosił jej szczęście. Za to Malorie nie odezwała się ani słowem. Gdy po raz drugi drzwi zamykały się za plecami Toma, tym razem nie zawołała go. Nie przytuliła. Nie pożegnała się.

I zaledwie kilka godzin po ich wyjściu Malorie czuje z tego powodu wyrzuty sumienia.

Na szczęście słowa, które do niej powiedział przed odejściem, działają. Bez niego dom potrzebuje szefa. Kogoś, kto pozostanie spokojny wśród ogromnego niepokoju i uzasadnionego strachu.

Lecz nie jest to łatwe. Domownicy nie mają ochoty na optymizm.

Cheryl zauważa, że szanse na spotkanie istot są znacznie większe w tak długim marszu niż podczas kółka wokół domu. Przypomina też wszystkim, że wcale nie wiadomo, jak na to coś mogą zareagować zwierzęta. Co stanie się Tomowi i Jules'owi, gdy tym razem husky coś zobaczą? Zostaną pożarci? A może coś jeszcze gorszego?

Zresztą nie tylko Cheryl snuje czarne scenariusze.

Don sugeruje, że trzeba będzie stworzyć kolejną grupę, która będzie musiała wyjść z domu, jeśli Tom i Jules nie wrócą.

– Potrzebujemy więcej jedzenia – wyjaśnia. – Bez względu na to, czy wrócą, czy nie.

Olympia mówi, że rozboliła ją głowa. Tłumaczy, że zwiastuje to nadejście gwałtownej burzy. A to oznacza, że Tom i Jules zmienią obliczenia Felixa, ponieważ będą musieli znaleźć schronienie.

Cheryl przyznaje jej rację.

Don postanawia iść do piwnicy, żeby „osobiście” sprawdzić stan zapasów oraz zobaczyć, czego dokładnie brakuje i gdzie ewentualnie będzie można to zdobyć.

Olympia zaczyna mówić coś o piorunach i przebywaniu w tym czasie na otwartym terenie.

Cheryl i Felix dyskutują o mapie. Cheryl twierdzi, że mapy już nic nie znaczą.

Don robi ustalenia dotyczące spania.

Olympia opisuje tornado, które przeżyła w dzieciństwie.

Cheryl i Felix zaczynają się nakręcać.

Olympia brzmi nieco histerycznie.

Don zaczyna się wściekać.

Malorie ma dość narastającej paniki i w końcu się odzywa:

– Moi drodzy, czekają na nas obowiązki. Tu, w domu. Trzeba zrobić kolację. Wiadro z odchodami dziś jeszcze w ogóle nie było wyniesione. Można byłoby też lepiej zorganizować piwnicę. Feliksie, my ponownie przeszukamy podwórko, może znajdziemy jakieś narzędzia. Być może coś przeoczyliśmy. Coś, co mogłoby nam się przydać. Cheryl, trzeba nakarmić ptaki. Gary, Don, może zajmiecie się telefonowaniem. Wykręcajcie każdą kombinację cyfr. Kto wie, może gdzieś się dodzwonicie. Olympia, bardzo byś pomogła, gdybyś wyprała pościel. Wprawdzie zrobiliśmy to w zeszłym tygodniu, ale biorąc pod

uwagę, jak rzadko sami się myjemy, czyste prześcieradła poprawią trochę nasz komfort.

Wszyscy patrzą na Malorie, jakby spadła z księżyca. Przez chwilę jest jej głupio, że wyszła przed szereg. Ale okazuje się, że strategia działa.

Gary cicho idzie do telefonu. Cheryl – do piwniczki.

„Za moment rodzisz”, powiedział Tom, zanim wyszedł.

Malorie myśli teraz o tym. Pozostali zajęli się domowymi obowiązkami, a ona i Felix biorą swoje opaski. Malorie myśli też o tym, z czym wrócą Tom i Jules. Czy jest coś wyjątkowego, co mogliby przynieść? Coś, co polepszyłoby życie jej dziecka?

Malorie ma na to wielką nadzieję.

Zakłada opaskę.

Trzydzieści trzy

– Rzeka rozdziela się na cztery kanały – powiedział jej mężczyzna. – Musisz wybrać drugi od prawej. Więc trzymaj się prawej strony, a może uda ci się trafić. Nie będzie łatwo. I będziesz musiała otworzyć oczy.

Malorie wiosłuje.

– Dowiesz się, kiedy nadejdzie właściwy moment – powiedział mężczyzna. – Usłyszysz nagranie. Głos. Nie możemy siedzieć nad rzeką cały dzień. To zbyt niebezpieczne. Dlatego ustawimy tam głośniki. Nagranie będzie zapętłone. Na pewno je usłyszysz. Będzie głośne i wyraźne. I właśnie wtedy otworzysz oczy.

Ból w ramieniu przychodzi falami. Dzieci, słysząc jej jęki, proponują pomoc.

W pierwszym roku życia maluchów głos Toma towarzyszył jej przez cały czas. Niektóre z jego pomysłów nie zostały nigdy zrealizowane. Malorie, nie mając nic innego do roboty, postanowiła wiele z nich wypróbować.

– Musimy umieścić w ogródku mikrofony – powiedział kiedyś.

Tom chciał zmodernizować system alarmowy i zamienić ptaki na głośniki. Malorie, teraz sama z niemowlętami, bardzo potrzebowała tych mikrofonów.

Ale skąd? Skąd miała wziąć mikrofony, wzmacniacze, kable?

– Możemy gdzieś pojechać – powiedział Tom.

– To szaleństwo – odpowiedział Don.

– Właśnie że nie. Będziemy jechać wolno. Ulice są puste. Co takiego może się stać?

Malorie wiosłuje i przypomina sobie decydujący moment przed lustrem w łazience. Widziała w nim twarze przyjaciół. Olympii. Toma. Shannon. Wszyscy błagali, namawiali ją, żeby wyszła z domu, żeby zrobiła coś więcej dla bezpieczeństwa dzieci.

Tym razem jednak sama musiała podjąć ryzyko. Nie było ani Toma, ani Jules'a, którzy mogliby zrobić to za nią.

Głos Toma. Wszechobecny głos Toma. W jej głowie. W pokoju. W lustrze.

Zrób zderzak wokół dżipa Cheryl. Pomaluj okna na czarno. Nie przejmuj się, jeśli w coś wjedziesz. Po prostu jedź dalej. Jedź osiem, dziesięć kilometrów na godzinę. Teraz w domu są dzieci, Malorie. Musisz wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Czy coś jest blisko. Mikrofony ci w tym pomogą.

Wyszła z łazienki i poszła do kuchni. Potem zaczęła studiować mapę, z której kiedyś Felix, Jules i Tom korzystali, żeby zaplanować wyprawę do domu Toma. Ciągłe widniały na niej ich notatki. Obliczenia Felixa. Używając skali, zrobiła własne.

Chciała mieć zaawansowany system alarmowy wymyślony przez Toma. Potrzebowała go. Jednak mimo całej determinacji, nie miała pojęcia, skąd go wziąć.

Pewnego dnia, późnym wieczorem, gdy dzieci już spały, usiadła przy kuchennym stole i próbowała sobie przypomnieć moment, w którym przyjechała do domu. Było to niecały rok temu. Wtedy skupiała się na adresie z ogłoszenia. Ale co mijiała po drodze?

Szuka tego w pamięci.

Pralnia.

Dobrze. Co jeszcze?

Witryny sklepów były puste. Miasto było zupełnie wymarłe i martwiłaś się, czy miejsce z ogłoszenia będzie jeszcze istnieć. Myślałaś, że albo wszyscy zwariowali, albo już dawno wsiedli do samochodu i uciekli gdzieś daleko.

Tak, dobrze. Co jeszcze?

Piekarnia.

Dobrze. Co jeszcze?

Coś jeszcze?

Tak.

Bar.

Dobrze. Co było na afiszu?

Nie wiem. Co za absurdalne pytanie!

Nie pamiętasz, jak smutno ci się zrobiło, gdy zobaczyłaś nazwę... nazwę...

Czego?

Nazwę kapeli?

Kapeli?

Przeczytałaś nazwę kapeli, która miała grać dwa tygodnie wcześniej. Co to było?

Nigdy sobie nie przypomnę, jak się nazywali.

No dobrze, a co z uczuciem?

Nie pamiętam.

Owszem, pamiętasz. Uczucie.

Byłam smutna. Bałam się.

Co oni tam robili?

Co?

W barze. Co oni tam robili?

Nie wiem. Pili. Jedli.

Tak. Co jeszcze?

Tańczyli?

Tak, tańczyli.

Tak.

I?

I co?

Jak tańczyli?

Nie wiem.

Do czego tańczyli?

Tańczyli do muzyki. Tańczyli do muzyki granej przez kapelę.

Malorie przykłada rękę do czoła i uśmiecha się.

Tak. Tańczyli do muzyki granej przez kapelę.

A zespół potrzebował mikrofonów. Zespół potrzebował wzmacniaczy.

Tom trwał w domu jak duch.

Zrób to tak jak my, powiedziałaby. Jak wtedy, kiedy ja i Jules obeszlśmy okolicę. Wtedy nie mogliśmy zrobić wielu rzeczy, Malorie, ale ty możesz. Jules i ja poszliśmy szukać psów, a później użyliśmy ich, żeby dotrzeć do mojego domu. Pomyśl o tym, Malorie. Jedne czyny pociągały za sobą kolejne, wynikały z siebie. Tylko dlatego, że odrzuciliśmy stagnację. Podejmowaliśmy ryzyko. Teraz ty musisz zrobić to samo. Pomaluj szybę na czarno.

Don śmiał się, gdy Tom zaproponował jeżdżenie na ślepo.

Ale ona dokładnie to zrobiła.

Victor, on mógł jej pomóc. Jules kiedyś nie zgodził się, żeby wykorzystywać jego psa do takich rzeczy. Ale Malorie miała dwa noworodki w pokoju na końcu korytarza. Zasady gry się zmieniły. Ciało jeszcze ją bolało po porodzie. Mięśnie pleców miała wciąż napięte. A gdy poruszyła się zbyt energicznie, miała wrażenie, że pęknie jej krocze. Szybko się męczyła. Nie miała czasu na

odpoczynek należny świeżo upieczonej matce.

Victor, pomyślała wtedy. *On cię ochroni.*

Pomalowała przednią szybę na czarno. Farbę wzięła z piwnicy. Przykleiła skarpety i swetry po wewnętrznej stronie szyby. Za pomocą kleju do drewna i taśmy klejącej przymocowała koce i materace do zderzaków. Wszystko to zrobiła na ulicy. Z zasłoniętymi oczami. Przez cały czas doświadczając okropnego bólu po porodzie. Jakby ciało karało ją za każdy ruch.

Musiała zostawić dzieci. Musiała pojechać sama.

Musiała przejechać pół kilometra w przeciwnym kierunku niż poprzednio, gdy tu przybyła. Skręcić w lewo i jechać jeszcze siedem kilometrów. Potem skręcić w prawo i pokonać kolejne cztery. Gdzieś tam poszukać baru. Musiała wziąć jedzenie dla *Victora*. On, gdy będzie trzeba, zaprowadzi ją z powrotem do samochodu. Gdzie będzie czekać na niego jedzenie.

Osiem, dziesięć kilometrów na godzinę brzmiało rozsądnie. Bezpiecznie.

Lecz gdy tylko ruszyła po raz pierwszy, przekonała się, jakie to trudne.

Choć bardzo uważała, prowadzenie po omacku było straszne. Dżip gwałtownie podskoczył, gdy na coś najechała, nie miała pojęcia na co. Dwadzieścia razy wjechała w krawężnik. Dwa razy w słup. Raz w zaparkowany samochód. Wyobrażenia podsuwała jej okropne wizje. Z każdym kliknięciem licznika spodziewała się kolizji, wypadku. Kompletna klęska. Gdy wróciła do domu, nerwy miała w strzępach. Nic ze sobą nie przywiozła i bała się, że nie znajdzie w sobie odwagi, żeby zrobić to jeszcze raz.

Ale zrobiła. Dopiero za dziewiątym razem, gdy dżip był już strasznie poobijany, znalazła bar.

Pralnię znalazła za siódmym razem. A ponieważ pamiętała ją ze swojej podróży do domu, dodało jej to odwagi. Z zasłoniętymi oczami, przerażona, dotarła do sklepu z butami, kawiarni, sklepiku z lodami i teatru. Słyszała, jak jej buty stukają po marmurowej posadzce w holu biurowca. Przewróciła na podłogę stojak z pocztówkami. Ciągle jednak nie mogła znaleźć baru. I w końcu, dziewiątego popołudnia, *Malorie* przeszła przez drewniane drzwi i od razu wiedziała, gdzie jest.

Czuć było zapach skwaśniałych owoców, stęchły smród dymu i piwa. Niemniej jednak bardzo ją to wszystko ucieszyło. Uklękła i objęła *Victora* za szyję.

– Znaleźliśmy bar – powiedziała.

Bolało ją całe ciało. Umysł odmawiał posłuszeństwa. W ustach miała sucho. Wyobrażała sobie, że jej brzuch to przebity balon.

Ale dotarła tam, gdzie miała dotrzeć.

Długo szukała drewnianego kontuaru. Wpadała na krzesła, walnęła łokciem w stojak. Raz się potknęła, ale stół uchronił ją przed upadkiem. Dużo czasu zajęło jej rozpoznawanie palcami sprzętów. Czy to była kuchenka? Czy to coś do mieszania koktajli? Victor szturchnął ją zaczepnie, a ona, odwróciwszy się, wpadła na coś twardego. I to właśnie był kontuar. Przywiązała Victora do czegoś, co chyba było stalowym stołkiem. Potem weszła za bar i znalazła butelki. Każdy ruch przypominał jej o tym, że niedawno urodziła. Po kolei przystawiała wszystkie butelki do nosa. Whisky. Coś brzoskwiniowego. Coś cytrynowego. Wódka. Dżin. I, na koniec, rum. Zupełnie jak wówczas, gdy domownicy urządzili sobie przyjęcie, w dniu przybycia Olympii.

Butelka dobrze leżała w ręku. Jakby czekała na nią tysiąc lat. Przeniosła ją przez całą długość kontuaru. Znalazła stołek, usiadła, przystawiła butelkę do ust i się napiła.

Alkohol błogo rozlał się po jej ciele. I na krótką chwilę ból zelżał.

W swoich własnych ciemnościach wyobraża sobie, że istota może siedzieć obok niej przy barze. Może był tu ich cały tłum. Siedzą po trzy przy stoliku. Obserwują ją w milczeniu. Rozbitą kobietę z opaską na oczach i psem przewodnikiem. Ale wtedy, w tamtej chwili, nie przejmowała się tym.

– Victor – powiedziała. – Chcesz trochę? Chcesz?

Boże, ale dobrze.

Znów się napiła, przypominając sobie, jak fajny może być popołudniowy wypad do baru. Zapomnieć o dzieciach. Zapomnieć o domu. Zapomnieć o wszystkim.

– Victor, ale to dobre.

Zorientowała się jednak, że pies zajęty jest czymś innym. Ciągnął smycz przywiązaną do stołka.

Malorie wypila następny łyk. Victor zawył.

– Victor? Co się dzieje?

Pies zaczynał ciągnąć coraz bardziej. Wył, nie warczał. Malorie zaczęła się temu przysłuchiwać. Brzmiał, jakby był bardzo zaniepokojony. Wstała więc, odwiązała smycz i pozwoliła mu prowadzić.

– Gdzie idziesz, Victor?

Wiedziała, że prowadził ją tam, skąd przyszli, czyli do wyjścia. Wpadała po

drodze na różne sprzęty. Łapy psa poślizgnęły się na kafelkach, a Malorie walnęła się o krzesło.

Zapach zrobił się coraz silniejszy. Śmierdziało barem. I czymś jeszcze.

– Victor?

Pies zatrzymał się. Zaczął drapać coś na podłodze.

To mysz, myślała Malorie. Musi być ich tu całe mnóstwo.

Zatoczyła przed sobą łuk stopą, aż w końcu doszła do czegoś małego i twardego. Odsunęła Victora na bok i wymacała ostrożnie podłogę.

Pomyślała o dzieciach i o tym, że umrą bez niej.

– Co się dzieje, Victor?

Wyczuła coś jakby kółko. Z metalu. Do tego krótka linka. Sprawdziwszy po omacku, Malorie domyśliła się, co to jest. Wstała.

– To drzwi do piwnicy, Victor.

Pies głośno dyszał.

– Zostawmy to. Mam tu coś innego do załatwienia.

Ale Victor znów ją ciągnął.

Tam na dole mogą być ludzie, myślała Malorie. Ukrywają się. Żyją pod ziemią. Ludzie, którzy mogliby pomóc ci wychować dzieci.

– Jest tu kto? – krzyknęła, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi.

Pot zaczął kapać jej spod opaski. Victor drapał pazurami w drewno. Malorie myślała, że jej ciało pęknie na pół, gdy klękała i podnosiła klapę w podłodze.

Smród, który stamtąd się wydobył, całkowicie ją przytkał. Malorie poczuła, że rum podchodzi jej pod gardło, i zwymiotowała dokładnie tam, gdzie stała.

– Victor – powiedziała, podnosząc się. – Tam na dole coś gnije. Coś...

Nagle poczuła paralizujący strach. Ale nie taki jak wówczas, gdy prowadziła na ślepo samochód. Taki, który ją oszołomił, bo mimo zasłoniętych oczu nagle zrozumiała, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze.

Sięgnęła do klapy, bo wystraszyła się, że może spaść do piwnicy na to coś, cokolwiek, co leży tam na dole. A tak nie pachnie zepsute jedzenie. Ani skwaszony alkohol.

– Victor!

Ale pies wyrywał się, za wszelką cenę chciał dotrzeć do źródła tego smrodu.

– Victor! Uspokój się!

Tyle że on nie chciał się uspokoić.

Tak śmierdzi grób. Śmierć.

Szybko, nieprzytomna ze strachu, Malorie wyciągnęła psa z pomieszczenia

i wróciła do kontuaru. Zaczęła szukać słupka. Znalazła drewniany. Przywiązała smycz i ujęła w dłonie głowę psa, błagając go, żeby się uspokoił.

– Musimy wrócić do dzieci – powiedziała mu. – Musisz się uspokoić.

Malorie też musiała się uspokoić. Uspokoić swoje emocje.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak psy reagują na istoty. Nigdy tego nie odkryliśmy.

Po omacku odwróciła się w stronę korytarza prowadzącego do piwnicy.

– Victor... – Do oczu zaczęły napływać jej łzy. – Co zobaczyłeś tam na dole?

Pies stał nieruchomo. Dyszał ciężko. Zbyt ciężko.

– Victor?

Wstała i odeszła od niego.

– Muszę się rozejrzeć. Muszę poszukać mikrofonów.

Poczuła, że jakaś część niej zaczyna umierać. Jakby sama zaczęła tracić zmysły. Przypomniał się jej Jules. Jules, który kochał tego psa bardziej niż siebie samego.

Pies był jej ostatnim łącznikiem z domownikami.

Nagle Victor wydał z siebie pełen cierpienia pomruk. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby tak robił. Nigdy nie słyszała, żeby jakikolwiek pies wydawał takie dźwięki.

– Przepraszam. Przepraszam, że tu przyszliśmy.

Pies szarpnął się gwałtownie i Malorie pomyślała, że zaraz uda się mu uwolnić ze smyczy. Drewniany słupek zaczął pękać.

Victor zaszczekał.

Malorie, wycofując się, poczuła pod nogami coś jakby podnózek.

– Victor. Nie. Błagam. Przepraszam.

Pies szarpał się, uderzając w stół.

– Boże! VICTOR! Przestań charczeć! Przestań! Błagam!

Ale Victor nie mógł przestać.

Malorie wymacała za swoimi plecami obity dywanem podnózek. Wspięła się na niego, nie chcąc odwracać się do tyłu, w kierunku tego, co zobaczył pies. Skulona, trzęsła się ze strachu i słuchała, jak pies traci zmysły. Jak robi siku. Jak kłapie zębami.

Malorie krzyknęła. Odruchowo sięgnęła po jakieś narzędzie, coś, czym mogłaby się obronić. Namacała coś jakby mały stalowy pręt.

Wstała, powoli, sprawdzając jego długość.

Victor dalej łapał zębami powietrze. Znów kłapnął. Brzmiało to tak, jakby

pękały mu zęby.

Na górze stalowego pręta palce Malorie namacały mały owalny przedmiot. To końcówka, jakby pokryta siatką.

Westchnęła.

Była na scenie. I miała w rękach to, po co przyszła.

Znalazła mikrofon.

Usłyszała, jak pęka kość Victora. Rozerwała się jego skóra, a potem całe ciało.

– Victor!

Schowała mikrofon do kieszeni i upadła na kolana.

Zabij go, pomyślała.

Ale nie potrafiła tego zrobić.

W amoku zaczęła przeszukiwać scenę. W tle słyszała, jak Victor prawdopodobnie szarpie własną nogę.

Ciało odmawia ci posłuszeństwa. Victor umiera. Ale w domu czeka na ciebie dwójka dzieci. Potrzebują cię, Malorie. Potrzebują cię potrzebują cię potrzebują cię.

Łzy popłynęły jej z oczu i rozlały się pod opaską. Oddech zamienił się w szloch. Na czworakach podążyła za kablem prowadzącym do małego kwadratowego przedmiotu stojącego na skraju sceny. Znalazła jeszcze trzy kable połączone z trzema kolejnymi mikrofonami.

Victor zaczął wydawać z siebie dźwięki zupełnie nie psie. Brzmiał niemal jak człowiek w akcie desperacji. Malorie zebrała wszystko, co znalazła.

Wzmacniacze, na tyle małe, że mogła je unieść. Mikrofony. Kable. Podstawki.

– Przepraszam, Victor. Tak bardzo mi przykro. Przepraszam.

Podniosła się, choć wydawało jej się, że nie da rady. Myślała, że gdyby miała w sobie ociupinkę mniej siły, to padłaby na zawsze. A jednak wstała. Victor przez cały czas się szarpał. Malorie próbowała iść, przesuając się wzdłuż ściany. W końcu udało jej się zejść ze sceny.

Victor coś zobaczył. Gdzie to teraz jest?

Nie mogła powstrzymać łez. Na szczęście silniejsze uczucie zaczęło brać górę: święty spokój. Macierzyństwo. Odruch ten wydał jej się obcy, ale przecież musiała zająć się dziećmi zupełnie sama.

Przeszła przez bar, podeszła do Victora i poczuła, że dotknęła jakiejś części jego ciała. Czy to jego bok? Czy pysk? Czy chce się z nią w ten sposób

pożegnać? Czy może pokazał jej język?

Idąc dalej przez bar, Malorie podążała w stronę wyjścia. Kłapa od piwnicy była gdzieś blisko, ale Malorie dokładnie nie wiedziała gdzie.

TRZYMAJCIE SIĘ ODE MNIE Z DALEKA! TRZYMAJCIE SIĘ ODE MNIE Z DALEKA!

Próbując przenieść sprzęt, Malorie zrobiła kolejny krok i poczuła, że nie ma gruntu pod nogami.

Prawie straciła równowagę.

Ale udało jej się ustać.

Gdy z krzykiem wybiegała z baru, jej głos brzmiał obco.

Na skórze poczuła ciepło promieni słonecznych.

Szybko ruszyła w stronę samochodu.

W głowie miała zamęt. Wszystko działo się tak szybko. Poślizgnęła się na betonowym krawężniku i mocno uderzyła o auto. Jak szalona wrzuciła wszystko na tył, a gdy w końcu usiadła za kierownicą, załkała.

Okrucieństwo. Ten świat. Victor.

Włożyła kluczyki do stacyjki i już miała je przekręcić, kiedy nagle zlała się zimnym potem. Zamarła.

Czy coś mogło wejść do samochodu i siedzieć teraz obok niej na fotelu pasażera?

Jeśli tak, to właśnie zawiezie to coś wprost do dzieci.

Żeby wrócić do domu, mówiła do siebie (nawet głos w jej głowie drżał, nawet głos w jej głowie brzmiał, jakby płakała), *będziesz musiała spojrzeć na licznik*.

Zaczęła machać rękami, jej ramiona uderzały w deskę rozdzielczą, w dach, waliły w szyby.

Zdarła z oczu opaskę.

Zobaczyła czarne okna. Była sama.

Przy pomocy licznika przejechała cztery kilometry, potem kolejne siedem do Shillingham, a potem pięćset metrów do domu. Wjeżdżała na każdy krawężnik i w każdy znak drogowy. Przy prędkości dziesięć kilometrów na godzinę podróż trwała wieki.

Zaparkowała i zabrała wszystko, co znalazła. Weszła do domu, a potem zamknęła za sobą drzwi. Poczuła się bezpieczna i otworzyła oczy. Od razu pobiegła do pokoju dzieci.

Nie spały. Miały czerwone buzie. Płakały. Były głodne.

Jakiś czas później leżała na zimnej kuchennej podłodze i cała się trzęsła.

Patrząc na mikrofony i dwa małe wzmacniacze, przypominała sobie dźwięki, jakie wydawał Victor.

Psy nie są na to odporne. Psy też mogą zwariować. Psy nie są odporne.

A gdy tylko chciała przestać płakać, od razu przychodziła kolejna fala łez.

Trzydzieści cztery

Malorie jest w łazience na górze. Jest późno i w domu panuje cisza. Wszyscy śpią.

Myśli o teczce Gary'ego.

Tom powiedział jej, żeby była liderem grupy. Ale ta teczka ciągle ją męczy. Podobnie jak nagle zainteresowanie Dona Garym. Do tego wszystko, co mówi Gary, jest przerysowane i sztuczne. Przynajmniej według Malorie.

Wtykanie nosa w nie swoje sprawy jest złe. Gdy ludzie zmuszeni są żyć razem na jednej przestrzeni, poszanowanie prywatności to podstawa. Ale czy to nie jest jej obowiązek? Żeby pod nieobecność Toma sprawdzić, czy jej złe przeczucia się potwierdzą?

Malorie zaczyna nasłuchiwać, co dzieje się w korytarzu. W domu panuje całkowity bezruch. Wychodzi z łazienki i odwraca się w stronę pokoju Cheryl. Widzi zarys jej śpiącej sylwetki. Zagląda do Olympii i słyszy ciche pochrapywanie. Malorie schodzi po schodach, trzymając się poręczy.

Wchodzi do kuchni i włącza światło nad kuchenką. Jest przyćmione i cichutko brzęczy. Ale wystarczy. Gdy przekracza próg pokoju, widzi, że podąża za nią wzrok Victora. Felix śpi na kanapie. Miejsce, w którym zazwyczaj śpi Tom, jest puste.

Przechodzi przez kuchnię do jadalni. Na szczęście światło znad kuchenki dociera wystarczająco daleko i Malorie widzi Gary'ego, który śpi na podłodze. Leży na plecach.

Malorie się zastanawia.

Teczka leży oparta o ścianę, tuż obok mężczyzny. Na wyciągnięcie jego ręki.

Malorie ostrożnie przemierza jadalnię. Deski w podłodze skrzypią pod jej ciężarem. Staje i przygląda się zarośniętej twarzy oraz delikatnie rozchylonym ustom Gary'ego. Mężczyzna lekko, równomiernie poświstuje.

Malorie wstrzymuje oddech, robi krok w jego stronę i zastyga. Pochyla się nad nim, obserwuje uważnie, nie rusza się.

W końcu klęka.

Gary parska. Serce Malorie podchodzi do gardła. Czeka.

Żeby dostać się do teczki, musi sięgnąć ręką ponad jego tułowiem. Wisi nad nim, kilka centymetrów od jego koszuli. W końcu jej palce łapią za uchwyt i wtedy Gary znów parska. Malorie odwraca się.

Gary patrzy na nią.

Kobieta zamiera. Wpatruje się w jego oczy.

Oddycha z ulgą, gdy widzi, że oczy Gary'ego są ciągle zamknięte. Zmyliły ją cienie.

Szybko podnosi aktówkę, wstaje i wychodzi z pokoju.

Podchodzi do drzwi piwnicy, staje i nasłuchuje. W jadalni panuje bezruch. Drzwi do piwniczki otwiera bezszelestnie, powolutku, ale nie może nic poradzić na skrzypiące zawiasy. Wydaje się, że teraz hałasują bardziej niż zazwyczaj. Jakby otwierały się wszystkie drzwi w całym domu.

Uchyła je tylko na tyle, by mogła się precyzyjnie, i wślizguje się do środka. W domu znów zapada całkowita cisza.

Malorie powoli podąża schodami na klepisko.

Jest zdenerwowana, nie może znaleźć sznurka, który zapala żarówkę. Gdy w końcu jej się to udaje, pomieszczenie zalewa jasne, żółte światło. Zbyt jasne. Jakby mogło obudzić Cheryl, która śpi dwa piętra wyżej.

Malorie rozgląda się po pomieszczeniu i czeka.

Jedyne, co słyszy, to swój ciężki oddech. Nic więcej.

Boli ją całe ciało. Powinna odpocząć. Ale teraz jedyne, czego chce, to dowiedzieć się, co Gary ze sobą przyniósł.

Podchodzi do drewnianego stołka. Siada.

Otwiera teczkę.

W środku znajduje zużytą szczoteczkę do zębów.

Skarpetki.

Koszulki.

Koszulę do garnituru.

Dezodorant.

Dokumenty.

Notatnik.

Malorie patrzy na drzwi. Nasłuchuje kroków. Lecz nie słyszy żadnych.

Wyjmuje notatnik spomiędzy ubrań i kładzie teczkę na ziemi.

Notatnik jest schludny. Ma niebieską okładkę. Rogi nie są zagięte. Tak jakby Gary chciał utrzymać go w jak najlepszym stanie.

Malorie otwiera go.

Czyta.

Charakter pisma jest tak staranny, że aż ją to przeraża. Litery napisane z wielką dbałością. Ktokolwiek je pisał, robił to z pasją. I dumą. Malorie przerzuca strony i zauważa, że niektóre zdania zapisane są tradycyjnie, od lewej do prawej, inne zaś odwrotnie – od prawej do lewej. Jeszcze inne, te bliżej środka notatnika, zaczynają się na górze strony i idą w dół. Na końcu zdania tworzą równiutkie spirale, bardzo dokładnie wyrysowane, oraz dziwne wzory stworzone ze słów.

„Poznanie granic ludzkiego umysłu to zbadanie wszystkich możliwości tych istot. Jeśli w grę wchodzi pojmowanie, wtedy, oczywiście, zetknięcie się z nimi będzie przebiegało inaczej w przypadku każdego człowieka. Moje granice są inne niż twoje. Zupełnie inne niż u tych małpisonów, które ze mną mieszkają. Oni, ogarnięci hiperboliczną histerią, są bardziej podatni na cechy, które przypisujemy tym istotom. Innymi słowy, te prostaki o ptasich mózdkach nie przetrwają. Ale ktoś taki jak ja, no cóż, ja już udowodniłem swoje racje”.

Malorie przerzuca stronę.

„Jacy ludzie kulą się ze strachu, gdy nadchodzi koniec świata? Gdy ich bracia targają się na własne życie, gdy na amerykańskich przedmieściach króluje mord i przemoc... Jacy ludzie ukrywają się za kocami i opaskami? Odpowiedź brzmi: większość. Wmówiono im, że postradają zmysły. I tak się dzieje”.

Malorie patrzy na schody piwnicy. Przez szczelinę pod drzwiami wpada cienka strużka światła znad kuchenki. Myśli, że powinna była je zgasić. Myśli, że może teraz powinna to zrobić. Ale przerzuca kolejną stronę.

„Sami to sobie robimy sami to sobie robimy sami TO SOBIE ROBIMY. Innymi słowy (podkreślam to!): ISTOTĄ, KTÓREJ SIĘ BOIMY, JEST CZŁOWIEK”.

To notatnik Franka. Ale dlaczego Gary wziął go ze sobą?

Bo sam to napisał.

Bo, Malorie jest o tym przekonana, to nie Frank zerwał zasłony w tamtym domu.

Gary to zrobił.

Malorie wstaje, serce jej wali.

Toma nie ma. Tom wyruszył na pięciokilometrową wyprawę do swojego domu.

Patrzy na stopnie schodów, na wpadające światło. Czeka, aż zobaczy tam czyjś cień. Rozgląda się za jakimś przedmiotem do obrony. Czymś, czym mogłaby go zabić, jeśli tu przyjdzie.

Ale żaden cień się nie pojawia, więc Malorie przybliżyła do twarzy notatnik.

Czyta.

„Z racjonalnego punktu widzenia nie mam wyboru, muszę udowodnić ludziom swoją teorię. I napiszę o tym tysiąc razy, żeby przekonać samego siebie. Dwa tysiące. Nawet trzy. Ludzie ci nie chcą żadnej debaty. Tylko twardy dowód może ich zmienić. Ale jak to zrobić? Jak sprawić, by uwierzyli?

Zdejmę zasłony i otworzę drzwi”.

Na marginesach porobione są notatki, a odpowiadająca im numeracja skrupulatnie zapisana jest na górze strony. 2343. 2344. Nieprzerwane, niekończące się, okrutne.

Malorie przechodzi do następnej strony.

Na górze słychać jakiś hałas.

Patrzy na drzwi. Boi się ruszyć, nawet mrugnąć okiem. Czeka i patrzy.

Ze wzrokiem wbitym w drzwi sięga po aktówkę i wsuwa notatnik pod rzeczy Gary’ego. Czy włożyła go dobrą stroną? Tak jak było wcześniej?

Nie wie. NIE WIE!

Zamyka teczkę i pociąga za sznureczek od światła.

Malorie zamyka oczy. Pod stopami czuje zimną ziemię. Otwiera oczy. Panują całkowite ciemności, tylko przez szparę wpada światło z kuchni.

Malorie patrzy i czeka.

Przechodzi przez piwnicę. Wzrok przyzwyczajają się do ciemności. Ostrożnie wchodzi po schodach i przykładają ucho do drzwi.

Nasłuchuje, jej oddech jest nierówny. W domu znów jest cicho.

Gary na pewno stoi na drugim końcu kuchni. I patrzy na drzwi do piwnicy. Gdy otworzysz, to cię powita.

Malorie czeka. I czeka. Nic nie słyszy.

Otwiera drzwi. Zawiasy skrzypią.

Z aktówką w ręku rozgląda się po kuchni. Cisza wydaje się aż głośna.

Ale nikogo nie ma. Nikt na nią nie czeka.

Kładzie dłoń na brzuchu, przeciska się przez szparę i zamyka za sobą drzwi.

Patrzy na salon. Potem na jadalnię.

Potem znów na salon. I znów na jadalnię.

Na paluszkach przechodzi przez kuchnię i dociera do posłania Gary'ego.

Mężczyzna ciągle śpi na plecach. Jego pierś unosi się i opada. Lekko pochrapuje.

Malorie podchodzi. Mężczyzna porusza się. Malorie czeka.

Poruszył się...

Ale on tylko ruszył ręką.

Malorie bacznie go obserwuje, wpatruje się w jego twarz, w jego zamknięte oczy. Szybko klęka obok, dosłownie kilka centymetrów od niego, i kładzie teczkę z powrotem pod ścianą.

Czy dobrze ją ustawiłam?

Zostawia ją. Wstaje i czym prędzej wychodzi z pokoju. W kuchni, w świetle lampy, napotyka czyjś wzrok.

Malorie zamiera.

To Olympia.

– Co robisz? – pyta szeptem.

– Nic. – Malorie niemal traci oddech. – Myślałam, że coś tu zostawiłam.

– Miałam okropny sen – mówi Olympia.

Malorie podchodzi do niej i odprowadza koleżankę na górę. Razem wchodzą po schodach. Na piętrze Malorie odwraca się i patrzy na dół.

– Muszę o wszystkim powiedzieć Tomowi – wyrywa się jej.

– O moim śnie?

Malorie patrzy na Olympię i kręci głową.

– Nie, nie. Przepraszam. Nie.

– Malorie?

– Tak.

– Wszystko okej?

– Muszę porozmawiać z Tomem.

– Ale jego nie ma.

Malorie ciągle patrzy na dół. Nie zgasiła światła nad kuchenką. Oświetla ono wejście do salonu, więc gdyby ktoś teraz wchodził do kuchni, widziałaby jego cień.

Wpatruje się w półmrok. Czeka. Czeka, aż pojawi się cień. A na pewno się pojawi.

Patrzy i myśli o tym, co przed chwilą powiedziała Olympia.

Toma nie ma.

Dom przypomina jej wielkie pudło. Chce się z niego wydostać. Tom i Jules, mimo że wyszli na zewnątrz, nadal w nim tkwią. Cały świat jest w nim zamknięty. Został zredukowany do kartonowego pudła, takiego jak to, w jakim mieszkają ptaki. Malorie wie, że Tom próbuje lekko uchylić przykrycie. Szuka drogi ucieczki. Ale Malorie martwi się, czy przypadkiem na górze nie ma kolejnej przykrywki, i kolejnej, i jeszcze kolejnej.

Utkwiliśmy w pudle, myśli. Na zawsze.

Trzydzieści pięć

Mija już tydzień, odkąd Tom i Jules razem z psami wyruszyli z domu. Malorie najbardziej na świecie chce, żeby wrócili. Chce usłyszeć pukanie do drzwi i chce poczuć wielką ulgę z powodu ich powrotu. Chce usłyszeć ich opowieść o tym, co im się przydarzyło i co widzieli. Chce powiedzieć Tomowi o tym, co przeczytała w piwnicy.

Wczoraj nie poszła już spać. Leżąc w ciemnościach swojej sypialni, rozmyślała wyłącznie o notatkach Gary'ego. Teraz jest w korytarzu. Wygląda na to, że chce się ukryć przed resztą domowników.

Nie może porozmawiać z Felixem. Mógłby zareagować zbyt nierozważnie. Mógłby coś powiedzieć. A jeśli to się stanie, to Malorie chce tu mieć Toma i Jules'a. Felix mógłby ich potrzebować.

Kto wie, do czego zdolny jest Gary. Kto wie, co zrobił do tej pory.

Nie może powiedzieć o tym Cheryl. Cheryl jest gwałtowna i silna. Szybko wpada w złość. Mogłaby zrobić coś głupiego, i to nawet szybciej niż Felix.

A Olympia tylko jeszcze bardziej by się wystraszyła.

Malorie nie może też sama rozmówić się z Garym. Nie robi tego. Nie bez Toma.

Może, mimo zmiany przekonań i nieprzewidywalnych nastrojów, mogłaby pogadać z Donem.

Przecież jest w nim jakieś dobro. Zawsze było.

Gary od tygodni wodzi Dona na pokuszenie. Don potrzebował w domu kogoś takiego. Kogoś, kto patrzy na świat w podobny sposób. Ale czy w tej sytuacji nie powinien zadziałać czasem jego sceptycyzm? Dlaczego, po tych wszystkich rozmowach, nie przyjdzie mu do głowy, że z jego kompanem jest coś nie tak?

Gary śpi z teczką pod ręką. Pilnuje jej. Oraz notatek, które trzyma w środku.

Wszystko w tym nowym świecie jest okropne, myśli. Ale nic nie poruszyło jej tak jak odkrycie dziennika Gary'ego. I to akurat wtedy, kiedy nie ma Toma.

Może nie być go jeszcze bardzo długo.

Przestań.

Może nigdy nie wrócić.

Przestań.

Już może być martwy. Obaj mogli zostać zabici na ulicy. Człowiek, na którego tak czekasz, może być już martwy od tygodnia i może leżeć na trawniku pod domem.

Ale to nieprawda. On wróci.

Może.

Wróci.

Może.

Przecież dokładnie ustalili z Felixem całą trasę.

Co wie Felix?

Wszystko planowali razem. Tom przecież nie podjąłby ryzyka, gdyby nie był pewien, że ma szansę.

Pamiętasz nagranie wideo, które obejrzał George? Tom go bardzo przypomina.

PRZESTAŃ!

Ale jest do niego podobny. George był dla niego wzorem. A co z psami?

Nie wiemy, jak psy reagują na istoty.

Nie. Też mogą wariować. Możesz sobie wyobrazić, jakby to wyglądało? Pies, któremu kompletnie odbija?

Błagam... tylko nie to.

Musi tak myśleć. Musi brać taki obrót spraw pod uwagę. Tom może nie wrócić.

Ale wróci wróci wróci...

Lecz jeśli nie wróci, będziesz musiała komuś powiedzieć.

Tom wróci.

Minął już tydzień.

ON WRÓCI!

Nie możesz porozmawiać z Garym. Pogadaj z kimś innym.

Z Donem.

Nie. Nie. Nie z nim. Z Felixem. Don cię zabije.

Co??

Don się zmienił, Malorie. Jest inny. Nie bądź naiwna.

Przecież nie skrzywdziłby nas.

Tak. Skrzywdziłby. Zatlukłby nas wszystkich siekierą.

PRZESTAŃ!

Nie zależy mu na życiu. Powiedział, że będziesz musiała oślepić własne dziecko, Malorie.

Nie skrzywdziłby nas.

Zrobiłby to. Porozmawiaj z Felixem.

Felix wszystko rozgada.

Poproś go, żeby tego nie robił. Porozmawiaj z Felixem. Tom może nigdy nie wrócić.

Malorie opuszcza korytarz. Cheryl i Gary są w kuchni. Gary siedzi przy stole. Wyjmuje owoce z puszki.

– Dzień dobry – mówi w taki sposób, jakby był odpowiedzialny za atmosferę tego dnia.

Malorie wydaje się, że Gary wie. Wie, co zrobiła.

Nie spał nie spał nie spał.

– Dzień dobry – odpowiada i wychodzi do salonu.

Felix siedzi przy telefonie. Mapa leży rozłożona na stoliku kawowym.

– Nic z tego nie rozumiem – mówi zagubiony Felix. Nie wygląda dobrze. Ostatnio nie jadł zbyt dużo. Jego pewność siebie sprzed tygodnia zupełnie się ulotniła. – Już tyle czasu minęło, Malorie. Oczywiście Tom wie, jak o siebie zadbać tam na zewnątrz. Ale to trwa już tak długo...

– Musisz się skupić na czymś innym – sugeruje Cheryl, wyglądając zza rogu.

– Na serio, Felix. Skup się na czymś innym. Bo jak tak dalej pójdzie, to równie dobrze możesz wyjść na zewnątrz bez opaski. Po prostu zwariujesz.

Felix głośno wydycha powietrze i przeczesuje palcami włosy.

Nie może porozmawiać z Felixem. Jego morale spada. Jego morale już spadło. W oczach ma pustkę. Traci wrażliwość. Siłę. Moc.

Malorie wychodzi bez słowa. W korytarzu mijają Dona. Słowa, o których rozmyśla, cisną się jej na usta. Omal nie zaczyna mówić:

Don, Gary nie jest dobrym człowiekiem. Jest niebezpieczny. Ma w swojej teczce notatnik Franka.

Co takiego, Malorie?

To, co powiedziałam.

Zacząłaś węszyć? Przeszukałaś rzeczy Gary'ego?

Tak.

Dlaczego mi o tym mówisz?

Don, ja po prostu muszę z kimś o tym porozmawiać. Rozumiesz mnie, prawda?

Dlaczego nie zapytamy Gary'ego? Hej, Gary!

Nie. Nie może porozmawiać z Donem. Z nim też się coś dzieje. Może stać się agresywny. Gary też.

Jedno pchnięcie i stracisz dziecko.

Wyobraża sobie, jak Gary stoi na szczycie schodów, a jej połamane, krwawiące ciało leży skulone na dole.

Lubisz sobie poczytać w piwnicy, LUBISZ? Więc zdechnij tu sobie razem ze swoim dzieckiem.

Za plecami słyszy, jak wszyscy domownicy rozmawiają w salonie. Cheryl z Felixem. Gary z Donem.

Malorie odwraca się i idzie w stronę głosów, do salonu.

Opowie im wszystkim.

Gdy wchodzi, czuje się jak sople lodu. Jakby się topiła. Jakby rozpadała się na kawałki. Czuje ogromną presję przez to, co nieuniknione.

Cheryl i Olympia siedzą na kanapie. Felix czuwa przy telefonie. Don siedzi w fotelu, a Gary stoi przodem do zakrytych okien.

Gdy Malorie otwiera usta, żeby coś powiedzieć, Gary wolno spogląda na nią przez ramię. Patrzy jej w oczy.

– Malorie, czy chciałabyś nam o czymś powiedzieć? – pyta gwałtownie.

Nagle Malorie uświadamia sobie, że wszyscy na nią patrzą. Czekają, aż coś powie.

– Tak, Gary. Chcę.

– Co takiego? – dopytuje Don.

Słowa więzną jej w gardle. Wspinają się jak stonoga, docierają do ust. W końcu chcą wyjść na zewnątrz.

– Pewnie wszyscy pamiętacie, jak Gary... – Milknie. Wszyscy zwracają się w stronę koców.

Ptaki bardzo hałasują.

– To Tom – stwierdza desperacko Felix. – To musi być on!

Gary znów patrzy Malorie prosto w oczy. W tym samym momencie ktoś puka do drzwi.

Wszyscy biegną do korytarza. Felix dopada do drzwi. Malorie i Gary zostają

sami.

On wie on wie on wie on wie on wie.

Tom woła zza drzwi, a Malorie trzęsie się ze strachu.

On wie.

Po chwili, usłyszawszy głos Toma, Gary wychodzi z salonu.

Gdy drzwi frontowe otwierają się, padają te same co zawsze pytania, a domownicy mają zamknięte oczy. Do środka wpada zimne powietrze, do Malorie zaś dociera, jak blisko było rozmówienia się z Garym pod nieobecność Toma.

Słysząc psie łapy na posadzce. Odgłos butów. Coś uderza we framugę. Drzwi szybko się zamykają. Szczotki jeżdżą po ścianach. Tom zaczyna mówić. Jego głos brzmi jak wybawienie.

– Chciałem do was zadzwonić z mojego domu. Ale nie działał cholerny telefon.

– Tom – odzywa się Felix. Jest jak nakręcony, choć nadal słaby. – Wiedziałem, że wam się uda. Wiedziałem!

Gdy Malorie otwiera oczy, nie myśli już o Garym. Nie ma już przed oczami starannie wykaligrafowanych liter, które leżą w aktówce.

Teraz liczy się tylko to, że Tom i Jules wrócili do domu.

– Złupiliśmy sklep spożywczy – mówi Tom. A brzmi to nierealnie. – Ktoś już zrobił to przed nami, ale i tak zostało dużo przysmaków.

Jest zmęczony, ale wygląda dobrze.

– Psy znakomicie się spisały. Prowadziły nas. – Jest dumny i szczęśliwy. – Wziąłem z domu coś, co na pewno ucieszy was jeszcze bardziej.

Felix pomaga mu z workiem. Tom rozpina go i coś wyciąga. Potem upuszcza to na podłogę.

To książka telefoniczna.

– Zadzwonimy pod każdy numer – zarządza. – Pod każdy jeden. Ktoś kiedyś musi odebrać.

To tylko książka telefoniczna, lecz dzięki Tomowi staje się ona latarnią morską w ciemnościach.

– A teraz – mówi Tom – zjedzmy coś.

Wszyscy, bardzo podekscytowani, szykują jadalnię. Olympia rozkłada naczynia. Felix napełnia szklanki wodą z wiader.

Tom wrócił.

Jules wrócił.

– Malorie! – woła Olympia. – Mamy mięso z kraba!

Malorie, zawieszona między dwoma światami, wchodzi do kuchni i zaczyna pomagać przy kolacji.

Trzydzieści sześć

Ktoś ich śledzi.

Nie ma sensu pytać w kółko, jak daleko jeszcze. Nie ma pojęcia, kiedy usłyszy nagranie będące sygnałem, że dotarła gdzie trzeba. Nawet nie wie, czy to miejsce jeszcze istnieje. Po prostu wiosłuje, byle się nie zatrzymać.

Godzinę temu minęli coś, co brzmiało jak walka lwów. Słysząc było ryki. W górze pokrzykują drapieżne ptaki. W lesie coś warczy i parska. Teraz nurt rzeki jest bardziej wartki. Malorie przypomina sobie namiot, który Tom i Jules znaleźli na ulicy przed domem. Czy tu też, zupełnie bez sensu, mogłoby być coś takiego? Coś, w co mogą wpaść?

Wie, że tutaj może się przydarzyć wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

Teraz jednak o wiele bardziej niepokoją ją konkretne sprawy.

Ktoś ich śledzi. Tak, Chłopiec też to usłyszał. Tajemnicze echo. Jakby ten ktoś wiosłował w tym samym rytmie co Malorie.

Kto to może być? I dlaczego nie skrzywdził ani jej, ani dzieci, gdy straciła przytomność.

Może ktoś też postanowił uciec ze swego domu?

– Chłopczyku – mówi cicho. – Powiedz mi, co słyszysz.

Chłopiec wsłuchuje się.

– Nie wiem, Mamusiu.

Jest mu wstyd.

– Czy wciąż tu są?

– Nie wiem!

– Słuchaj.

Malorie rozważa zatrzymanie się. Zawrócenie. Sprawdzenie, co za hałasy za nimi podążają.

„Nagranie będzie zapętłone. Na pewno je usłyszysz. Będzie głośne i wyraźne. I właśnie wtedy otworzysz oczy”.

Co za nimi podąża?

– Chłopczyku – odzywa się znów. – Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Malorie przestaje wiosłować. Wokół łódki płynie woda.

– Nie wiem, co to jest – odpowiada malec.

Malorie wciąż czeka. Na prawym brzegu szczeka pies. Potem rozlega się kolejne szczekanie, jakby w odpowiedzi na to pierwsze.

Dzikie psy, myśli Malorie. Kolejne wilki.

Zaczyna znowu wiosłować. I znów pyta Chłopca, co słyszy.

– Przepraszam, Mamusiu! – krzyczy Chłopiec, a w jego głosie słychać, że płacze.

Wstydzi się.

Nie wie.

Przez ostatnie kilka lat nie zdarzyła się taka sytuacja, żeby Chłopiec nie umiał rozpoznać jakiegoś dźwięku. Czyli tego, co teraz słyszy, nie słyszał nigdy wcześniej...

Ale Malorie wciąż wierzy, że mały może pomóc.

– Jak daleko stąd to się znajduje? – pyta.

– Nie dam rady! – Chłopiec płacze.

– Ciszej bądź! – syczy do niego.

Na lewym brzegu słychać chrumkanie. Przypomina odgłos świni. Za moment kolejne i kolejne.

Rzeka wydaje się bardzo wąska. Brzegi są bardzo blisko. Za blisko.

Czy coś ich śledzi?

Malorie wiosłuje.

Trzydzieści siedem

Po raz pierwszy odkąd przybyła do domu, Malorie wie coś, czego nie wiedzą inni.

Tom i Jules właśnie wrócili z wyprawy. Gdy domownicy szykowali kolację, Tom zaniósł nowe zapasy do piwnicy. Malorie poszła za nim. Może Gary zatrzymał notatnik Franka, bo chciał go przestudiować. A może sam to wszystko napisał. Nie wiadomo, ale Tom musiał się o tym dowiedzieć. Teraz.

W świetle piwnicy Tom wyglądał na zmęczonego, ale i zadowolonego. Jego jasne włosy były brudne. Może nawet się postarzał, odkąd Malorie rozmawiała z nim tu po raz pierwszy. Na pewno schudł. Metodycznie wyjmował puszki z worków i ustawiał je na półkach. Zaczął nawet opowiadać o tym, jak było w sklepie, i o smrodzie zgniłego jedzenia. Malorie myślała, że to dobry moment, żeby z nim porozmawiać.

Ale dosłownie w tym samym momencie drzwi od piwniczki się otworzyły.

To Gary.

– Chciałbym ci pomóc – powiedział do Toma z wierzchołka schodów.

– Dobra. To chodź tu na dół.

Malorie wyszła, gdy tylko Gary dotarł na sam dół.

Teraz wszyscy siedzą przy stole. A Malorie wciąż czeka, aż nadarzy się okazja.

Tom i Jules powoli opowiadają, co wydarzyło się podczas ich wyprawy. Historia jest niesamowita, lecz Malorie myśli tylko o Garym. Każda mijająca minuta to dla niej strata czasu, bo Tom ciągle nie wie, że Gary może być dla nich zagrożeniem.

Malorie czuje się, jakby wszyscy oni byli tu gośćmi, gośćmi Gary'ego. Jakby Gary i Don byli tak mili i zaprosili ich do własnej jadalni, ich ulubionego miejsca rozmów. Obaj spędzają tu tak dużo czasu, że wokół unosi się ich

zapach. Czy dołączyliby do grupy, gdyby kolację podano w salonie? Malorie sądzi, że raczej nie.

Tom opisuje wrażenia z wyprawy, a Gary jest przyjacielski, rozmowny i dociekliwy. Za każdym razem, gdy otwiera usta, Malorie ma ochotę wrzasnąć na niego, żeby się zamknął. Chciałaby mu powiedzieć: „Najpierw wszystko wyjaśnij”.

Ale czeka.

– Czyli możecie stwierdzić – mówi Gary z ustami pełnymi kraba – z całkowitą pewnością, że istoty nie działają na zwierzęta?

– Nie, nie powiedziałbym tego – odpowiada Tom. – Jeszcze nie. Może nie natknęliśmy się na nie.

– To mało prawdopodobne – mówi Gary.

Malorie ma ochotę krzyczeć.

Tom oznajmia, że ma kolejną niespodziankę.

– Twój worek jest jak kapelusz magika – żartuje Gary, uśmiechając się.

Tom wraca z małym brązowym pudełkiem. Wyciąga z niego osiem trąbek rowerowych.

– Znaleźliśmy je w sklepie – wyjaśnia. – W dziale z zabawkami.

Daje każdemu domownikowi po jednej trąbce.

– Na tej jest moje imię – zauważa Olympia.

– Każda jest podpisana – mówi Tom. – Zrobiłem to z zawiązanymi oczami, flamastrem.

– Po co nam one?

– Przybliżyliśmy się o kilka centymetrów do prawdziwego życia i zaczniemy spędzać troszkę więcej czasu na zewnątrz. – Tom siada. – Dzięki trąbkom będziemy mogli sygnalizować nasze położenie.

Gary trąbi. Dźwięk przypomina gęs. A gdy nagle wszyscy zaczynają trąbić, brzmi to jak stado rozwrzeszczanych gęsi.

Cienie pod oczami Felixa rozjaśniają się, gdy się uśmiecha.

– A to wisienka na torcie. Tom znów sięga do worka i wyciąga butelkę. To rum.

– Tom! – upomina go Olympia.

– Tak naprawdę to był prawdziwy powód, dla którego chciałem iść do swojego domu – żartuje Tom.

Malorie słyszy śmiech domowników, widzi, jak uśmiechają się, i nie może już dłużej wytrzymać.

Wstaje i uderza dłońmi w stół.

– Przejrzałam teczkę Gary’ego – oznajmia. – Znalazłam w niej notatnik, o którym nam opowiadał. Ten o zrywaniu koców z okien. Ten, który Frank ponoć zabrał ze sobą.

W pokoju zapada cisza. Wszyscy teraz na nią patrzą. Policzki Malorie płoną od gorąca. Na czole pojawia się pot.

Tom, ciągle trzymając butelkę rumu, przygląda się twarzy Malorie. Potem wolno odwraca się w stronę Gary’ego.

– Gary?

Gary patrzy na koniec stołu.

Gra na czas, myśli Malorie. Gnojek gra na czas, żeby zebrać myśli.

– No cóż, nawet nie wiem, co powiedzieć... – mówi w końcu Gary.

– Grzebałaś w cudzych rzeczach? – pyta Cheryl i wstaje.

– Tak, grzebałam. Wiem, że złamałam zasady panujące w domu, ale musimy porozmawiać o tym, co znalazłam.

W pokoju znów zapada milczenie. Malorie ciągle stoi. Czuje ogromne napięcie.

– Gary? – ponagla go Jules.

Gary opada na oparcie krzesła. Bierze głęboki wdech. Krzyżuje ręce na piersi. A potem prostuje je. Wygląda na poruszonego. Zdenerwowanego. Ale potem szeroko się uśmiecha. Wstaje i podchodzi do teczki. Przynosi ją i stawia na stole.

Wszyscy patrzą na aktówkę i tylko Malorie bacznie obserwuje twarz Gary’ego.

Ten szybko otwiera małą walizeczkę i wyciąga notatnik.

– Tak – oznajmia. – Mam go. Zabrałem ze sobą zeszyt Franka.

– Franka? – powtarza za nim Malorie.

– Tak. – Gary odwraca się do niej, a potem wchodzi na swój teatralny, wyszukany ton i mówi: – Ty wścibska panno.

Nagle wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Felix wypytuje o notatnik. Cheryl chce wiedzieć, kiedy Malorie go znalazła. Don celuje w Malorie palcem i krzyczy.

W tym chaosie Gary, wciąż patrząc na Malorie, rzuca jej w twarz:

– Ty nawiedzona ciężarna suko!

Doskakuje do niego Jules. Psy szczekają. Tom rozdziela mężczyzn. Krzyczy, żeby wszyscy zachowali spokój.

– Uspokójcie się!

Malorie nie rusza się. Cały czas wpatruje się w Gary’ego.

Jules odpuszcza.

– Musi nam to natychmiast wyjaśnić – wybuchają Don. Podskakuje i z wściekłością wbija palec w Malorie.

Tom spogląda na nią i pyta:

– Malorie?

– Nie ufam mu.

Ale współlokatorzy czekają na więcej.

– Co było w tym notatniku? – dopytuje Olympia.

– Olympio! – rzuca ostro Malorie. – Notatnik leży na stole. Przeczytaj go sama, do kurwy nędzy.

W tym momencie Felix chwyta zeszyt.

– Dlaczego zostawiłeś sobie pamiątkę po kimś, kto naraził cię na śmierć? – żąda wyjaśnień.

– Właśnie dlatego go zabrałem – odpowiada przekonująco Gary. – Chciałem poznać jego sposób myślenia. Mieszkałem z nim wiele tygodni i nigdy nie przypuszczałbym, że może nas zabić. Może chciałem, żeby to było dla mnie ostrzeżenie. Żebym nigdy nie zaczął myśleć tak jak on. Żeby nikt inny nie zaczął.

Malorie gwałtownie kręci głową.

– Powiedziałeś nam, że Frank zabrał go ze sobą.

Gary chce coś odpowiedzieć od razu, ale chwilę się zastanawia.

– Nie mam na to żadnej dobrej odpowiedzi – mówi w końcu. – Po prostu wydawało mi się, że będziecie wystraszeni, jeśli powiem, że mam go ze sobą. Myślcie sobie, co chcecie, ale ja wolę ufać samemu sobie. Nie obwiniam was o przeszukanie moich rzeczy, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich żyjemy. Ale dajcie mi chociaż prawo do obrony.

Tom przegląda notatnik. Słowa przesuwiają się przed jego oczami.

Potem przez jego ramię zagląda Don. Zamiast złości na jego twarzy pojawia się zakłopotanie.

W obawie, że zaraz coś może pójść nie tak i że zwykle głosowanie może nie rozwiązać problemu, Malorie wskazuje na Gary’ego palcem i mówi:

– Nie możesz tu zostać. Musisz odejść.

– Malorie – odzywa się Don z lekkim wahaniem w głosie. – Daj spokój. Pozwól mu to wszystko wyjaśnić.

– Don – wtrąca się Felix. – Odjebało ci?

Trzymając zeszyt w dłoniach, Don zwraca się do Gary'ego:

– Zdajesz sobie sprawę, jak źle to wygląda?

– Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę.

– To nie jest twój charakter pisma? Możesz to udowodnić?

Gary wyjmując z teczki pióro i pisze swoje imię na kartce notatnika.

Tom spogląda na to przez chwilę.

– Gary – mówi w końcu. – Musimy się naradzić. Zostań tu, jeśli chcesz. I tak będziesz słyszał, o czym rozmawiamy w pokoju obok.

– Rozumiem – odpowiada Gary. – Jesteś kapitanem tego statku. Twoje słowa są dla mnie rozkazem.

Malorie ma ochotę mu przywalić.

– Dobrze – spokojnie zwraca się do reszty Tom. – Więc co robimy?

– Musi odejść – wypala bez chwili wahania Cheryl.

Wtedy Tom zaczyna głosowanie.

– Jules?

– On nie może tu zostać, Tom.

– Felix?

– Chciałbym powiedzieć nie. Chciałbym powiedzieć, że nie możemy głosować za tym, żeby wyrzucić kogoś z domu. Ale jak wytłumaczyć to, że ma ten notatnik?

– Tom – odzywa się Don. – Tym razem nie głosujemy za tym, żeby na zewnątrz wyszedł ktoś, kto tego chce. Teraz głosujemy za tym, żeby kogoś wyrzucić na siłę. Chcesz mieć to na sumieniu?

Tom nie odpowiada i odwraca się w stronę Olympii.

– Olympia?

– Tom... – nalega Don.

– Ty już oddałeś swój głos, Don.

– Nie możemy tak po prostu kogoś wyrzucić.

Notatnik leży na stole. Jest otwarty. Widać każde napisane w nim słowo.

– Przykro mi, Don.

Don patrzy na Olympię z nadzieją w oczach.

Lecz ona nie odpowiada. I nie ma to żadnego znaczenia. Domownicy podjęli już decyzję.

Gary wstaje. Bierze swój notatnik ze stołu i wkłada go z powrotem do teczki. Staje za swoim krzesłem i unosi wysoko brodę. Bierze głęboki wdech. Kiwa

głową.

– Tom, czy mógłbym wziąć jeden z twoich hełmów? – pyta. – Będę musiał chodzić od domu do domu.

– Oczywiście – odpowiada cicho Tom.

Tom wychodzi. Wraca po chwili z nakryciem głowy i jedzeniem. Wręcza to wszystko Gary’emu.

– Czy to tak działa? – pyta Gary, dopasowując pasek do swojej głowy.

– To jakiś koszmar... – lamentuje Olympia.

Tom pomaga Gary’emu założyć hełm. Potem odprowadza go do frontowych drzwi. Reszta podąża za nimi.

– Wydaje mi się, że wszystkie domy w okolicy są puste. Możesz wybrać, który chcesz.

– Taaak. – Gary uśmiecha się nerwowo pod opaską. – To bardzo pocieszające.

Malorie gotuje się w środku z wściekłości. Bacznie obserwuje Gary’ego.

Kiedy zamyka oczy, gdy wszyscy to robią, słyszy, jak drzwi otwierają się i zaraz potem zamykają. Przez chwilę wydaje jej się, że słyszy, jak Gary idzie po trawie. Kiedy Malorie otwiera oczy, nie ma z nimi Dona. Zastanawia się, czy może odszedł z Garym, lecz słyszy, że ktoś jest w kuchni.

– Don?

Mężczyzna chrząka. Malorie wie, że to on.

Don mówi coś pod nosem. Otwiera drzwi do piwnicy, a potem trzaska nimi. Pewnie to kolejne przekleństwa pod adresem Malorie.

Gdy wszyscy w ciszy rozchodzą się, do Malorie dociera, co zrobili.

Teraz Gary może pójść gdziekolwiek.

Został skazany na banicję.

Jak wyrzutek.

Co jest gorsze?, pyta samą siebie. Kiedy tu był, można było mieć go na oku, a teraz, gdy poszedł, nie ma takiej możliwości.

Trzydzieści osiem

Czy to Gary cię śledzi?

Dźwięk dobiegający z tyłu ciągle im towarzyszy.

Chce cię wystraszyć? Może napaść na ciebie w każdej chwili.

Gary.

To było cztery lata temu!

Czy przez te lata czekał, żeby się na tobie zemścić?

– Mamusiu – szepce Chłopiec.

– Co takiego?

Boi się, co od niego usłyszy.

– Ten dźwięk coraz bardziej się przybliża.

Gdzie był Gary przez te wszystkie lata? Obserwował cię? Czekał przed domem? Patrzył, jak dzieci rosną? Patrzył, jak świat robi się coraz zimniejszy, ciemniejszy? Jak nadchodzi mgła? Mgła, która, jak naiwnie wierzyłaś, może dać ci schronienie? On i tak wszystko widział. Nawet we mgle. Widział wszystko, co zrobiłaś. WIDZIAŁ cię, Malorie. Wszystko, co zrobiłaś.

– Cholera! – krzyczy. – To niemożliwe! – A potem odwraca głowę do tyłu, aż w końcu mięśnie stawiają opór. – Zostaw nas w spokoju!

Wiosłowanie nie idzie jej już tak dobrze jak na początku. Nie tak jak rano. Wtedy miała dwa silne ramiona. Była pełna energii. Przez cztery lata gromadziła ją w sobie.

Po tym wszystkim, co przeszła, nie chce wierzyć w to, że Gary za nią podąża. To byłby okrutny chichot losu. On, prześladowający ją przez cały ten czas... Nie istoty, tylko on.

ISTOTĄ, KTÓREJ SIĘ BOIMY, JEST CZŁOWIEK.

To zdanie... Zdanie napisane przez Gary'ego, te sześć słów towarzyszy jej od tamtej nocy w piwnicy, gdy przeczytała jego notatnik. Czy to prawda? Czego się najbardziej bała, gdy słyszała przetworzony przez wzmacniacze dźwięk łamanego patyka na trawniku przed domem? Zwierzęcia? Istoty?

Czy człowieka?

Gary. Zawsze Gary.

Mógł wejść do domu, kiedy tylko chciał. Mógł wybić okno. Mógł zaatakować ją, gdy szła po wodę. Na co miał czekać? Zawsze przyczajony gdzieś z boku, czyhający na nich, jednak nie przechodził do ataku.

To szalenie. W starym tego słowa znaczeniu.

ISTOTĄ, KTÓREJ SIĘ BOIMY, JEST CZŁOWIEK.

– Czy to człowiek, Chłopczyku?

– Nie wiem, Mamusiu.

– Czy ktoś wiosłuje?

– Tak, ale rękami, nie wiosłami.

– Czy ten ktoś jest w pośpiechu? Czy na coś czeka? Powiedz mi coś więcej.

Mów wszystko, co słyszysz.

Kto cię śledzi?

Gary.

Kto cię śledzi?

Gary.

Kto cię śledzi.

Gary Gary Gary Gary.

– Ten ktoś chyba nie płynie łódką – mówi nagle Chłopiec, a w jego głosie słyhać dumę, ponieważ w końcu usłyszał coś, czego jest pewien.

– Co masz na myśli? Ktoś płynie wplaw?

– Nie, Mamusiu. Nie płynie. Idzie.

Gdzieś w oddali słyszy coś, czego nigdy wcześniej nie słyszała. Jakby uderzenie pioruna. A jednak jakby trochę inne. I ptaki, te, co siedzą w koronach drzew, już nie śpiewają, nie ćwierkają, tylko jazgoczą.

Hałas ten potęgowany jest przez echo, które niesie się ponad rzeką. Malorie czuje coraz chłodniejsze październikowe powietrze.

Wiosłuje.

Trzydzieści dziewięć

Don jest w piwnicy. Don ciągle jest w piwnicy. Teraz tam śpi. Może kopie jakiś tunel? Tam, gdzie była dziura w ścianie? Czy próbuje się gdzieś przekopać, gdzieś w głąb ziemi? Żeby jak najdalej od nich uciec? A może pisze? Może pisze takie same rzeczy, jakie Malorie przeczytała w notatniku Gary'ego?

Gary.

Nie ma go od pięciu tygodni. Co zrobił z umysłem Dona?

Czy Don potrzebował kogoś takiego jak Gary? Czy potrzebował innej koncepcji?

Don coraz bardziej zapada się w sobie, tak jak coraz bardziej zapada się w czeluściach domu, bo przeniósł się do piwnicy.

Zawsze jest w piwnicy.

Czterdzieści

Teraz Malorie wydaje się, że będzie to ostatnia jej noc w tym domu. A przecież okaże się, że spędzi w nim jeszcze cztery lata. Patrzy w lustro. Jej brzuch jest przerażająco wielki i Malorie czasem ma wrażenie, że za moment odpadnie od reszty ciała.

– Teraz możesz przyjść na świat właściwie w każdej chwili – mówi do dziecka. – Mam ci do powiedzenia tyle rzeczy, ale jest dużo takich, o których nie chcę rozmawiać.

Jej czarne włosy są już bardzo długie. Ostatnio miała takie w dzieciństwie. Shannon zawsze była o nie zazdrosna.

– Ty wyglądasz jak księżniczka. A ja tylko jak siostra księżniczki – mawiała.

Żyje tylko o wodzie ze studni i jedzeniu z puszek, więc Malorie może policzyć swoje zębra. Mimo ogromnego brzucha. Ramiona ma cienkie jak patyczki. Wyostrzyły jej się rysy. Oczy, głęboko osadzone, są wręcz wyłupiaste. Nawet sama to widzi, patrząc w lustro.

Domownicy zebrali się w salonie na dole. Wcześniej tego dnia zadzwonili pod ostatni numer z książki telefonicznej. Już żaden nie pozostał. Felix twierdzi, że wykonali około pięciu tysięcy połączeń. Zostawili siedemnaście wiadomości. I tyle. Ale Tom nie traci entuzjazmu.

Teraz, gdy Malorie ogląda swoje ciało w lustrze, słyszy, że na dole warczy jeden z psów.

To chyba Victor. Malorie wychodzi na korytarz i słucha.

– Co jest, Victor? – pyta Jules.

– Nie podoba mu się – stwierdza Cheryl.

– Ale co mu się nie podoba?

– Nie podobają mu się drzwi od piwnicy.

Piwnica. Nie ma już żadnych złudzeń, że Don nie chce mieć z pozostałymi

nic wspólnego. Gdy Tom przystąpił do realizacji swojego planu związanego z wydzwanianiem pod numery z książki telefonicznej, przydzielił każdej osobie nazwiska na daną literę. Don odmówił brania w tym udziału, tłumacząc się brakiem wiary w całe to przedsięwzięcie. Przez siedem tygodni, odkąd odszedł Gary, Don nie zjadł z nimi żadnego posiłku. Prawie z nimi nie rozmawia.

Malorie słyszy dźwięk przesuwanych po podłodze krzeseł.

– Wszystko okej, Victor? – Jules się niepokoi.

Malorie słyszy, jak otwierają się drzwi do piwnicy i Jules woła:

– Don? Jesteś tam?

– Don? – wtóruje mu Cheryl.

Z piwnicy dobiega niewyraźna odpowiedź. Drzwi zamykają się.

Zaciekawiona i poirytowana Malorie naciąga na brzuch koszulę i schodzi na parter.

Gdy wchodzi do kuchni, widzi klęczącego Jules'a, który próbuje uspokoić psa. Victor drepce w miejscu i piszczy. Malorie zagląda do salonu. Jest tam Tom, który patrzy na koce w oknach.

Nasłuchuje, jaka jest reakcja ptaków, myśli. Niepokoi go zachowanie psa.

Gdy Tom wyczuwa na sobie wzrok Malorie, odwraca się do niej. Victor skomle za jej plecami.

– Jules? – odzywa się Tom. – Jak myślisz, o co mu chodzi? Boi się czegoś?

– Nie wiem. Coś go ewidentnie zaniepokoiło. Drapał wcześniej w drzwi do piwnicy. Don tam jest. Ale rozmowa z nim przypomina wyrywanie zębów. A o przyjsciu na górę w ogóle nie ma mowy.

– Okej, chodźmy tam – decyduje Tom.

Jules podnosi wzrok na Toma. Malorie widzi strach na jego twarzy.

Co ten Gary im zrobił?

Zasiał ziarno podejrzliwości, myśli Malorie. Jules boi się konfrontacji z Donem.

– Chodźmy – ponagla Tom. – Już czas z nim pogadać.

Jules wstaje, podchodzi do drzwi i kładzie rękę na klamce. Victor znów zaczyna warczeć.

– Ty tu zostajesz – mówi do niego Jules.

– Nie – stwierdza Tom. – Niech idzie z nami.

Jules zatrzymuje się, ale po chwili otwiera drzwi do piwnicy.

– Don? – woła Tom.

Nikt nie odpowiada.

Tom wchodzi pierwszy. Potem Jules i Victor, a za nimi Malorie.

Mimo zapalonego światła na dole panuje mrok. Na początku Malorie myśli, że nikogo tu nie ma. Sądziła, że Don będzie siedział na stołku. Czytając. Rozmyślając. Pisząc. Już chce powiedzieć, że piwnica jest pusta, gdy nagle krzyczy zaskoczona.

Don stoi obok cienkiej tkaniny, w cieniu, opierając się o pralkę.

– Co wstąpiło w tego psa? – pyta cicho.

– Nie wiemy, Don – mówi bardzo wyraźnie Tom. – Najwidoczniej coś mu się nie podoba tu na dole. Wszystko okej?

– Co masz na myśli?

– Bardzo często tu przebywasz ostatnimi czasy. Po prostu chcę wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku.

Don robi krok do przodu, w stronę światła. Malorie głośno wzdycha. Mężczyzna nie wygląda dobrze. Jest blady. Wymizerowany. Jego ciemne włosy są przerzedzone i brudne. Twarz ma jakby z wosku. Ciemne kręgi pod oczami wyglądają, jakby zaczął nasiąkać panującymi w piwnicy ciemnościami.

– Obdzwoniliśmy wszystkie numery z książki telefonicznej.

Malorie zdaje się, że Tom chyba chce powiedzieć coś pozytywnego w tej zawieszistej, mrocznej atmosferze.

– Jakiś odzew?

– Żadnego. Jak dotąd. Ale kto wie...

– Tak. Kto wie...

Zapada cisza. Do Malorie dociera, że nastąpił absolutny rozpad relacji z Donem. Teraz sprawdzają, co u niego. Sprawdzają, co u niego, jakby żył gdzieś daleko stąd. Nie da się już uratować tej relacji.

– Może przyjdiesz na górę? – zachęca łagodnie Tom.

Malorie zaczyna się lekko kręcić w głowie. Kładzie rękę na brzuchu.

Dziecko. Nie powinna była schodzić po tych schodach. Ale, podobnie jak wszyscy, martwi się o Dona.

– Po co mam tam iść? – odpowiada w końcu Don.

– Nie wiem po co. Może lepiej by ci zrobiło, gdybyś w nocy był bliżej nas.

Don wolno kiwa głową. Oblizuje wargi. Rozgląda się po piwnicy. Patrzy na półki, pudła, na stołek, na którym siedem tygodni temu siedziała Malorie, gdy czytała notatnik Gary'ego.

– Dobrze – szepce Don. – Okej.

Tom kładzie dłoń na ramieniu Dona. Don zaczyna płakać. Zakrywa oczy ręką, jakby chciał to ukryć.

– Przepraszam, stary – mówi. – Pogubiłem się ostatnio.

– Wszyscy jesteśmy zagubieni – pociesza go cicho Tom. – Chodź na górę. Wszyscy się bardzo ucieszają na twój widok.

W kuchni Tom wyjmuje z szafki butelkę rumu. Nalewa sobie i Donowi. Stukają się delikatnie szklankami i biorą po małym łyku.

Przez chwilę wszystko wygląda tak, jakby nic się nie zmieniło. Domownicy są znów razem. Malorie nie pamięta już, kiedy Don był tak swobodny. Bez Gary’ego siedzącego mu na ramieniu, sączącego jad i te swoje dziwne filozofie, próbującego zamieszać mu w głowie teoriami ze swoich notatek.

Victor ociera się o nogi Malorie i wraca do kuchni. Malorie patrzy na niego i znów kręci jej się w głowie.

Muszę się położyć, myśli.

– No więc zrób to – mówi Tom.

Malorie nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos.

Ale nie chce się kłaść. Chce posiedzieć z Tomem, Donem i całą resztą. Chce wierzyć, że ten moment będzie trwał wiecznie. Że obcy sobie ludzie jednoczą siły, zbierają się w sobie, wspierają się wzajemnie, by stawić czoła nowemu, zmieniającemu się światu.

Ale to dla niej zbyt wiele. Trzecia fala mdłości uderza w nią i Malorie zaczyna się osuwać. Natychmiast podbiega do niej Jules, pomaga jej wejść na górę.

Malorie wchodzi do sypialni, kładzie się i widzi, że wszyscy nad nią stoją. Wszyscy. Don też. Obserwują, martwią się o nią. Patrzą. Pytają, czy wszystko okej. Czy czegoś jej trzeba? Wody? Mokrej szmatki? Mówi, że nie, albo tak jej się wydaje, że to mówi, bo nagle odpływa. Gdy zasypia, słyszy dźwięk dobiegający z kanału wentylacyjnego. To Victor znów warczy w kuchni.

Ostatnią rzeczą, jaką widzi przed zamknięciem oczu, są domownicy zgromadzeni wokół niej. Baczenie się jej przyglądają. Jej brzuchowi też.

Wiedzą, że nadszedł ten moment.

Victor znów warczy. Don patrzy w stronę schodów.

Jules wychodzi z pokoju.

– Dziękuję, Tom – mówi Malorie. – Za trąbki do roweru.

Wydaje jej się, że słyszy, jak pudełko z ptakami lekko uderza o ścianę domu.

Ale to tylko odgłos wiatru na szybach.
Potem zapada w sen. I śni o ptakach.

Czterdzieści jeden

Ptaki na drzewach są bardzo niespokojne. Jakby wszystkie gałęzie trzęsły się naraz. Jakby wiało groźne wietrzysko. Ale tu w dole Malorie nic nie czuje. Nic. Nie ma żadnego wiatru.

Ale coś niepokoi ptaki.

Ból w barku osiągnął już taki poziom, jakiego Malorie jeszcze nigdy nie doświadczyła. Przeklina się za to, że nie dbała bardziej o siebie przez ostatnie lata. W tym czasie skupiała się na uczeniu dzieci. Dopóki ich umiejętności nie przewyższyły jej oczekiwań.

„Mamusiu, na studnię spadł liść!”

„Mamusiu, na końcu ulicy zaczęła się mżawka i idzie w naszym kierunku!”

„Mamusiu, na gałęzi obok okna usiadł ptak!”

Czy dzieci usłyszą nagranie szybciej niż ona? Muszą. A gdy to nastąpi, będzie musiała otworzyć oczy. Żeby zobaczyć, jak rzeka rozdziela się na cztery kanały. Musi wybrać drugi od prawej. Tak jej kazano.

I niedługo to nastąpi.

Ptaki gruchają. Po obu stronach rzeki są bardzo aktywne. Człowiek, zwierzę, potwór. Malorie nie ma pojęcia.

Strach, którego doświadcza, mocno zakorzenił się w jej duszy.

Dokładnie ponad nimi ptaki są bardzo niespokojne. Myśli o domu. O ostatnim wspólnym wieczorze. Wiał wtedy bardzo silny wiatr. Nadchodziła burza. Bardzo gwałtowna. Może ptaki to wyczuwają. A może wyczuwają coś innego...

– Nic nie słyszę – mówi nagle Dziewczynka. – To przez ptaki, Mamusiu. Są za głośne!

Malorie przestaje wiosłować. Myśli o Victorze.

– Jak waszym zdaniem brzmią? – pyta maluchy.

– Jakby się bały – mówi Dziewczynka.

– Jakby zwariowały! – odpowiada Chłopiec.

Im bardziej Malorie przysłuchuje się temu jazgotowi, tym gorzej to brzmi.

Ile ich tam jest? Mam wrażenie, jakby nieskończenie wiele.

Czy dzieci usłyszą nagranie w takim hałasie?

Victor oszalał. A więc zwierzęta też tracą zmysły.

Ptaki nie brzmią normalnie.

Wolno, bezmyślnie Malorie odwraca wzrok w stronę tego, co za nimi podąża.

Nic nie widzisz, myśli. Tak jak wtedy, kiedy chodziłaś do studni po wodę. I jak wtedy, kiedy wiele razy wyruszałaś na poszukiwanie wzmacniaczy. Ty miałaś zamknięte oczy, a Victor nie. Czym się martwisz? Przecież już wiele razy otarłaś się o to? Przecież raz byłaś nawet aż tak blisko, że czułaś ten zapach?

Tak, była.

Szczegóły wymyśliłaś sama. To twoja wizja tego, jak one wyglądają, jakie mają ciała i kształty, a tak naprawdę nie masz o tym pojęcia. Nadałaś twarz czemuś, co być może nie ma twarzy.

W jej umyśle istoty przemierzają bezkresne, otwarte przestrzenie. Stoją przed oknami domów i z zainteresowaniem wpatrują się w szyby. Analizują. Badają. Obserwują. Robią to, czego Malorie nie może zrobić.

Patrzą.

Czy widzą, że kwiaty w ogrodzie są ładne? Czy dostrzegają, w którą stronę płynie rzeka? Czy to potrafią?

– Mamusiu... – mówi Chłopiec.

– Tak?

– Ten hałas... Mamusiu... On brzmi, jakby ktoś coś mówił.

Malorie myśli o szaleńcu na łodzi. Myśli o Garym. Nawet teraz, tak daleko od domu, myśli o Garym.

Próbuje dopytać Chłopca, o co mu dokładnie chodzi, ale ptasie odgłosy zamieniają się w groteskowy, niemal symfoniczny wrzask.

Zupełnie jakby było ich tak dużo, że drzewa nie mogą ich unieść.

Jakby przesłaniały całe niebo.

Brzmią, jakby oszalały. Brzmią, jakby oszalały. O Boże, brzmią, jakby oszalały.

Malorie znów spogląda przez ramię, chociaż nic nie może zobaczyć. Chłopiec usłyszał jakiś głos. Ptaki oszalały. Kto ich śledzi?

Teraz już jej się nie wydaje, że ktoś ich śledzi. Ten ktoś już ich dopadł.

– To jakiś głos! – woła Chłopiec, próbując przekrzyczeć okropny jazgot ponad ich głowami.

Malorie jest pewna. Ptaki zobaczyły coś tu na dole.

Wspólna ptasia pieśń narasta, osiąga jakby szczyt, a potem spłascza się, zatacza pętlę i dociera do granic wytrzymałości. Malorie ma wrażenie, jakby siedziała w samym środku tego dźwięku. Jakby ktoś ją uwięził w klatce z tysiącem szalonych ptaków. I jakby ta klatka zamykała się nad nimi wszystkimi. Kartonowe pudło. Pudełko z ptakami. Odcięty dostęp do słońca na wieki.

Co to jest? Co to jest? Co to jest?

Nieskończoność.

Skąd to się wzięło? Skąd to się wzięło? Skąd to się wzięło?

Z nieskończoności.

Ptaki jazgoczą. I ten wrzask nie jest już pieśnią.

Dziewczynka piszczy.

– Mamusiu, coś mnie uderzyło! Coś na mnie spadło!

Malorie też to czuje. Myśli, że zaczęło padać.

Choć wydawało się to niemożliwe, jazgot robi się jeszcze większy. Ogłusza ich, zgrzyta w głowach.

Malorie musi zakryć uszy. Woła do dzieci, błaga je, żeby zrobiły to samo. Coś twardego spada na jej i tak już obolały bark, więc Malorie wyje z bólu.

Zaczyna zataczać szerokie łuki ręką, poprawia opaskę, przeszukuje łódź, żeby znaleźć to, co na nią spadło.

Dziewczynka znów piszczy.

– Mamusiu!

Malorie znajduje to, czego szukała. W dłoni, zamiast kropli deszczu, ma ciało martwego ptaszka. Wyczuwa jego delikatne skrzydło.

Teraz Malorie już wszystko rozumie.

Tam na górze, tam, gdzie nie może spojrzeć, trwa wojna i ptaki zabijają się nawzajem.

– Oslaniajcie głowy! Przytrzymujcie swoje opaski!

I nagle z góry spada grad ptasich ciał. Wpadają do rzeki, powodując wokół tysiące rozprysków. Uderzają w łódź. Spadają jak pociski, które raz po raz uderzają to w głowę, to w bark Malorie. I znów. I jeszcze raz.

Krew ptaków spływa po jej policzkach. Czuje ją w ustach.

Czujesz też jej zapach. Śmierć. Umieranie. Rozpad. Niebo upada. Niebo umiera. Niebo jest martwe.

Malorie woła coś do dzieci, ale Chłopiec właśnie próbuje jej coś powiedzieć.

– Riverbridge – mówi. – Dwieście siedemdziesiąt trzy Shillingham... Mam na imię...

Co?

Kucając, Malorie pochyla się do przodu. Przyciska mocno usta Chłopca do swojego ucha.

– Riverbridge – powtarza malec. – Dwieście siedemdziesiąt trzy Shillingham. Mam na imię Tom.

Malorie podnosi się, urażona, zaciska swoją opaskę.

Mam na imię Tom.

Ptaki uderzają w nią. Uderzają w łódź.

Ale nie myśli o tym teraz.

„Halo! Dzwonię z Riverbridge. Dwieście siedemdziesiąt trzy Shillingham. Mam na imię Tom. Pewnie rozumiecie moją ulgę, że udało mi się dodzwonić do waszej automatycznej sekretarki. Bo to znaczy, że wciąż macie prąd. Podobnie jak my...”

Malorie zaczyna potrząsać głową.

nie nie nie nie nie nie nie nie nie nie

– NIE!

Chłopiec usłyszał pierwszy. Głos Toma. Nagrany i zapętłony. Nagranie uruchamiane na ruch. Dla niej. Dla Malorie. Jeśli podejmie decyzję, żeby wyruszyć w dół rzeki. Kiedykolwiek by to było. Tom, kochany Tom, mówiący do niej teraz, po tych wszystkich latach. Próbujący nawiązać kontakt. Próbujący do kogoś dotrzeć. Próbujący zbudować pomost między życiem w domu a innym, lepszym, gdzie indziej.

Użyli jego głosu, bo wiedzieli, że go rozpoznasz. Po prostu, Malorie.

Teraz powinnaś otworzyć oczy.

Jak bardzo zielona jest trawa? Jakiego koloru są liście? Jak bardzo czerwona jest krew ptaków, które powpadały do rzeki?

– Mamusiu! – woła do niej Chłopiec.

Mamusia musi teraz otworzyć oczy, chce im powiedzieć. Mamusia musi się rozejrzeć.

Ale przecież ptaki oszalały.

– Mamusiu! – powtarza Chłopiec.

– Co się stało? – odpowiada Malorie, ale z trudem rozpoznaje swój głos.

– Mamusiu, coś tu jest. Coś jest obok nas.

Łódka zatrzymuje się.

Coś ją zatrzymało.

Malorie słyszy, jak to coś się porusza obok nich.

To nie jest zwierzę, myśli. To nie jest Gary. To jest to coś, przed czym ukrywasz się od czterech i pół roku. To jest to coś, na co nie możesz spojrzeć.

Malorie przygotowuje się.

Coś jest w wodzie po jej lewej stronie. Kilka centymetrów od jej ramienia.

Głosy ptaków na górze oddalają się. Jakby unosiły się hen wysoko, do granicy nieboskłonu.

Malorie czuje czyjąś obecność.

Ptaki cichną. Milkną. Unoszą się. Znikają.

Ciągle słychać głos Toma. Wokół łódki płynie rzeka.

Malorie krzyczy, bo czuje, jakby coś odciągało opaskę z jej twarzy.

Nie rusza się.

Opaska jest lekko odciągnięta, ale jeszcze przysłania zamknięte oczy.

Co teraz słyszy? Oddech? Czy to jest właśnie to, co słyszy? I co to takiego?

Tom, myśli. Tom zostawił wiadomość.

Jego głos niesie się echem po rzece. Brzmi tak pokrzepiająco. Jak żywy.

Tom. Muszę otworzyć oczy. Mów do mnie. Błagam. Powiedz, co mam robić.

Tom, będę musiała otworzyć oczy.

Jego głos dobiega gdzieś z naprzeciwka. Brzmi jak światło, jedyny promień słońca w ciemnościach.

Opaska zostaje odciągnięta jeszcze bardziej. Węzeł uwiera ją w tył głowy.

Tom, muszę otworzyć oczy.

A więc...

Czterdzieści dwa

...otwiera oczy.

Malorie siedzi na łóżku, trzyma się za brzuch. Nagle dociera do niej, że od jakiegoś czasu wyje. Łóżko przesiąknięte jest potem.

Dwaj mężczyźni wpadają do pokoju. Wszystko wygląda jak we śnie

(Czy ja naprawdę będę miała dziecko? Dziecko? Czy ja byłam w ciąży cały ten czas?)

i jest przerażające,

(Gdzie jest Shannon? Gdzie jest mama?)

więc na początku Malorie nie rozpoznaje, że to Felix i Jules.

– O cholera – mówi Felix. – Olympia jest już na górze. U niej zaczęło się jakieś dwie godziny temu.

Na górze?, myśli Malorie. *Na jakiej górze?*

Mężczyźni są bardzo ostrożni i pomagają jej przysunąć się do krawędzi łóżka.

– Dasz radę to zrobić? – pyta zdenerwowany Jules.

Malorie patrzy na niego, marszczy brwi, jej twarz jest jednocześnie blada i różowa.

– Spałam – mówi. – I właśnie chciałam... Gdzie na górze, Feliksie?

– Jest gotowa – stwierdza Jules, który zmusza się do uśmiechu i próbuje dodać jej otuchy. – Wyglądasz wspaniale, Malorie. Ty też wyglądasz na gotową.

– Gdzie...

Malorie chce dopytać, ale Felix odpowiada jej, zanim skończy zdanie:

– Zrobimy to na poddaszu. Tom mówi, że to najbezpieczniejsze miejsce w domu. Na wypadek, gdyby coś się stało. Olympia już tam jest. Od dwóch godzin. Są z nią Tom i Cheryl. Nie martw się, Malorie. Zrobimy, co w naszej

mocy.

Malorie nic nie mówi. Uczucie, że coś, co jest w jej wnętrzu, chce się właśnie wydostać, jest najstraszniejszym i najbardziej niesamowitym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Mężczyźni podtrzymują ją z obu stron i prowadzą przez pokój, pomagają przejść przez próg. Idą na koniec korytarza. Schody na poddasze są już opuszczone. Gdy pomagają jej złapać równowagę, Malorie patrzy na zakryte kocem okno. Zastanawia się, jaka jest pora dnia. Czy to już następny wieczór? Czy minął już tydzień?

Czy ja naprawdę będę miała dziecko? Teraz?

Felix i Jules pomagają jej wspinać się po starych drewnianych schodkach. Słyszy Olympię. I delikatny głos Toma raz za razem powtarzający coś w rodzaju: „Oddychaj”, „Dasz radę”, „Wszystko będzie dobrze”.

– Może w sumie nie będzie tak źle... – mówi Malorie (dzięki Bogu, że pomogli jej wejść po trzeszczących stopniach). – To znaczy... nie gorzej niż teraz...

Na górze jest więcej miejsca, niż zapamiętała. Pomieszczenie oświetla tylko jedna świeczka. Olympia leży na podłodze na ręczniku. Cheryl siedzi obok niej. Kolana Olympii są uniesione, a od pasa w dół przykrywa ją cienkie prześcieradło. Jules pomaga Malorie położyć się na ręczniku naprzeciwko Olympii. Podchodzi do niej Tom.

– Och, Malorie... – mówi Olympia. Braknie jej powietrza, więc udaje jej się wypowiedzieć tylko część zdania, a reszta ulega jakby zniekształceniu. – Tak się cieszę, że tu jesteś!

Oszołomiona Malorie patrzy na Olympię jak na odbicie w lustrze i nie może się oprzeć wrażeniu, że to jakiś mglisty sen.

– Jak długo już tu jesteś, Olympio?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że całą wieczność!

Felix mówi coś cicho do Olympii, pyta, czy czegoś nie potrzebuje. Potem idzie na dół, żeby to przynieść. Tom przypomina Cheryl o zachowaniu czystości.

– Wszystko będzie dobrze – mówi – tylko musi być czysto.

Mają czyste prześcieradła i ręczniki. Środek do dezynfekcji rąk z domu Toma. Dwa wiadra wody.

Tom wygląda spokojnie, ale Malorie wie, że to pozory.

– Malorie? – zwraca się do niej Tom.

– Tak?

– Potrzebujesz czegoś?

– Może trochę wody. I jakąś muzykę.

– Muzykę?

– Tak. Coś spokojnego i kojącego, wiesz, coś... – *Coś, co zagłuszy odgłosy, jakie wydaje moje ciało na tej drewnianej podłodze.* – Może jakiś flet. Wiesz, to nagranie na kasecie.

– Dobrze – odpowiada Tom. – Przyniosę.

Przechodzi obok i idzie do schodków za jej plecami. Malorie skupia się więc na Olympii. Ciągłe nie może pozbyć się tego mgliście sennego wrażenia. Widzi, że obok niej, na papierowym ręczniku, leży mały nóż do steków. Jakieś dwadzieścia centymetrów stąd. Cheryl właśnie zanurzyła go w wodzie.

– Jezu! – krzyczy Olympia, a Felix klęka i bierze ją za rękę.

Malorie obserwuje.

Ci ludzie odpowiedzieli na ogłoszenie w prasie. Ci ludzie mają w sobie determinację, żeby przeżyć.

Nagle ogarnia ją spokój. Wie, że to nie potrwa długo. Twarze współlokatorów przewijają się teraz przed jej oczami. Do każdego z nich czuje pewien rodzaj miłości.

Mój Boże, myśli. Jesteśmy tacy dzielni.

– Boże! – krzyczy nagle Olympia, a Cheryl już jest przy niej.

Jakiś czas temu Tom tu przyszedł, bo szukał taśmy. Ale Malorie czekała na dole. Nigdy tu nie była. Teraz ciężko oddycha, patrząc na jedyne okno, które też zostało zasłonięte. Przechodzi ją dreszcz. Nawet poddasze zostało zabezpieczone. Nawet prawie nieużywane pomieszczenie musi mieć zasłonięte okna. Patrzy na drewniane ramy okienne, panele na ścianach, skośny sufit, pudła z rzeczami George'a. Przesuwa wzrok na duży stos koców. Kolejne pudło z jakimiś plastikowymi częściami. Stare książki. Stare ubrania.

Ktoś stoi przy ubraniach.

To Don.

Malorie czuje skurcz.

Wraca Tom ze szklanką wody i małym magnetofonem.

– Proszę, Malorie – mówi. – Udało mi się go znaleźć.

Z niewielkich głośników dobiega piskliwy dźwięk skrzypiec. Malorie myśli, że pasuje idealnie.

– Dziękuję – mówi.

Twarz Toma jest zmęczona. Oczy ma przymknięte, lekko zapuchnięte. Jakby

spał mniej niż godzinę.

Malorie czuje tak silny skurcz, że wydaje się niemal nierealny. Jakby wnyki na niedźwiedzia zaciskały się na jej brzuchu.

Słyszy głosy gdzieś za sobą. Na dole, przy schodach na poddasze. To Cheryl... Jules... Malorie już nie wie, kto jest na górze, a kto nie.

– O Boże! – krzyczy znów Olympia.

Jest z nią Tom. Obok Malorie siedzi Felix.

– Dasz radę! – woła do Olympii Malorie.

W tym samym momencie na zewnątrz rozlega się uderzenie pioruna. Krople deszczu zaczynają uderzać w dach. Odgłosy ulewy działają na nią kojąco. To, co dzieje się na zewnątrz, odzwierciedla to, co się dzieje wewnątrz Malorie. Niebezpieczne, gwałtowne ruchy. Domownicy wyłaniają się z cienia, a potem znikają. Tom wygląda na zmartwionego. Olympia oddycha ciężko, dyszy. Schody skrzypią. Przychodzi tu ktoś jeszcze. To znów Jules. Tom mówi mu, że Olympia jest w bardziej zaawansowanej fazie porodu niż Malorie. Kolejny piorun. Błyskawica. Malorie widzi Dona w jej świetle, twarz ma zapadniętą, pod oczami czarne kręgi.

Nagle Malorie czuje niesamowity ucisk na wysokości pasa. Wygląda na to, że jej ciało przejęło kontrolę nad sytuacją, odmawiając jej prawa do spokoju.

Krzyczy. Cheryl odchodzi od Olympii i podchodzi do niej. Malorie nawet nie wiedziała, że Cheryl ciągle tu jest.

– Co za koszmar... – dyszy Olympia.

Malorie myśli o tym, jak dostrajają się do siebie kobiece cykle. W rozmowach na temat tego, kiedy zaczną rodzić i czy pierwsza będzie ona czy Olympia, nawet nie śmiały żartować, że wydarzy się to dokładnie w tym samym momencie.

Och, jak Malorie marzy teraz o zwykłym, najzwyczajniejszym porodzie!

Znów piorun.

Robi się jakby ciemniej. Tom przynosi kolejną świeczkę, zapala ją i stawia obok Malorie, po lewej stronie. W świetle migającego płomienia Malorie widzi Felixa i Cheryl, ale Olympię nie za bardzo. Jej twarz i tułów rozmywają się w grze cieni.

Ktoś schodzi ze schodów. Don? Malorie nie chce aż tak bardzo wykręcać szyi. Tom wychodzi z plamy światła i znika. Potem Felix i chyba Cheryl. Ich sylwetki przemieszczają się między nią a Olympią. Jak duchy.

Pada coraz bardziej.

Na dole rozlega się głośny, nagły hałas. Malorie nie jest pewna, ale wydaje jej się, że słyszy krzyki. Czy to umysł płata jej figle? Kto się teraz kłóci?

Ale na dole trwa jakaś awantura...

Malorie nie może teraz o tym myśleć. Nie może!

– Malorie? – Twarz Cheryl pojawia się przed nią, gdy Malorie krzyczy. – Ściśnij moją dłoń. Możesz nawet ją złamać.

Malorie chce powiedzieć: „Dajcie tu więcej światła. Przyprawadźcie lekarza. Zróbcie to wszystko za mnie”.

Zamiast tego stęka.

Właśnie teraz rodzi dziecko. Nie ma już żadnego „kiedy”.

Czy odtąd wszystko będę postrzegać inaczej? Zawsze patrzyłam na sytuację przez pryzmat dziecka. Tak patrzyłam na dom. Na resztę domowników. Na świat. Tak postrzegałam wiadomości, gdy to wszystko się zaczynało i gdy się kończyło. Byłam przerażona, odchodziłam od zmysłów, byłam zła... Gdy moje ciało wróci do normalnych rozmiarów, jak wtedy, kiedy mogłam swobodnie chodzić po ulicach, czy będę wszystko postrzegać inaczej?

Jak będzie postrzegać Toma? Czy jego pomysły nabiorą innego znaczenia?

– Malorie! – wrzeszczy w ciemnościach Olympia. – Nie dam rady!

Cheryl przekonuje ją, że da, że jest już blisko.

– Co się dzieje na dole? – pyta nagle Malorie.

Don jest na dole. Słyszy, jak się wyklóca. Jules też. Tak, Don kłóci się z Jules'em w korytarzu tuż pod poddaszem. Czy Tom jest z nimi? Czy Felix tam jest? Ale Felix wyłania się z ciemności i bierze ją za rękę.

– Wszystko okej, Malorie?

– Nie. Co się dzieje na dole?

Felix zastanawia się i mówi:

– Nie jestem pewien. Teraz masz ważniejsze sprawy na głowie niż niesnaski między domownikami.

– Chodzi o Dona?

– Nie przejmuj się tym, Malorie.

Jeszcze bardziej pada. Słysząc ciężar każdej kropli.

Poza deszczem i awanturą na dole Malorie słyszy coś jeszcze, coś jeszcze bardziej piskliwego niż skrzypce.

Co to jest?

– O kurwa! – wrzeszczy Malorie. – Niech to się skończyyyy!

Coraz trudniej się Malorie oddycha. Jakby dziecko odcinało jej dopływ

powietrza. Jakby podjeżdżało z powrotem do góry.

Jest Tom. Jest przy niej.

– Przepraszam, Malorie.

Malorie odwraca się do niego. Twarz, którą widzi, wyraz malujący się na tej twarzy, zapamięta potem na długie lata.

– Za co mnie przepraszasz, Tom? Za to, jak to się odbywa?

Wzrok Toma jest smutny. Potwierdza skinieniem głowy. Oboje wiedzą, że nie ma żadnego powodu, by przepraszać, ale oboje zdają sobie sprawę, że żadna kobieta nie powinna rodzić na dusznym poddaszu w miejscu, które domem nazywa tylko dlatego, że nie może z niego wyjść.

– Wiesz, co myślę? – mówi łagodnie i bierze ją za rękę. – Myślę, że będziesz wspaniałą matką. Cudownie wychowasz dziecko. I nie ma znaczenia, w jakim świecie przyjdzie ci to robić.

Teraz Malorie czuje, jakby ktoś próbował wyrwać z niej dziecko zardzewiałymi szczypcami. Jakby w ciemnościach była jakaś ciężarówka, która ciągnie za łańcuch.

– Tom... – udaje jej się wydusić. – Co się dzieje na dole?

– Don jest zły. To wszystko.

Malorie chce jeszcze o tym porozmawiać. Nie jest już zła na Dona. Martwi się o niego. Z nich wszystkich to Don najgorzej znosi nadejście nowego świata. Jest zagubiony. W jego oczach widać beznadzieję i pustkę. Malorie chce powiedzieć Tomowi, że uwielbia Dona, że wszyscy go uwielbiają, że on po prostu potrzebuje pomocy. Ale w tej chwili może skupić się tylko na bólu. Nie wydusi z siebie żadnego słowa. Awantura na dole brzmi jak żart. Jakby ktoś stroił sobie z niej żarty. Jakby dom chciał jej powiedzieć: „Widzisz? Trzeba zachować poczucie humoru mimo tego straszego bólu, który opanował poddasze”.

Malorie wie, co to głód i wyczerpanie. Ból fizyczny i zmęczenie psychiczne... Ale nigdy nie doświadczyła tego, co czuje teraz. Ma więc chyba prawo nie zawracać sobie głowy domowymi kłótniami, a nawet oczekiwać, by wszyscy wyszli na dwór i z zamkniętymi oczami grzecznie poczekali, aż ciała jej i Olympii zrobią to, co mają do zrobienia.

Tom wstaje.

– Zaraz wrócę. Chcesz jeszcze wody?

Malorie kręci głową i patrzy na mieszaninę cieni i prześcieradeł, czyli Olympię, która leży naprzeciwko niej.

– Uda nam się! – mówi nagle Olympia. – To się naprawdę dzieje!

Za dużo dźwięków. Głosy na dole. Głosy na poddaszu (pochodzące z cieni i z twarzy wyłaniających się z tych cieni), schody na górę, które skrzypią za każdym razem, gdy ktoś po nich wchodzi lub z nich schodzi. To tyle, jeśli chodzi o sytuację na górze. Malorie wie, że tam na dole coś się dzieje, ale w tej chwili nie może się tym zajmować. Pada deszcz, lecz to nie wszystko. Jest jeszcze inny dźwięk. Może to jakiś instrument... Najwyższy dźwięk pianina na dole.

Nagle, nieoczekiwanie, przychodzi do Malorie kolejna fala spokoju. Mimo że jej płuca, szyję i klatkę piersiową przeszywa straszliwy ból, Malorie wie, że bez względu na to, co robi i co się stanie, dziecko się urodzi. Czy to ma teraz znaczenie, na jaki przyjdzie świat? Olympia ma rację. To się naprawdę dzieje. Dziecko się rodzi. Dziecko już prawie się urodziło. Od początku było częścią nowego świata.

Ono wie, co to niepokój, strach i paranoja. Martwiło się, gdy Tom i Jules poszli szukać psów. Odczuło wielką ulgę, gdy wrócili. Bało się zmiany, która zaszła w Donie. Podobnie jak zmiany w domu. Z azylu dającego nadzieję dom zmienił się w dołujące, nieprzyjazne miejsce. Serce mocniej mu biło, gdy czytałam ogłoszenie w gazecie i gdy czytałam notatnik w piwnicy.

Przy słowie „piwnica” Malorie słyszy głos Dona dobiegający z dołu.

Krzyczy.

Ale bardziej niepokoi ją to, co słyszy w tle.

– Słyszysz ten dźwięk, Olympio?

– Jaki? – charczy Olympia, jakby miała w gardle gwoździe.

– Ten dźwięk... jakby...

– To deszcz – twierdzi Olympia.

– Nie, nie to. Jest coś jeszcze. Brzmi jak nasze dzieci, jakby się już urodziły.

– Co?

Według Malorie słychać niemowlę. Taki dźwięk dobiega z dołu drabinki, może nawet z parteru, może nawet...

Może nawet z zewnątrz.

Tylko co to znaczy? Co się dzieje? Ktoś płacze na ganku?

Niemożliwe. To musi być coś innego.

Ale to coś żywego.

Kolejna błyskawica. Na poddaszu robi się jasno, przez chwilę wręcz upiornie. Powidok koca wiszącego w oknie jeszcze przez jakiś czas po błysku

i uderzeniu pioruna pozostaje przed oczami Malorie. Olympia zaczyna krzyczeć, a Malorie, z zamkniętymi oczami, wyobraża sobie strach wymalowany na twarzy koleżanki.

Lecz jej uwaga szybko zostaje przeniesiona na okropny ucisk gdzieś w okolicy pasa. Wygląda na to, że Olympia krzyczy za nią. Za każdym razem, gdy Malorie czuje, jakby ktoś wbijał jej sztylet, Olympia jęczy.

Czy ja też za nią wyję?

Nagranie na kasecie kończy się. Podobnie jak awantura na dole.

Nawet deszcz cichnie.

Teraz dochodzą do niej inne dźwięki na poddaszu. Malorie słyszy własny oddech. Kroki domowników, którzy im pomagają.

Sylwetki pojawiają się. Potem znikają.

To jest Tom (na pewno).

A to Felix (tak jej się wydaje).

Jules czuwa teraz przy Olympii.

Czy to świat się oddala? Czy ja coraz bardziej odpływam wraz z bólem?

I znów słyszy to samo. Jakby na wycieracze leżało niemowlę. Piskliwy i bardzo ożywiony dźwięk dobiega z dołu. Tylko dużo wyraźniej. Teraz nie musi już przebijać się przez kłótnię, muzykę i deszcz.

Tak, jest zdecydowanie bardziej wyraźny, bardziej określony. Gdy Tom chodzi po poddaszu, Malorie słyszy to między odgłosami jego kroków. Jego buty opadają na podłogę i znów podnoszą się, pozwalając przedrzeć się wysokim dźwiękom.

I nagle Malorie już wie. Już rozpoznaje, co to jest.

To ptaki. O Boże! To ptaki.

To pudełko uderza o zewnętrzną ścianę domu i słychać ćwierkanie ptaków.

– Przed domem coś się dzieje – mówi.

Na początku cicho.

Cheryl jest kilkadziesiąt centymetrów od niej.

– PRZED DOMEM COŚ SIĘ DZIEJE! – wrzeszczy.

Jules spogląda do góry zza ramienia Olympii.

Na dole słychać głośne uderzenie. Felix krzyczy. Jules przebiega obok Malorie. Szybko i głośno schodzi na dół.

Malorie w panice rozgląda się po poddaszu w poszukiwaniu Toma. Ale nie ma go tutaj. Jest na dole.

– Olympio – mówi Malorie, choć jakby bardziej do siebie. – Jesteśmy tu

same.

Olympia nie odpowiada.

Malorie nie chce słuchać, co się tam dzieje, ale nie może się powstrzymać. Wydaje jej się, że wszyscy są teraz w salonie. Na pewno na parterze. Krzyczą. Czy Jules powiedział „Nie rób tego”?

Zamieszanie rośnie, podobnie jak ból w okolicy pasa.

Malorie leży tyłem do schodków, więc wykręca głowę. Chce wiedzieć, co się dzieje. Chce powiedzieć im, żeby się uspokoili. Że na górze są przecież dwie ciężarne kobiety, które potrzebują ich pomocy.

Błagam, przestańcie!

Malorie jest cała rozdygotana, jej broda opada na pierś. Oczy jej się zamykają. Czuje, że za moment straci kontakt z rzeczywistością, zemdleje. Lub jeszcze gorzej.

Znow leje. Malorie otwiera oczy. Widzi Olympię, która odchyliła głowę do tyłu. Na szyi widać żyły. Malorie powoli ogarnia poddasze wzrokiem.

Obok Olympii stoją pudła. Dalej okno. I jeszcze więcej pudeł. Stare książki. Stare ubrania.

Błyskawica znowu rozświetla pomieszczenie. Malorie zamyka oczy. W myślach wyświetla jej się zapamiętany obraz.

Okno. Pudła.

I jakiś mężczyzna stojący w miejscu, w którym stał przedtem Don.

To niemożliwe, myśli.

Ale to prawda.

Zanim otworzy oczy, już wie, kto się tam przyczaił, kto jest z nimi na poddaszu.

– Gary – mówi Malorie, a przez głowę przelatują jej tysiące myśli. – Przez cały czas ukrywałeś się w piwnicy.

To dlatego Victor ciągle warczał pod drzwiami.

To dlatego Don tam spał.

Malorie patrzy Gary’emu w oczy, a na dole kłótnia przeradza się w zacieklą awanturę. Jules aż chrypi. Don jest wściekły. Wydaje się, że doszło do bójki.

Gary wychodzi z mroku. Podchodzi do niej.

Gdy zamknęliśmy oczy, a Tom otworzył frontowe drzwi, uświadamia sobie Malorie, Don przemycił Gary’ego do piwnicy.

– Co tu robisz?! – krzyczy nagle Olympia.

Ale Gary nie zwraca na nią uwagi. Skupiony jest wyłącznie na Malorie.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – wrzeszczy Malorie.

Mężczyzna klęka tuż obok.

– Widzisz – zwraca się do niej – jesteś teraz zupełnie bezbronna. Wydawało mi się, że będziesz miała w sobie więcej współczucia i nie wyrzucisz nikogo jak zbitego psa na ten straszny świat.

Kolejny błysk za oknem.

– Tom! Jules!

Dziecko jeszcze się nie urodziło. Ale za moment to się wydarzy.

– Nie krzycz – uspokaja ją Gary. – Nie jestem zły.

– Proszę, zostaw mnie w spokoju. Błagam, daj nam spokój.

Gary zaczyna się śmiać.

– Ciągłe to powtarzasz! I ciągle chcesz się mnie pozbyć!

Na zewnątrz uderza kolejny piorun. Na dole robi się coraz głośniejsze.

– Tyle że nigdy mi się to nie udało – mówi Malorie, a każde słowo jest jak gład uciskający jej klatkę piersiową.

– To prawda, nigdy.

Z oczu Malorie zaczynają płynąć łzy.

– Tylko Don miał w sobie tyle serca, żeby mi pomóc. Przewidział nawet, że przegłosujecie moje odejście.

Don, myśli Malorie. Coś ty narobił?

Gary przysuwa się bliżej.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to opowiem ci pewną historię, gdy ty będziesz zajęta porodem.

– Co?

– Opowiem ci historię. Żeby odwrócić twoją uwagę od bólu. A tak w ogóle, to doskonale sobie radzisz. Lepiej niż moja żona.

Oddech Olympii nie brzmi dobrze, oddycha z wielkim trudem, jakby miała tego nie przeżyć.

– Wydarzyła się jedna z dwóch rzeczy – ciągnie Gary. – Albo...

– Błagam. – Malorie płacze. – Zostaw mnie w spokoju.

– Albo moja teoria jest słuszna, albo jestem odporny, choć niechętnie używam tego słowa.

Dziecko chce już opuścić jej ciało. Wydaje się jednak zbyt duże, żeby samo mogło sobie poradzić. Malorie dyszy i zamyka oczy. Tonie w bólu, który wypełnia wszystko, nawet otaczając ją ciemność.

Oni nie wiedzą, że Gary tu jest. O Boże, oni nie mają pojęcia.

– Obserwowałem tę ulicę od dłuższego czasu. Patrzyłem, jak Tom i Jules rozbijają się po omacku po okolicy podczas ich wyprawy. Stałem o kilka centymetrów od Toma, gdy ten obmacywał namiot, który dawał mi schronienie.

– Przestań. PRZESTAŃ!

Ale krzyk tylko nasila ból. Malorie postanawia się skoncentrować. Prze. Oddycha. Potem znów prze. Ale nie może przestać słuchać.

– Wydało mi się to fascynujące, jak daleko może się posunąć człowiek. Patrzyłem, zupełnie bezbronny, na istoty, które mijają mnie w dzień i w nocy, całymi gromadami. To dlatego wybrałem tę ulicę, Malorie. Nie masz pojęcia, jaki na niej panuje ruch...

blagam blagam blagam blagam blagam blagam blagam blagam BŁAGAM

Z dołu dobiega głos Toma:

– Jules! Pomóż mi!

Słysząc tupot nóg.

– TOM! POMOCY! GARY TU JEST! POMOCY!

– Jest bardzo zajęty – informuje ją Gary. – Na dole mają naprawdę poważny problem.

Mężczyzna wstaje. Podchodzi do drzwi i po cichu je zamyka.

A potem rygluje.

– Teraz lepiej? – pyta.

– Co zrobiłeś? – syczy Malorie.

Z dołu dobiega coraz więcej krzyków. Jakby wszyscy biegali naraz. Przez chwilę wydaje jej się, że zwariowała. Nie ma znaczenia, jak bardzo była ostrożna, po prostu w tym świecie szaleństwo jest nieuniknione.

Ktoś krzyczy na korytarzu na dole, tuż pod schodkami na poddasze. Malorie wydaje się, że to Felix.

– Moja żona nie była gotowa – mówi nagle Gary. Jest blisko niej. – Obserwowałem, jak spotkała istotę. Nie ostrzegłem jej przed tym. Ja...

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś? – Malorie płacze i prze.

– Ponieważ nikt z was by mi nie uwierzył. Tak jak nie uwierzyli inni. Poza Donem.

– Jesteś szalony.

Gary śmieje się, wyszczerzając szeroko zęby.

– Co się dzieje na dole?! – krzyczy Olympia. – Malorie! Co się tam dzieje?!

– Nie wiem!

– To Don – tłumaczy Gary. – Próbuje przekonać innych do tego, czego go nauczyłem.

– TO DON!

Głos na dole jest bardzo wyraźny, jakby mówiący był tuż obok, na poddaszu.

– DON ZERWAŁ KOCE! DON ZERWAŁ ZASŁONY!

– One nie zrobią nam krzywdy – szepce Gary.

A Malorie czuje przy uchu jego wilgotną brodę.

I już dłużej go nie słucha.

– Malorie? – szepce Olympia.

– DON ZERWAŁ ZASŁONY I OTWORZYŁ DRZWI! ISTOTY WESZŁY DO DOMU! SŁYSZYSZ?! ISTOTY SĄ W DOMU!

dziecko wychodzi dziecko wychodzi dziecko wychodzi

– Malorie?

– Olympio! – Malorie czuje się pokonana, pozbawiona wszelkiej nadziei. (Czy to się dzieje naprawdę? Czy jej głos faktycznie jest w stanie aż tak dużo teraz powiedzieć?) – Tak. Istoty weszły do domu.

Burza smaga ściany domu ulewnym deszczem.

Chaos na dole jest nie do zniesienia.

– Brzmią jak wilki – płacze Olympia. – Brzmią jak wilki!

Don Don Don Don Don Don Don Don Don Don Don

zerwał koce z okien

wpuścił istoty do środka

ktoś je zobaczył

wpuścił do środka

ktoś oszalał, ciekawe kto

Don je wpuścił

Don zerwał koce

Don uwierzył, że nas nie skrzywdzą

Don uwierzył, że to tylko kwestia naszych umysłów

Gary klęczał przy jego krześle w jadalni

Gary ciągle z nim rozmawiał zza zasłony w piwnicy

Don zerwał koce

Gary wmówił mu, że istoty nie są groźne, Gary wmówił mu, że istoty nie zrobią nikomu krzywdy

ktoś mógł już oszaleć, ale kto?

(przyj Malorie, przyj, musisz się teraz martwić o dziecko, zamknij oczy i przyj, przyj)

są w domu

i teraz

wszyscy brzmią jak wilki.

Ptaki, myśli histerycznie Malorie. To był bardzo dobry pomysł, Tom. Znakomity.

Olympia jak szalona zadaje jej teraz pytania, ale Malorie nie może odpowiedzieć. Jej umysł jest przepełniony.

– Czy to wszystko prawda? Czy istoty naprawdę są w domu? To nie może być prawda. Nigdy byśmy na to nie pozwolili! Czy naprawdę w domu jest jakaś istota? Teraz?

Coś mocno uderza w ścianę na dole. Chyba ciało. Psy szczekają.

Ktoś rzucił psem o ścianę.

– DON ZERWAŁ KOCE!

Komu udało się zamknąć oczy? Kto zachował przytomność umysłu? Czy Malorie byłaby w stanie to zrobić? Czy Malorie byłaby w stanie zamknąć oczy, gdyby jej towarzysze zaczęli tracić zmysły?

O Boże, myśli. Oni wszyscy tam umrą.

Dziecko za moment ją wykończy.

Gary ciągle coś jej szeptem do ucha.

– To, co teraz słyszysz, Malorie, to, co się dzieje na dole, dokładnie potwierdza moją koncepcję. Uwierzyli, że zwariują. A wcale nie musieli. Byłem na zewnątrz bardzo długo. I przez ten cały czas obserwowałem istoty.

– Niemożliwe – mówi Malorie.

Ale nie wie, czy jej słowa skierowane są do Gary'ego, czy do hałasów na dole, czy do bólu, który zdaje się nie mieć końca.

– Gdy pierwszy raz je zobaczyłem, też myślałem, że zwariuję. – Gary śmieje się nerwowo. – Ale tak się nie stało. A kiedy powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że ze mną wszystko w porządku, zrozumiałem, co się dzieje... z moimi przyjaciółmi... rodziną... ze wszystkimi.

– Nie chcę cię słuchać! – krzyczy Malorie.

Czuje, jakby jej ciało rozpadało się na pół. Coś idzie nie tak... Jej dziecko jest za duże i rozerwie ją na kawałki.

To chłopiec, doznaje nagle olśnienia.

– Wiesz co?

– Przestań!

– Wiesz co?

– Nie! Nie! Nie!

Olympia wyje, niebiosa wyją, a na dole wyją psy. Malorie wydaje się, że słyszy Jules'a. Jak biega po parterze. Jak próbuje rozerwać coś w łazience.

– Może jestem odporny, Malorie. A może jestem po prostu świadom.

Malorie chce powiedzieć mu: „Wiesz, ile mógłbyś dla nas zrobić? Masz świadomość, jak bardzo pomógłbyś nam poprawić nasze bezpieczeństwo?”.

Ale Gary jest szaleńcem.

I pewnie zawsze nim był.

Don zerwał koce.

Gary klęczał przy nim w jadalni.

Gary rozmawiał z Donem zza zasłony w piwnicy.

Gary jest demonem namawiającym Dona do złego.

Nagle rozlega się głośne walenie do drzwi.

– WPUŚĆCIE MNIE! – krzyczy ktoś.

To Felix, myśli Malorie. Albo Don.

– JEZU CHRYSSTE, WPUŚĆCIE MNIE!

Ale nie, to żaden z nich.

To Tom.

– Otwórz mu drzwi! – krzyczy do Gary'ego Malorie.

– Jesteś pewna, że chcesz, bym to zrobił? Nie wydaje mi się to bezpieczne.

– Błagam błagam błagam! Wpuść go!

To Tom, o Boże, to Tom, to Tom, to Tom, o mój Boże, to Tom.

Malorie mocno prze. O Boże, jak mocno teraz prze.

– Oddychaj – mówi Gary. – Oddychaj. Już prawie koniec.

– Błagam – płacze Malorie. – Błagam!

– WPUŚĆCIE MNIE! OTWÓRZCIE DRZWI!

– Otwórz te drzwi! To Tom! – krzyczy tym razem Olympia.

Szaleństwo, które opętało dół, teraz dobija się na górę.

Tom.

Tom oszalał. Spojrzał na jedną z istot.

Tom oszalał.

Słyszałaś go? Słyszałaś jego głos? Brzmiał dziwnie. Jakby postradał zmysły. Jakby przestał działać jego piękny umysł.

Gary wstaje i przemierza poddasze. W dach uderzają krople deszczu.

Nagle pukanie do drzwi ustaje.

Malorie patrzy na Olympię.

Ciemne włosy koleżanki mieszają się z cieniami. Jej oczy płoną.

– Już... prawie... koniec... – dyszy.

Rodzi się dziecko Olympii. W świetle świecy Malorie widzi, że jest w połowie drogi.

Instynktownie wyciąga do niego z daleka rękę.

– Olympio! Pamiętaj, musisz zakryć dziecku oczy. Pamiętaj...

Drzwi na poddasze otwierają się z wielkim hukiem. Zamek został wyłamany. Malorie krzyczy, ale jedyne, co teraz słyszy, to bicie swego serca, które zagłusza wszystkie odgłosy nowego świata.

I nagle milknie.

Gary wstaje i cofa się w kierunku okna.

Malorie słyszy za plecami ciężkie kroki. Teraz przyszedł czas na narodziny jej dziecka.

Schody skrzypią.

– Kto to?! – krzyczy. – Kto to?! Czy wszystko okej?! To ty, Tom?! Kto to?!

Ktoś, kogo nie widzi, wszedł po schodach i jest teraz z nimi na poddaszu.

Malorie, siedząc tyłem do schodów, widzi, jak z twarzy Olympii znika ból i zastępuje go zachwyty.

Olympio, nie patrz. Tak dobrze nam idzie. Jesteśmy takie dzielne. Nie patrz. Weź swoje dziecko. Zakryj mu oczy, gdy już całkowicie przyjdzie na świat. Zakryj mu oczy. I swoje też. Nie patrz, Olympio. Nie patrz.

Ale wie, że dla jej przyjaciółki jest już za późno.

Olympia pochyla się. Jej oczy stają się coraz większe, buzię ma otwartą. Na jej twarzy widać teraz trzy perfekcyjne koła. Przez chwilę Malorie widzi, że twarz Olympii się zniekształca, a potem błyszczy.

– Jesteście piękne – mówi Olympia. Uśmiecha się, choć ten jej uśmiech bardziej przypomina grymas. – W ogóle nie jesteście złe. Chcecie zobaczyć moje dziecko? Chcecie zobaczyć moje dziecko?

Dziecko, dziecko, myśli gorączkowo Malorie. Dziecko jeszcze się nie urodziło, a ona już zwariowała. O Boże, Olympia oszalała. O mój Boże, to coś jest za mną, za mną i za moim dzieckiem.

Malorie zamyka oczy.

Gdy to robi, ciągle ma przed oczami Gary'ego, który stoi w świetle świecy. Teraz już nie jest taki pewny siebie jak jeszcze chwilę temu. Wygląda raczej

jak przerażone dziecko.

– Olympio – powtarza Malorie. – Musisz zakryć dziecku oczy. Musisz się nachylić. Do swojego dziecka.

Malorie nie widzi twarzy swojej przyjaciółki. Ale w jej głosie słyszy zmianę.

– Co? Będiesz mi mówić, jak mam wychowywać swoje dziecko? Ale zdzira z ciebie! Ale z ciebie...

Słowa Olympii zamieniają się w gardłowy pomruk.

Ambaras z szaleństwem.

Chore, niebezpieczne określenie Gary’ego.

Olympia zaczyna ujadać.

Pojawia się główka dziecka Malorie, więc kobieta prze.

A znajdując w sobie siłę, o jakiej nie miała nawet pojęcia, centymetr po centymetrze przesuwają się na ręczniku. Chce dotrzeć do dziecka Olympii. Chce je ochronić.

Nagle w tym okropnym bólu i chaosie Malorie słyszy pierwszy krzyk maleństwa urodzonego przez przyjaciółkę.

Musisz zamknąć jego oczy.

Ale teraz to dziecko Malorie przepycha się na świat i to jego oczy musi ochronić. Główka maluszka jest taka miękka... Malorie ma nadzieję, że zdąży.

– Chodź do mnie – mówi i przytula noworodka do piersi. – Chodź do mnie i zamknij oczy.

Gary śmieje się niepokojąco po przeciwnej stronie pokoju.

– Niesamowite – mówi.

Malorie szuka dłonią noża do steków. Znajduje go i przecina pępówinę. Potem odcina od ręcznika dwa paski zakrwawionego ręcznika. Dotyka dziecka i wie już, że to chłopiec. Ale nie ma przy niej nikogo, kto mógłby jej to radośnie oznajmić. Ani siostry. Ani matki. Ani ojca. Nie ma położnej. Nie ma też Toma. Przyciska malca mocno do piersi.

Powoli zawiązuje pasek ręcznika na jego oczach.

Jak ważne jest to, żeby zobaczył twarz matki zaraz po narodzinach?

Malorie słyszy za sobą istoty.

– Dzieciatko – mówi Olympia, ale jej głos skrzeczy, brzmi jak u staruszki. – Moje maleństwo.

Malorie przesuwają się do przodu, choć obolałe mięśnie stawiają opór. Wyciąga ręce do dziecka przyjaciółki.

– Hej, Olympia, mogę je chwilę potrzymać? Mogę je zobaczyć? – mówi

z zamkniętymi oczami.

Olympia charczy.

– Dlaczego miałabym ci je dać? Czego chcesz od mojego dziecka?
Zwariowałaś?

– Nie. Chcę je tylko zobaczyć.

Oczy Malorie są nadal zamknięte. Na poddaszu panuje cisza. Deszcz lekko uderza o dach. Malorie przesuwają się kawałek dalej, pod sobą ma kałużę krwi.

– Mogę? Mogę ją zobaczyć? To dziewczynka, prawda? Widzisz, miałaś rację.
Nagle Malorie słyszy coś tak zaskakującego, że aż wstrzymuje oddech.

Olympia coś przegryza.

A Malorie wie, że to pępowina.

Żołądek podchodzi jej pod gardło. Zaciska powieki. Za moment zwymiotuje.

– Mogę ją zobaczyć? – udaje się jej wydusić z siebie.

– Tak. Tak! – mówi Olympia. – Popatrz na nią. Popatrz na nią!

W końcu Malorie kładzie dłoń na dziecku Olympii. Tak, to dziewczynka.

Olympia wstaje. Słysząc, jakby chodziła po kałużach. Ale Malorie wie, że to krew. Wody płodowe, pot i krew.

– Dziękuję – szepce. – Dziękuję, Olympio.

Ten moment, chwila, gdy Olympia przekazała jej swoje małeństwo, na zawsze pozostanie w pamięci Malorie. Mimo utraty zmysłów Olympia chciała dla swojego dziecka jak najlepiej.

Malorie zawiązuje dziewczynce wokół oczu drugi pasek ręcznika.

Olympia sunie w stronę zasłoniętego okna. Tam, gdzie stoi Gary.

Za plecami Malorie coś czeka, nieruchomo.

Malorie bierze dwójkę dzieci i zasłania im dodatkowo oczy swymi mokrymi od krwi palcami. Maluchy płaczą.

Nagle słyszy, że Olympia z czymś się szarpie, coś przesuwają.

Jakby na coś wchodziła.

– Olympia?

Słysząc, jakby się do czegoś szykowała.

– Olympia? Co robisz? Gary, powstrzymaj ją. Błagam, Gary!

Lecz jej słowa są bezużyteczne. Gary jest najbardziej szalony ze wszystkich.

– Wychodzę na dwór – oznajmia Olympia Gary'emu, który musi być gdzieś blisko niej. – Za długo już siedziałam w domu.

– Olympio, zatrzymaj się!

– Wychodzę na dwór – powtarza Olympia, a jej głos brzmi jak głos dziecka

pomieszany z głosem starca na łożu śmierci.

– Olympio!

Ale jest już za późno. Malorie słyszy, jak rozbija się szyba w oknie, a potem coś uderza o ścianę domu.

Cisza. Na dole. Na poddaszu. Nagle odzywa się Gary:

– Zawisła! Zawisła na pępowninie!

O nie, błagam. Boże, niech ten człowiek zamilknie.

– Wisi na pępowninie! To najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałem! Zawisła na pępowninie! – W jego głosie słychać śmiech, radość.

Coś porusza się za jej plecami. Malorie jest w epicentrum tego szaleństwa. Szaleństwa w starym stylu. Z jakim człowiek styka się podczas wojny, po rozwodzie, na skutek biedy i gdy okazuje się, że twój przyjaciel...

– Wisi na pępowninie! Na pępowninie!

– Zamknij się! – wrzeszczy na niego Malorie. – Zamknij się!

Ale słowa utykają jej w gardle, bo czuje, że to coś pochyła się do przodu, a jego część (może twarz?) znajduje się blisko jej ust.

Malorie tylko oddycha. Nie rusza się. Na poddaszu panuje cisza.

Czuje ciepło, gorąc płynący od tej istoty.

Shannon, myśli. Popatrz na chmury. One wyglądają jak my. Ty i ja.

Przyciska mocniej palce do oczu dzieci.

Słyszy, że to coś wycofuje się. Oddala się od niej. Coraz bardziej.

Nagle staje.

Gdy Malorie słyszy, jak skrzypią drewniane schody, i kiedy jest pewna, że ktoś po nich zszedł, wydaje z siebie jęk, najgłośniejszy, jaki kiedykolwiek wydała w życiu.

Już nie słyszy kroków. Zapada cisza.

Poszła sobie. Istota sobie poszła.

– Zostawiła nas, wszystkie one nas zostawiły – mówi do dzieci.

Teraz jednak słyszy, że Gary się poruszył.

– Nie zbliżaj się do nas! – krzyczy z zamkniętymi oczami. – Nie dotykaj nas!

Ale on nie zbliża się do nich. Przechodzi obok i znów słychać skrzypienie schodów.

Poszedł na dół zobaczyć, kto przeżył, a kto nie.

Podnosi się, cała obolała ze zmęczenia. Straciła dużo krwi. Ciało chciałoby położyć się spać. Zapaść w sen. Są sami na poddaszu. Ona i dzieci. Chce się znów położyć. Potrzebuje tego. Tymczasem czeka. Nasłuchuje. Odpoczywa.

Ile czasu minęło? Jak długo trzymam już dzieci?

Ale nowy dźwięk przerywa chwilę odpoczynku. Dobiega z dołu. To dźwięk, który często słyszała w starym świecie.

Olympia zwisa (tak jak mówił, tak jak mówił) z okna poddasza.

Jej ciało uderza o dom.

A na dole coś dzwoni.

To telefon. Dzwoni telefon.

Malorie jest jak zahipnotyzowana tym dźwiękiem. Ile czasu minęło, odkąd go słyszała ostatnio?

Ktoś do niej dzwoni.

Ktoś oddzwania.

Malorie odwraca się, ślizga się w wodach płodowych. Kładzie dziewczynkę na kolanach i delikatnie zawija ją w swoją koszulę. Wolną ręką szuka schodów. Są bardzo strome. I stare. Żadna kobieta po porodzie nie powinna się nawet do nich zbliżać.

Ale dzwoni telefon.

Ktoś oddzwania.

A Malorie chce odebrać ten telefon.

Dryyyyyyyń dryyyyyyyń

Ciągle powtarza dzieciom, żeby nie otwierały oczu, mimo że mają opaski.

To polecenie będzie najczęściej przez nią powtarzane przez kolejne cztery lata. I nic jej nie powstrzyma przed mówieniem tego, nawet wiek maluchów.

Dryyyyyyyyyyyń

Przesuwa pośladki na skraj schodów i zwiesza nogi na dół, na pierwszy stopień. Jej ciało histerycznie chce ją zatrzymać.

Ale ona schodzi.

Schodzi po schodach. Prawym ramieniem trzyma chłopca, dłonią zasłaniając mu twarz. Dziewczynka wisi w jej koszuli. Malorie ma zamknięte oczy, wokół panuje ciemność, a ona tak bardzo potrzebuje snu... Czy nie spadnie ze schodów? Ale nie, ona idzie, stopień po stopniu. Prowadzi ją dźwięk telefonu.

Dryyyyyyyyyyyyyyyń

Jej stopa dotyka jasnoniebieskiej wykładziny na podłodze pierwszego piętra. Oczywiście ona nie widzi żadnych kolorów, podobnie jak nie widzi Jules'a leżącego twarzą do ziemi pod ścianą, nie widzi pięciu smug krwi, które ciągną się od wysokości jej głowy aż do jego dłoni wbitych w podłogę.

Przed kolejnymi stopniami zatrzymuje się. Bierze głęboki wdech. Wierzy, że jej się uda. I idzie dalej.

Mija Cheryl, ale tego też nie wie. Jeszcze nie. Głowa Cheryl zwrócona jest w stronę pierwszego piętra, a jej nogi w stronę poddasza. Całe ciało ma potwornie powykręcane.

Nie mając o niczym pojęcia, Malorie przechodzi dosłownie o kilka centymetrów od niej.

Niemal dotyka Felixa na dole przy schodach. Później jęknie, gdy wyczuje dziury w jego twarzy.

Dryyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyń

Nie wie, że przechodzi obok jednego z psów husky. Został rzucony pod ścianę. A ponad nim znajduje się wielka plama krwi.

Chce zapytać: „Czy ktoś tu jest?”. Chce to wykrzyknąć, ale telefon wciąż dzwoni, a Malorie wie, że nie przestanie dzwonić, dopóki go nie odbierze.

Idzie za dźwiękiem, przesuwając się wzdłuż ściany.

Do środka, przez wybite okna, wpadają deszcz i wiatr.

Muszę odebrać telefon.

Gdyby otworzyła oczy, nie byłaby w stanie znieść ilości krwi, jaka znajduje się w całym domu.

Dryyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyń

Zobaczy to wszystko później.

Ale teraz telefon dzwoni tak głośno... I jest tak blisko...

Malorie odwraca się, opiera plecami o ścianę i zjeżdża z ogromnym trudem na dywan. Telefon stoi na małym stoliku. Całe ciało ją boli, wręcz pali. Kładzie chłopca z boku, a dziewczynkę na kolanach i wyciąga rękę, żeby namacać aparat, który nie przestaje dzwonić.

– Halo?

– Halo.

Jakiś mężczyzna. Jego głos jest bardzo spokojny. W przeciwieństwie do tego miejsca.

– Kto mówi? – pyta Malorie.

Ciężko jej pojąć, że właśnie korzysta z telefonu.

– Jestem Rick. Dostaliśmy waszą wiadomość kilka dni temu. Ale, można powiedzieć, byliśmy zajęci. A ty jak masz na imię?

– Kto mówi?

– Powtórzę, jestem Rick. Człowiek o imieniu Tom zostawił nam wiadomość.

– Tom.

– Tak, mieszka z tobą, tak?

– Mam na imię Malorie.

– Wszystko okej, Malorie? Brzmisz, jakbyś była ranna.

Malorie bierze wielki wdech.

– Tak, wszystko okej – odpowiada, choć wie, że już nigdy nie będzie okej.

– Teraz nie mamy zbyt wiele czasu. Czy chciałabyś wydostać się z miejsca, w którym jesteś? Udać się gdzieś, gdzie jest bezpieczniej? Rozumiem, że odpowiedź brzmi tak.

– Tak – mówi Malorie.

– Powiem ci, co masz zrobić. Najlepiej zapisz to sobie, jeśli możesz. Masz długopis?

Malorie potwierdza i sięga po długopis, który Tom trzymał przy książce telefonicznej.

Dzieci płaczą.

– Słyszę, że jest z tobą dziecko.

– Tak.

– Domyślam się, że dlatego chcesz znaleźć dla was bezpieczniejsze miejsce. Oto potrzebne informacje, Malorie. Płyn rzeką.

– Co?

– Płyn w dół rzeki. Wiesz, gdzie jest rzeka?

– Taaak. Wiem, gdzie jest. Zaraz za domem. Jakies siedemdziesiąt metrów od studni. Tak mi powiedziano.

– Dobrze. Płyn w dół rzeki. To bardzo niebezpieczne, ale myślę, że skoro tobie i Tomowi udało się tak długo przetrwać, to przeprawa rzeką też wam się uda. Znalazłem wasze położenie na mapie i wygląda na to, że musicie przepłynąć przynajmniej trzydzieści kilometrów. Potem rzeka rozgałęzia się...

– Co takiego?

– Przepraszam. Pewnie mówię za szybko. Ale daję ci wskazówki do lepszego życia.

– Jak to możliwe?

– No cóż, nie mamy tu okien. Ale mamy bieżącą wodę. I produkujemy własną żywność. Jesteśmy samowystarczalni. Mamy dużo pokoi, ładnych. Większość z nas uważa, że jest nam lepiej niż tam, gdzie byliśmy wcześniej.

– Ile was jest?

– Sto osiem osób.

Dla Malorie liczba nie ma znaczenia. Równie dobrze mogłaby to być nieskończoność.

– Teraz powiem ci, jak tu dotrzeć. Byłoby strasznie, gdyby wysiadła linia telefoniczna, zanim ci podam wskazówki.

– Dobrze.

– Rzeka rozwidła się na pięć kanałów. Musisz wybrać drugi od prawej. Więc lepiej trzymaj się prawego brzegu. Postaraj się. To trudne. I będziesz musiała otworzyć oczy.

Malorie wolno kręci głową.

Rick mówi dalej:

– Zaraz ci powiem, jak się dowiesz, kiedy nadejdzie właściwy moment. Usłyszysz nagranie. Głos. Nie możemy siedzieć nad rzeką całymi dniami... To zbyt niebezpieczne... Dlatego ustawimy tam głośniki. Nagranie będzie zapętłone. Na pewno je usłyszysz. Będzie głośne i wyraźne. I właśnie wtedy otworzysz oczy.

– Dziękuję, Rick, ale nie dam rady.

Jej głos jest obojętny. Zmęczony.

– Wiem, że to przerażające. Oczywiście, że tak. Ale problem polega na tym, że nie ma innego wyjścia.

Malorie chce się rozłączyć, Rick nie daje jednak za wygraną.

– Naprawdę dużo się u nas dzieje. Codziennie robimy ogromne postępy. Oczywiście jeszcze daleko nam do realizacji naszych wszystkich planów, ale staramy się.

Malorie zaczyna płakać. Jego słowa, to, co do niej mówi... Czy dają jej nadzieję? Czy wpędzają w jeszcze większą niż teraz beznadzieję?

– Jeśli dotrę do miejsca, o którym mówisz, jak was tam znajdę? – pyta Malorie.

– Przy rozwidleniu?

– Tak.

– Mamy system alarmowy. Podobny do tego, który uruchomi nagranie dla ciebie. Gdy wybierzesz właściwy kanał, przepłyniesz jeszcze sto metrów i wtedy uruchomi się nasz alarm. Zamknie się ogrodzenie. I utkniesz. A my przyjdziemy zobaczyć, co takiego utknęło.

Przez ciało Malorie przechodzi dreszcz.

– Naprawdę?

– Tak. Słyszę, że brzmisz sceptycznie.

W głowie Malorie pojawiają się wspomnienia starego życia, a każde z nich jest jak chłośniecie biczem mówiące jej, że człowiek, z którym właśnie rozmawia, i miejsce, do którego ma dotrzeć, mogą być dobre, mogą być złe, mogą być lepsze niż to, co teraz, a mogą być gorsze, ale jedno jest pewne: już nigdy nie będzie wolna.

– Ile was tam jest? – pyta Rick.

Malorie wsłuchuje się w ciszę domu. Okna są wybite. Drzwi pewnie otwarte na oścież. Musi wstać. Zamknąć je. Zakryć okna. Czuje, jakby to wszystko przydarzało się komuś innemu.

– Trójka – odpowiada bez życia. – Ale jeśli coś się zmieni...

– Nie martw się tym, Malorie. Nieważne, ile was przypłynie. Mamy miejsca dla dwustu osób, a szykujemy jeszcze więcej. Postaraj się wyruszyć najszybciej, jak tylko możesz.

– Rick, a możesz przyjść tu po mnie?

Słyszysz, jak Rick bierze głęboki wdech.

– Przykro mi, Malorie. To zbyt duże ryzyko. Jestem tu potrzebny. Wiem, że być może brzmi to samolubnie, ale, niestety, sama musisz do nas dotrzeć.

Malorie milczy i kiwa głową. Mimo straty, bólu i przelanej krwi rozumie, że mężczyzna musi być bezpieczny.

Tyle tylko że nie mogę teraz otworzyć oczu, a mam na kolanach dwa noworodki, które dopiero co przyszły na świat. W pokoju śmierdzi moczem, krwią i śmiercią. Do środka szybko wpada powietrze. Jest zimno i wiem, że okno jest wybite, a drzwi otwarte. A to bardzo niebezpieczne. Tak więc wszystko to, Rick, brzmi super, naprawdę, ale teraz nawet nie wiem, jak dotrzeć do łazienki, a co dopiero przepłynąć rzeką trzydzieści kilometrów, czy ile tam mówiłeś.

– Malorie, będę się do ciebie odzywał. Zadzwoń. Czy może chcesz wyruszyć najszybciej, jak się da?

– Nie wiem. Nie wiem, kiedy będę mogła wyruszyć.

– Okej.

– Ale dziękuję.

To najszczerze podziękowania, jakie Malorie kiedykolwiek wypowiedziała w życiu.

– Zadzwoń do ciebie za tydzień, Malorie.

– Okej.

– Malorie?

– Tak?

– Jeśli się nie odezwę, to będzie oznaczało, że wysiadła u nas linia telefoniczna. Albo może u ciebie. Zaufaj mi. Powiedziałem, że czekamy na ciebie, więc możesz przybyć, kiedy tylko zechcesz. Będziemy czekać.

– Dobrze – odpowiada Malorie.

Rick podaje jej swój numer telefonu. Malorie zapisuje go po omacku na stronie otwartej książki telefonicznej.

– Do widzenia, Malorie.

– Do widzenia.

Po prostu zwykła rozmowa przez telefon.

Malorie odkłada słuchawkę. Potem zwiesza głowę i zaczyna płakać. Dzieci kręcą się na jej kolanach. Płacze nieprzerwanie przez jakieś dwadzieścia minut i nagle zaczyna krzyżeć, bo coś drapie w drzwi od piwnicy. To Victor! Szczeka, żeby go wypuścić. Jakimś cudem ktoś go zamknął w piwnicy. Może Jules, gdy zobaczył, co się święci.

Już po zasłonięciu wszystkich okien i zamknięciu drzwi sprawdza szczotką każdy kąt, czy nie ma gdzieś przypadkiem jakiejś istoty. Zajmuje jej to sześć godzin i dopiero wówczas dochodzi do wniosku, że może spokojnie otworzyć oczy. Wtedy widzi, co się tu wydarzyło, podczas gdy ona na poddaszu rodziła dziecko.

Ale wcześniej, teraz, jeszcze z zamkniętymi oczami, Malorie wstaje i idzie przez salon aż do drzwi piwniczki.

I wpada na ciało Toma.

Choć nawet nie wie, że to on. Wydaje się jej, że to torebka cukru, którą potrąca, klęcząc przed wiadrem z wodą. Zaczyna mozolny proces domywania siebie i dzieci.

W nadchodzących miesiącach będzie jeszcze rozmawiać z Rickiem wiele razy. Aż w końcu wysiądą linie telefoniczne...

Sześć miesięcy zajmie jej sprzątnięcie domu, usunięcie ciał i śladów krwi. Znajdzie Dona leżącego na kuchennej podłodze. Chciał chyba dotrzeć do piwnicy, opętany szaleństwem, poprosić Gary'ego, żeby ten zwrócił mu rozum. Malorie będzie szukać Gary'ego. Wszędzie. Ale nigdy więcej nie znajdzie po nim śladu. Choć zawsze będzie się go bać. Tego, że go spotka. Gdzieś tam. W nowym świecie.

Większość towarzyszy pochowa wokół studni za domem. I potem chodząc tam po wodę, zawsze będzie się potykać o te nierówności, bo ich groby wykopie z zamkniętymi oczami.

Tom zostanie pochowany najbliżej domu. Na skrawku zieleni, gdzie czasem zabiera dzieci na świeże powietrze. Oczywiście ze związanymi oczami. W tym miejscu, ma nadzieję, dzieci mogą poczuć choć trochę wolności.

Dopiero po czterech latach odpowie „tak” na zaproszenie do miejsca, które Rick opisał jej przez telefon.

A teraz? A teraz po prostu musi się umyć.

Siebie i dzieci.

A maluchy płaczą.

Czterdzieści trzy

Ciągle słycać nagrany głos Toma.

Zostawia wiadomość.

„Dwieście siedemdziesiąt trzy Shillingham... Mam na imię Tom... Pewnie rozumiecie moją ulgę, że udało mi się dodzwonić do waszej automatycznej sekretarki...”

Opaska Malorie jest wciąż nieco odsunięta od zamkniętych oczu.

Podnosi rękę i łapie palcami za czarny materiał. Przez moment ona i ta istota trzymają razem opaskę. Ta istota, lub do niej podobna, ukradła jej Shannon, ukradła matkę i ojca, ukradła Toma. To coś ograbiło z dzieciństwa jej dzieci...

W pewnym sensie Malorie w ogóle się nie boi. Co mogą jej jeszcze zrobić?

– Nie! – Ciągnie za tkaninę. – To moje!

Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem coś dotyka jej twarzy. Malorie krzywi się. Ale to tylko materiał wrócił na swoje miejsce na jej nosie i skroniach.

Będziesz musiała otworzyć oczy.

To prawda. Głos Toma oznacza, że przybyła do miejsca, o którym mówił Rick, miejsca, gdzie rzeka rozwidła się na kanały. Tom mówi takim głosem jak zawsze, gdy siedzieli w salonie. „Może nie chcą nam zrobić krzywdy. Może też ich zaskakuje to, jak na nas działają. To kolizja, Malorie. Kolizja naszego świata z ich światem. Po prostu wypadek. Może w ogóle nie chcą nas krzywdzić”.

Ale prawda jest taka, że bez względu na ich intencje Malorie będzie musiała za chwilę otworzyć oczy. A jedna z istot stoi tuż obok niej.

Widziała, że dzieci potrafią robić niesamowite rzeczy. Kiedyś przekartkowała książkę telefoniczną, a Chłopiec zgadł, że jest na stronie sto szóstej. Był blisko. Malorie wie, że właśnie teraz najbardziej potrzebuje ich

umiejętności.

Po lewej stronie już nic w wodzie się nie rusza. Istota albo straciła zainteresowanie opaską i odchodzi, albo czeka, żeby zobaczyć, co dalej zrobi Malorie.

– Chłopczyku? – odzywa się Malorie.

I nie musi mówić nic więcej. Dziecko w mig rozumie, o co jej chodzi.

Na początku mały milczy. Słucha. Potem odpowiada:

– Oddała się, Mamusiu.

Mimo dochodzących z oddali odgłosów ptaków i pięknego, uspakajającego głosu Toma Malorie ma wrażenie, że zapadła cisza. Cisza emanująca z tej istoty.

Gdzie jest teraz?

Łódka, puszczone swobodnie, płynie z nurtem rzeki. Malorie wie, że odgłosy wody, które słyszy przed sobą, to rozwidlenie. Nie ma zbyt dużo czasu.

– Chłopczyku – mówi. Ma sucho w gardle. – Czy słyszysz coś jeszcze?

Chłopiec milczy.

– Chłopczyku?

– Nie, Mamusiu. Nie słyszę.

– Jesteś pewien? Jesteś całkowicie pewien?

Malorie zaczyna histeryzować. Jest gotowa czy nie, nadszedł ten moment.

– Tak, Mamusiu. Jesteśmy sami.

– A gdzie jest to coś?

– Poszło sobie.

– Ale gdzie?

Milczenie. A po chwili:

– Jest gdzieś z tyłu, za nami, Mamusiu.

– Dziewczynko?

– Tak, Mamusiu? Jest gdzieś za nami.

Malorie milknie. Dzieci mówią, że istota sobie poszła i jest gdzieś za nimi.

Teraz może polegać jedynie na tym, że znakomicie je wyszkoliła.

Ufa im.

Nie ma wyjścia.

Dopłynęli właśnie do linii głośników. Głos brzmi teraz tak, jakby Tom był z nimi w łódce.

Wtedy Malorie rozumie, że to dla niej znak. Tom jest tu, przy niej. Tom jest

z nią. I dlatego Malorie przetrwa.

Przełyka głośno ślinę.

Wyciera łąy z ust.

Bierze głęboki wdech.

Znów czuje to samo. Jak wtedy, kiedy wpuszczali Toma i Jules'a z powrotem do domu. Jak wtedy, kiedy wydawało im się, że wypuszczają Gary'ego.

Ta chwila pomiędzy.

Między decyzją o otwarciu oczu a zrobieniem tego.

Malorie odwraca twarz w stronę kanałów i otwiera oczy.

Na początku musi je zmrużyć. Nie z powodu światła słonecznego, lecz kolorów.

Wzdycha, podnosi rękę do ust.

Jej umysł jest teraz wolny od myśli, zmartwień, niepokojów i nadziei. Nie znajduje słów, żeby to opisać.

Bezczesny, wspaniały kalejdoskop.

Patrz, Shannon! Ta chmura wygląda jak Angela Markle z naszej klasy!

W starym świecie mogłaby patrzeć na rzeczywistość dwa razy bardziej barwną i nie musiałaby wcale mrużyć oczu. Ale teraz piękno sprawia jej ból.

Mogłaby tak patrzeć bez końca. A na pewno przez kolejne kilka sekund. Lecz głos Toma ją ponagła. W zwolnionym tempie pochyla się w stronę, z której dobiega nagranie, i spija każde słowo. Malorie wie, że nie może zabrać ze sobą kolorów, które widzi. Znów musi zamknąć oczy. Musi się odciąć od tych cudów, od tego świata.

Zamyka więc oczy.

Wraca do ciemności, którą tak dobrze zna.

Zaczyna wiosłować.

Gdy dociera w końcu do drugiego kanału po prawej, ma wrażenie, jakby wiosłowała przez rzekę wspomnień. Wspomnienia... Przypomina sobie siebie, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, gdy znalazła ciało Shannon, gdy odpowiedziała na ogłoszenie z gazety. Przypomina sobie, jak dotarła do domu, jak poznała współlokatorów, jak zgodziła się, żeby wpuścili Olymپیę. Przypomina sobie, kim była, gdy dołączył do nich Gary. Przypomina sobie, jak leżała na ręczniku na poddaszu, jak Don ściągnął koce z okien na parterze.

Teraz jest silniejsza. Odważniejsza. Sama wychowała dwójkę dzieci w tym okrutnym świecie.

Malorie zmieniła się.

Łódka kołysze się i dotyka brzegu kanału. Malorie domyśla się, że właśnie do niego wpłynęli.

Teraz przypomina sobie, kim była, gdy samotnie wychowywała dzieci. Przez cztery lata. Trenowała je. Uczyła. A zapewnianie im bezpieczeństwa, z dnia na dzień, stawało się coraz trudniejsze. Przypomina sobie Toma i miliony rzeczy, które mówił i które niezliczenie wiele razy dawały jej nadzieję, inspirowały ją, dodawały jej odwagi i wiary w to, że lepiej stawić czoła temu szaleństwu, niż siedzieć i czekać, aż rozerwie cię na strzępy.

Teraz łódź płynie szybciej. Rick mówił, że po stu metrach uruchomi się system alarmowy.

Na koniec przypomina sobie, jak obudziła się dziś rano. Jak wierzyła, że mgła da jej i jej dzieciom schronienie przed kimś takim jak Gary, który przecież ciągle może gdzieś tam być i obserwować ich z brzegu rzeki. Przypomina sobie, jak zaatakował ją wilk. Jak mężczyzna z łódki oszalał. Jak ptaki postradały zmysły. I jak istota, to coś, czego boi się najbardziej, bawiła się jej jedyną ochroną. Opaską.

Opaska.

Myśli o tym kawałku materiału i o tym, ile on dla niej znaczy. Nagle słyszy, jak metal trze o metal. Odgłos jest nieprzyjemny dla uszu.

To łódka na coś wpadła. Malorie szybko sprawdza, czy z dziećmi wszystko w porządku.

Wie, że to ogrodzenie. Uruchomił się alarm Ricka.

Serce wali jej jak młotem, nie musi już wiosłować. Podnosi głowę i krzyczy.

Czuje ulgę. Złość. Wszystko naraz.

– Jesteśmy na miejscu! – woła głośno. – Jesteśmy na miejscu!

Słyszą ruch na brzegach. Coś szybko się do nich zbliża.

Malorie unosi wiosło. Ma wrażenie, że ten odruch pozostanie jej już na zawsze.

Gdy się obraca, coś dotyka jej ramienia.

– Wszystko okej – mówi głos. – Mam na imię Constance. Wszystko jest okej. Jestem z Rickiem.

– Czy masz otwarte oczy?

– Nie. Mam na oczach opaskę.

Malorie słyszy dźwięki, których nie słyszała od lat.

Tak brzmi kobiecy głos.

Nie słyszała go, odkąd Olympia postradała zmysły.

– Jest ze mną dwójka dzieci. Jest nas troje.

– Dzieci? – W głosie Constance słychać ekscytację. – Złap mnie za rękę, pomogę wam wyjść z łodzi. Zaprowadzę was do Tucker.

– Tucker? – Malorie zatrzymuje się.

– Tak, pokażę wam. To tam mieszkamy. To nasz obiekt.

Constance najpierw pomaga Malorie wyjąć dzieci. Potem ich ręce splatają się i kobieta wyciąga Malorie z łódki.

– Musisz mi wybaczyć, ale mam przy sobie broń – mówi nieśmiało Constance.

– Broń?

– Nie masz pojęcia, ile dzikich zwierząt próbuje sforsować nasze ogrodzenie. Jesteś ranna? – pyta Constance.

– Tak.

– Mamy lekarstwa. I lekarzy.

Wyschnięte wargi Malorie pękają, bo uśmiecha się tak szeroko, jak nie uśmiechała się przez ostatnie pięć lat.

– Lekarstwa?

– Tak. Lekarstwa. Narzędzia. Papier. Dużo tego.

Zaczynają iść, wolno. Malorie ściska ramię Constance. Nie może iść samodzielnie. Dzieci trzymają Malorie za spodnie i grzecznie idą za nimi z opaskami na oczach.

– Dwoje dzieci – odzywa się Constance, a jej głos brzmi kojąco. – Mogę sobie wyobrazić, co dziś przeszłaś.

Kobieta mówi „dziś”, ale obie wiedzą, że ma na myśli ostatnie lata.

Idą pod górkę, a w ciele Malorie pulsuje ból. Potem podłogę pod ich nogami zmienia się nagle. To beton. Chodnik. Malorie słyszy delikatne klikanie.

– Co to?

– Ten odgłos? – upewnia się Constance. – To laska. Ale już nie jest nam potrzebna. Jesteśmy na miejscu.

Malorie słyszy pukanie do drzwi.

A potem odgłos, jakby otwierały się stalowe wrota. Constance prowadzi ich do środka.

Malorie czuje zapachy, których nie czuła od lat. Jedzenie. Gotowane jedzenie. Trociny. Ktoś coś buduje. Nawet to słyszy. Cichy szum maszyny. Kilku maszyn naraz. Powietrze jest świeże i czyste, odgłos rozmowy niesie się daleko echem.

– Okej. Możecie otworzyć oczy – mówi łagodnie Constance.

– Nie! – krzyczy Malorie, przyciąga do siebie Chłopca i Dziewczynkę. – Nie dzieci! Zrobię to pierwsza.

Nadchodzi ktoś jeszcze. Mężczyzna.

– Mój Boże – mówi. – To naprawdę ty, Malorie?

Rozpoznaje matowy, zachrypły głos. Lata temu usłyszała go po drugiej stronie linii telefonicznej... Sama sobie zadawała pytanie, przez cztery długie lata, czy jeszcze kiedyś go usłyszy.

To Rick.

Malorie ściąga opaskę i powoli otwiera oczy. Mruży je, bo wewnątrz oświetlone jest ostrym, białym światłem.

Są w ogromnym korytarzu tonącym w jasności. Jest tak jasno, że Malorie ledwo może otworzyć oczy. To gigantyczna szkoła. Sufity są wysoko, a na górze przytwierdzono kopulaste panele świetlne, które powodują, że Malorie czuje się, jakby była na zewnątrz. Na wysokich ścianach jest pełno tablic informacyjnych. Biurka. Przeszkłone szafki. Nie ma okien, ale powietrze jest rześkie i świeże jak na dworze. Podłoga jest czysta i chłodna. Zbudowany z cegieł korytarz jest bardzo, bardzo długi. Malorie odwraca się do Ricka, patrzy w jego opanowaną twarz i zaczyna rozumieć.

Jego oczy są otwarte, ale nie patrzą w żaden konkretny punkt. Są martwe, szklane, szare, dawno straciły swój blask. Ma burzę gęstych brązowych włosów, trochę przydługich i lekko zaniedbanych, ale nawet one nie zakrywają głębokiej, wyblakłej blizny tuż nad lewym okiem. Dotyka jej z niepokojem, jakby czuł spojrzenie Malorie. Zauważa ona, że ma drewnianą laskę, starą i dziwną, zrobioną z gałęzi.

– Rick – mówi Malorie, chowając za sobą dzieci. – Jesteś niewidomy.

Rick potwierdza skinieniem głowy.

– Tak, Malorie. Wielu z nas nie widzi. Ale Constance ma tak dobry wzrok jak ty. Przeszliśmy długą drogę...

Malorie rozgląda się powoli dokoła i już wszystko rozumie. Ręcznie napisane banery określają postęp w ich planie odnowy. Ulotki informują o codziennym przydziale obowiązków na farmie czy przy oczyszczaniu wody. Karty medyczne wypełnione są umówionymi wizytami.

Patrzy do góry i na ceglanym łuku widzi mosiężny napis:

„SZKOŁA DLA NIEWIDOMYCH JANE TUCKER”.

– Ten mężczyzna... – Rick milknie. – Ten z nagrania... Nie ma go tu z tobą?

Malorie czuje, że serce bije jej mocniej i ciężko jej przełknąć ślinę.

– Malorie? – pyta zatroskany.

Constance dotyka jego ramienia i mówi cichutko:

– Nie, Rick, nie ma go tu.

Malorie cofa się, wciąż przyciska do siebie dzieci, przesuwa się w stronę drzwi.

– Nie żyje – odpowiada twardo.

Rozgląda się po korytarzu, czy czasem nie pojawi się ktoś jeszcze. Nie ufa im. Jeszcze nie.

Rick zaczyna uderzać laską o posadzkę, podchodzi do Malorie, chce jej dotknąć.

– Malorie... Skontaktowaliśmy się z wieloma osobami w ostatnich latach. Ale nie było ich wcale aż tak dużo, jak ci się wydaje. Kto wie, ilu ludzi żyje jeszcze tam, na zewnątrz... Kto wie, ilu z nich jeszcze nie oszalało... Jesteś jedyną osobą, która miała przybyć do nas rzeką. Nie oznacza to, że zakładaliśmy, iż nikt inny tego nie zrobi. Po prostu po dokładnym przeanalizowaniu faktów doszliśmy do wniosku, że głos Toma nie tylko cię zaalarmuje, ale też uświadomi innym przybyszom, że znaleźli się blisko cywilizacji. Jeśli dotarliby aż do ogrodzenia... Gdybym wiedział, że nie ma go już przy tobie, nalegałbym na zmianę nagrania. Proszę, przyjmij moje przeprosiny.

Malorie bacznie go obserwuje. W jego głosie słychać nadzieję, nawet optymizm. Od dawna czegoś takiego nie doświadczała. Lecz na twarzy Ricka widać też stres i piętno życia w tym nowym świecie. Zupełnie jak u niej. I jak u jej współlokatorów lata temu.

Constance i Rick opowiadają, jak działa ich obiekt, opowiadają o polach ziemniaków i dyni, o zbiorach jagód latem, o oczyszczaniu deszczówki. Malorie dostrzega cienie przemykające za głową Ricka.

Grupa młodych kobiet wychodzi z jakiegoś pomieszczenia. Mają na sobie proste jasnoniebieskie ubrania. Wszystkie uderzają laskami o podłogę, machają rękami wyciągniętymi przed siebie. Kobiety przemieszczają się cichutko jak duchy, właśnie minęły Malorie. Jej żołądek zaciska się, gdy widzi ich puste, zapadnięte oczy. Zaczyna jej się kręcić w głowie, robi jej się niedobrze, jakby miała zwymiotować.

W miejscu, gdzie powinny być oczy, kobiety mają dwie wielkie ciemne blizny. Malorie jeszcze mocniej przyciąga dzieci do siebie. Maluchy chowają

głowy między jej nogami.

Constance wyciąga do niej rękę, lecz Malorie wyrywa się i w amoku szuka na podłodze swojej opaski, ciągnąc za sobą dzieci.

– Widziała je – mówi do Ricka Constance.

On kiwa głową.

– Zostawcie nas w spokoju! – błaga Malorie. – Nie dotykajcie nas. Nie zbliżajcie się! Co się tu dzieje?

Constance patrzy za siebie przez ramię i widzi, jak kobiety opuszczają korytarz. W pomieszczeniu zapada cisza, tylko Malorie ciężko oddycha i cicho szlocha.

– Malorie – zaczyna Rick. – Kiedyś tak robiliśmy. Musieliśmy. Nie było innego wyboru. Gdy tu dotarliśmy, cierpieliśmy okrutny głód. Jak opuszczeni przez Boga osadnicy na nieznanym surowym łądzie. Nie mieliśmy sprzętu, jaki mamy teraz. Potrzebowaliśmy jedzenia. Więc polowaliśmy. Niestety, nie mieliśmy żadnego systemu zabezpieczeń. Pewnej nocy, gdy większość poszła na polowanie, zakradła się do nas istota. Straciliśmy wtedy wielu ludzi. Zupełnie normalna matka już po chwili zabiła czwórkę dzieci w napadzie szału. Minęły miesiące, zanim się z tego podnieśliśmy. Przysięgliśmy sobie, że już nigdy nie narazimy się na takie ryzyko. Dla dobra całej społeczności.

Malorie patrzy na Constance, która nie ma żadnych blizn.

– To nie była kwestia wyboru – ciągnie dalej Rick. – Oślepialiśmy się czymkolwiek, co nam wpadło w ręce: widelcami, nożami kuchennymi, własnymi palcami... Ślepotą, Malorie, dawała nam całkowitą ochronę. Ale tak było kiedyś. Już tego nie robimy. Po roku zdaliśmy sobie sprawę, że miejsce jest bezpieczne i możemy zrzucić z barków ten ciężar. Jak dotąd nasz system ochronny działa bez zarzutu.

Malorie przypomina sobie George'a i jego nagranie. Przypomina sobie, jak w akcie desperacji sama chciała oślepić własne dzieci.

Constance widzi. Nie jest ślepa. A gdybyś znalazła w sobie odwagę cztery lata temu, to kto wie, co by się teraz z tobą działo. I z dziećmi.

Rick wspiera się na Constance.

– Gdybyś tu wtedy była, zrozumiałabyś.

Malorie boi się, ale rozumie. Jest tak zdesperowana, że chce zaufać tym ludziom. Chce wierzyć, że przywiozła dzieci w lepsze miejsce.

Odwraca głowę i widzi swoje odbicie w szybie. Prawie w ogóle nie przypomina kobiety, którą kiedyś była, gdy gładziła się po brzuchu

w łazience, a Shannon krzyczała coś o newsach z telewizji. Włosy ma cienkie i matowe, pełno w nich brudu i krwi martwych ptaków. Przez włosy miejscami prześwitują placki czerwonej, podrażnionej skóry. Malorie jest wychudzona. Wystają jej kości policzkowe, delikatne niegdyś rysy stały się teraz ostre, kanciaste. Skóra jest napięta i blada. Malorie otwiera lekko usta i widzi, że ukruszył jej się ząb. To musiało się stać, gdy straciła przytomność w łódce. Jest zakrwawiona, cała w siniakach, blada. Na spuchniętym ramieniu widnieje głęboka rana zadana przez wilka. A jednak kobieta w odbiciu wciąż ma w sobie siłę. Ten sam ogień, który napędzał ją przez cztery i pół roku, który kazał przetrwać, znaleźć dla dzieci lepsze życie.

Wyczerpana, czuje, że uwolniła się od tamtego domu. Pokonała rzekę.

Pada na kolana. Zrywa opaski z twarzy dzieci. Ich oczy otwierają się, mrugają porażone jaskrawym światłem. Chłopiec i Dziewczynka patrzą z zachwytem, ale w ciszy, niepewnie. Nie rozumieją, gdzie są, i szukają wsparcia u Malorie. To jest pierwsze miejsce poza domem, jakie widzą.

Nigdy nie płaczą. Nie narzekają. Patrzą się na Ricka, słuchają.

– Jak mówiłem – zaczyna ostrożnie Rick – jest tu bardzo dużo możliwości. Obiekt jest znacznie większy, niż mogłoby się wydawać po wielkości tego korytarza. Uprawiamy własne warzywa i udało nam się złapać trochę zwierząt. Mamy kury, które znoszą jajka, krowy, które dają mleko, i dwie kozy, które chcemy rozmnożyć. Mam nadzieję, że wkrótce wyruszymy na poszukiwania innych zwierząt i uda nam się stworzyć małą farmę.

Malorie bierze głęboki wdech i po raz pierwszy patrzy na Ricka z nadzieją.

Kozy, myśli. Dzieci nie widziały nic poza rybami.

– Jesteśmy tu całkowicie samowystarczalni. Mam profesjonalny zespół medyczny zajmujący się rehabilitacją niewidomych osób. To miejsce zapewni ci trochę spokoju, Malorie. Na mnie tak działa każdego dnia.

– A wy? – pyta Constance, klękając przy dzieciach. – Jak macie na imię?

To pierwszy raz, gdy ta kwestia zaczęła mieć dla Malorie znaczenie. Nagle może sobie pozwolić na taki luksus jak imiona.

– To... – Malorie kładzie zakrwawioną dłoń na głowie Dziewczynki. – To jest Olympia.

Dziewczynka spogląda na Malorie. Rumieni się. Uśmiecha. Podoba jej się.

– A to... – Malorie przyciąga do siebie Chłopczyka. – To jest Tom.

Mały uśmiecha się nieśmiało, ale jest szczęśliwy.

Malorie klęczy i przytula swoje dzieci. I płacze gorącymi łzami, które są

lepsze niż jakikolwiek wybuch śmiechu.

Ulga.

Łzy spływają swobodnie po jej policzkach. Myśli o swoich współlokatorach, którzy tyle pracy wkładali w to, żeby przynieść wodę ze studni, przypomina sobie, jak spali razem na podłodze, jak dyskutowali o nowym świecie. Widzi Shannon śmiejącą się, szukającą w chmurach różnych kształtów i postaci, ciekawską, pełną ciepła i dobroci, uwielbiającą Malorie.

Myśli też o Tomie. O jego pięknym umyśle, który ciągle pracował, rozwiązywał problem za problemem. W każdym razie próbował...

Myśli o jego miłości do życia.

W oddali, na końcu szkolnego korytarza, z pomieszczeń zaczynają wyłaniać się ludzie. Rick kładzie dłoń na ramieniu Constance. Idą w głąb obiektu. Jakby całe to miejsce wiedziało, że Malorie i jej dzieci potrzebują chwili dla siebie. Jakby wszyscy rozumieli, że w końcu są oni bezpieczni.

Bezpieczniejsi.

Teraz, gdy Malorie tuli do siebie dzieci, ma wrażenie, że poprzedni dom, tamta rzeka to jakieś odległe mityczne byty, zagubione gdzieś w nieskończoności.

Ale tu, Malorie jest tego pewna, nie są zagubieni.

Ani samotni.

Podziękowania

TK